

ZBIORY OSRODKA KARTA

12 13

robot

wolne pismo

most

Numer 12-13

Warszawa 1987

SPIS TREŚCI

Leszek Ewelski: Dobra nowina	3
Maciej Kostar: Między historycznym kompromisem a zimną wojną	15
ks. Józef Tischner: Odzyskiwanie ojczyzny	24
<u>Analizy i propozycje</u>	
Ernest Skalski: Nieproszone rady	31
Kamil Wiliński: Wyjść z kanału	43
Jan Omłot: Strategia i taktyka porozumienia i walki	49
Aleksander Paszyński: W niewoli doktryny	55
Tadeusz Łepkowski: Państwo a obywatel	61
Nie jestem przeciwny uczciwym spółkom - rozmowa z prof. dr. hab. Tadeuszem Łepkowskim	73
Advocatus diaboli - rozmowa z Jerzym Surdykowskim	80
R. Bos: Wiersze	88
Nic za darmo w polityce - rozmowa z Leszkiem Moczulskim	89
Tomasz Jerz: Rachunek sumienia	100
R. Bos: Wiersze	108
<u>Z notatnika reportera</u>	
Marian Garden: Zdjęte krzyże	109
Józef Kuśnierek: Suwerenność i... kartofle	115
Marian Świetlik: O czym wiadomo na pewno	121
Andrzej Julicki: "Solidarność" wobec kryzysu społeczno-gospodarczego /5/	127

Michał Łożeński: Era Pacyfiku	137
Elena Bonner: Moja wojna z KGB	151
<u>Fakty - Sygnały - Opinie</u>	
Eurokomunizm w 10 lat później	166
Stalinowskie klęski głodu	169
Dzięki generałom... - rozmowa z Teresą Torzańską	172
Jak herosi schodzili ze sceny /"Rubikon '81"/	175
Polemiki	180

Copyright by MOST **wolne pismo**

Redagują członkowie NSZZ "Solidarność"

Leszek Ewelski

Dobra nowina

1.

Wielka Rewolucja Francuska przegrała z kretesem, co warto przypomnieć na wstępie. Najpierw jej ideały zmiażdżył wojskowy cezaryzm, potem cały dorobek cofnęła restauracja rządów Ładu i Porządku. Nomenklatura /zwana wówczas arystokracją/ odzyskała honory, posady i majątki. I tak to trwało lat piętnaście, do zrywu ludowego w Lipcu, który też szybko przegrał, podobnie jak następny - Wiosna Ludów. Piękne hasło "Wolność-Równość-Braterstwo" wciąż było w sercach i na ustach, ale monarchistyczne siły stabilizacji opierały się kilkadziesiąt lat /choć kruszały i łagodniały pod naporem/. Doprawdy, aż trudno w to uwierzyć z o b e c n e j perspektywy, skoro właśnie z Wielką Rewolucją Francuską kojarzy się nam początek ustroju demokratycznego i ludowego.

"Solidarność" przegrała z kretesem. Minęło już ponad pięć lat, odkąd jej ideały zmiażdżył wojskowy cezaryzm... Ile jeszcze razy przyjdzie powstać i przegrać, ażeby ktoś w przyszłości mógł od daty 1980 liczyć początek u s t r o j u solidarnościowego, który /gdy ów "ktoś" będzie żył/ stanowić będzie normę porządków społecznych?

Prawdopodobnie nasze oczekiwanie /i nie tylko nasze/ będzie znacznie krótsze, niż Francuzów w XIX wieku, albowiem rytm zmian i bieg historii uległ zdumiewającemu przyspieszeniu. Może już my, może nasze dzieci, doczekają czasów, w których historycy uznają epizod "Solidarności" za uwerturę nowej epoki dziejów powszechnych.

Utopia? Fantazja?

Z pewnością. Jest jednak prawdziwością historii /tylko prawdziwością - gdyż żadnych "praw historii" nie ma/, że utopie realizują się akuratniej, niż roiło się fantantom; bodaj wszystkie wielkie wynalazki techniczne - parowóz, fotografia, fonograf, film, samochód, samolot, pojazd kosmiczny - były, zdaniem kompetentnych uczonych-realistów, "niedorzecznością" albo "zabawką", nawet już po wyrobieniu prototypów; grubą księgę można by ułożyć z dyskwalifikujących je ekspertyz. W polityce zaś liczne pomysły i idee, traktowane

/często słusznie/ jako fantazje zwodnicze i bzdurne - jak komunizm, faszyzm, wyzwolenie "kolorowych", państwo Izrael, reżimy Chomeiniego i Kadafiego, i wiele, wiele innych - stały się faktami /na złe, bądź na dobre/ dokładnie według utopijnych mrzonek, na przekór pewnym sobie realistom. Gdyby pod koniec XIX wieku któryś z "socjalistów" ogłosił, że rewolucja przeciw kapitałowi ziści się w barbarzyńskiej Rosji - Karol Marks uznałby to za niepoważną krotkochwile.

Najwyższy czas dokonać redefinicji pojęcia "realizm". Wersja najbardziej mogłaby brzmieć, iż jest to "ociężałość wyobraźni", wariant bardziej dosadny, że "kalectwo intelektu".

2.

"Solidarność" - w odbiorze Zachodu - była najpierw, co naturalne, po prostu sensacją. Stanowiła przecież zdarzenie teoretycznie wykluczone, wręcz nieprawdopodobne w świetle doświadczeń z komunizmem: pierwsze zwycięstwo buntu ludowego nad real socjalistycznym totalitaryzmem. W elitach politycznych fenomen ten postrzegano przede wszystkim jako "kłopot dla czerwonego", a nawet jaskółkę zwiastującą rozpad bloku sowieckiego. Późną jesienią 1980, w okresie szczytowego rozmachu "Solidarności" i objawów dezintegracji PZPR, nawet kunkatarska, "gołębia" administracja Cartera ośmieliła się /jeśli wierzyć pamiętnikom Zbigniewa Brzezińskiego/ postawić sprawę polską na ostrzu noża i zapobiec interwencji sowieckiej, do której jakoby przygotowania były zakończone w pierwszych dniach grudnia. W okresie "kryzysu bydgoskiego" podobnie, i z takim samym skutkiem, zachowała się ekipa Reagana. Ale przed 13 grudnia już takiej stanowczości rząd USA nie okazał, mimo że bez wątpienia dysponował dokładnym scenariuszem przygotowanej akcji wojskowej, dostarczonemu przez płk. Kuklińskiego. Nie wiadomo, co zdecydowało o tym zaniechaniu: czy Reagan uznał "wariant Jaruzelskiego" za mniejsze zło niż interwencję sowiecką, czy nie zdołał po raz trzeci zmobilizować energii Zachodu dla politycznej osłony "Solidarności", czy też po prostu sprawy zaniechał lub odpuścił ją z powodów, których nie znamy.

Niemniej jednak po 13 grudnia reakcja dyplomatyczna całego Zachodu była - jak na praktykę stosunków ze Wschodem - wyjątkowo ostra, sankcje zaś dotkliwe. Nadszperzanie długo trwa zamrożenie stosunków międzypaństwowych. Fakt, że po pięciu latach anatema na Jaruzelskiego została zdjęta, nie może być uważany za wyraz uznania dla jego rządów, jest jedynie nawrotem do rutynowej dyplomacji, która nie znosi długotrwałego braku kontaktów. Istotne novum natomiast stanowi to, że oficjalni przedstawiciele Zachodu /z nielicznymi wyjątkami/ nadal spotykają się z przedstawicielami polskiej opozycji demokratycznej, co czyni zasadniczy wyłom w praktyce polityki wobec bloku sowieckiego. Opozycja uległa międzynarodowemu upodmiotowieniu, gdyż udało się jej zachować status faktycznie istniejącej siły politycznej, w sposób nieformalny uznawanej za istniejącą także przez reżim PRL.

Jednak nie w sferze stosunków międzyrządowych najmocniej odzwierciedlił się fenomen powstania i trwania "Solidarności". Nie to jest istotą przemiany, jaką wywołała ona na Zachodzie. Ważniejszy i bardziej obiecujący jest jej wpływ na sferę psychodentalną i moralną wielu środowisk zachodnich, i to nie tylko w krajach rozwiniętych cywilizacji europejskiej; wpływ, który bynajmniej nie wygasa, mimo delegalizacji "Solidarności" i jej wyraźnego osłabienia jako organizacji.

Należy przypomnieć, że polski ewenement nastąpił w jednym z okresów "niżu" psychicznego i ideologicznego na Zachodzie. Na przełomie dekad gospodarkę światową nadal gnębiły objawy depresyjne, mimo opanowania wielkiej bessy po roku 1973, wynikłej z czterokrotnego wzrostu cen ropy naftowej i zakończenia ery "szczęśliwej trzydziestki", jak nazywano trzy poprzednie dekady nieustannego wzrostu. Trwał szok irański, który zburzył dogmat, iż procesy modernizacyjne stanowią panaceum na wszystkie bolączki świata i zarazem pokazał polityczną bezradność Zachodu w sytuacjach kryzysowych. Lewica, z socjaldemokratami na czele, najpierw przeżyła euforię z powodu triumfu sandinistów, a wkrótce pewien zawód z tego powodu - dramatycznie pogłębiony przez agresję sowiecką w Afganistanie. Zachód zdał sobie sprawę, że epoka odprężenia przyniosła mu słabość, zaś Związkowi Sowieckiemu okazję do wzmożenia ofensywy we wszystkich regionach Trzeciego Świata. Rozchwianie nastrojów było zupełne. Neoliberalowie z furją atakowali doktrynę "państwa opiekuńczego", jako rzekomego winowajcę kłopotów gospodarczych, które akurat przybrały postać "Stagflacji", łamiąc wiedzę teoretyczną o mechanizmach wolnorynkowych. Lewica wyraźnie traciła wpływy, co pewne jej odłamy pchało do histerycznej reakcji w postaci radykalizmu pacyfistycznego i ideologicznego. Pogłębiała się zarazem beznadzieja Trzeciego Świata; niemal wszędzie ustał proces wzrostu, i tak niezbyt imponujący, co wywołało wzrost popełdów rewolucyjnych, ośmielonych dodatkowo zwycięstwami Chomeiniego i sandinistów. Kociokwik był powszechny i wszechobejmujący.

I nagle coś optymistycznego nadeszło z Polski; coś, co każda formacja ideologiczna próbowała zdyskontować na własną korzyść, jako potwierdzenie swojej racji. Siły prawicowe miały dowód, że socjalizm pogrążył się w kryzysie i jest odrzucony przez klasę robotniczą. Lewica miała dowód, że klasa robotnicza nadal stanowi głównego demurga procesu dziejowego i wierna jest swym ideowym tradycjom rewolucyjnym, acz w zakłopotanie uprawiał ją dziwadzyny fenomen, że ów rewolucjonizm posługuje się sztandarami Kościoła. To zaś, rzecz zrozumiała, nadało nowego impetu chadecji, a zwłaszcza wszelkim prądom odnowy myśli katolickiej. Trockiści, którzy zjawili się już podczas Strajku Gdańskiego /ku przerażeniu Wałęsy/ nie posiadali się z radości, że oto autentyczny nurt robotniczy łamie struktury biurokratyzowane. Najosobliwsza była reakcja w Trzecim Świecie. Tamtejsze rządy z reguły odnosiły się do

"Solidarności" niechętnie, gdyż jak ognia boją się wszelkich oddolnych ruchów protestu, które mogłyby zagrozić "oligarchii biurokratycznej", a nie widzą dla siebie żadnej korzyści w kłopotach bloku real socjalistycznego; społeczeństwa natomiast, w których słowo "Poland" nie budziło dotychczas żadnych skojarzeń, prócz takiego ewentualnie, że to jakaś prowincja czy posiadłość ZSRR, popadły we frenetyczny zachwyt, że "Solidarity" znalazła sposób na to, by wywalczyć chleb, wolność i poszanowanie ludzkiej godności, czyli to właśnie, na czym najbardziej zależy uciemiężonym i spauperyzowanym. I nadal "Solidarity" wywołuje tam żywe emocje, aczkolwiek oderwała się od kontekstu kraju "Poland", który nie wzbudza zainteresowania.

4.

Można śmiało powiedzieć, wbrew jerozolimskim prawowiernym marksistom, że to nie "solidarnośćowa" Polska obracała się politycznie ku Zachodowi, lecz Zachód zidentyfikował się z Polakami. W tym dziwnym kraju, postrzeganym na ogół wedle optyki "Króla Ubu" /"W Polsce, czyli nigdzie"/, wymyślono coś, co łamię nudną i jałową dychotomię prawica-lewica, coraz słabiej przylegającą do ideowej i politycznej rzeczywistości - i polega na wyjściu "do przodu". Związki zawodowe, które z dawien dawna popadały w marazm, tracąc członków i wpływy, doznały oświecenia i nabrały wigoru pod wpływem polskiego impulsu. W Afryce niektóre nawet zapożyczyły sobie nazwę "Solidarity". Rychło doszło do idealizacji polskiego zrywu robotniczego, który nie tylko wszystkim jawił się niezwykle sympatycznie /w czym nie mała osobista zasługa Wałęsy, którego charyzma przekroczyła granice/, ale też zdawał się być niesłychanie skutecznym remedium na różne bolączki. Skoro bowiem w sytuacji, którą uważano za beznadziejną i nieodwracalną, Polacy zdobyli się na skuteczny protest, skoro ich gest moralny okazał się siłą jednoczącą i odnowicielską, zmuszając do odwrotu totalitarną władzę, to w zachodnim świecie pojawiła się nadzieja, że i jego frustracje uda się jakoś zaleczyć.

Ze stuletnim opóźnieniem ziściło się niemal mesjanistyczne wróżbiarstwo o Polsce jako Chrystusie narodów... Powiało czymś świeżym, wiarą w nowatorski pomysł, który opiera się nie na wyblakłej, oraz mniej nośnej koncepcji walki klas, lecz na solidaryzmie, łamiącym bariery między światem pracy i światem intelektu.

Z punktu widzenia ideowo-moralnego zupełnie drugorzędne znaczenie ma fakt, że później komunistyczna dyktatura siłą cofnęła Polaków w zniewolenie. Taki obrót spraw wynika ze znanych i nieodłącznych cech komunizmu, z jego totalitarnej natury. Oczywiście, prestiż ZSRR i komunistycznej lewicy doznał kolejnego uszczerbku, jak po agresjach na Węgrzech, w Czechosłowacji i Afganistanie, ale nie to jest najważniejsze politycznie, zwłaszcza obecnie, gdy Gorbaczow skutecznie poprawia "image" Związku Sowieckiego. Sedno sytuacyjnego novum tkwi właśnie w tym, że pojawienie się "Solidarności" było i jest nadal pr z e k r e ś l e n i e m owych norm i reguł "dziania się" polityki w bloku sowieckim, do jakich świat od dawna przywykł i bezradnie przystosował. Kiedy się bowiem myśli w

planie dalekosiężnym, w kategoriach ustrojowej alternatywy, to okazjonalne fakty - jeśli tej wizji przeczą - po prostu się odrzuca, jako zdarzenia przypadkowe, niekonieczne. "Fakt jest głupi" - powiedział Nietzsche, a przed nim Rousseau wygłosił sławną swą kwestię: "Zacznijmy od pominięcia wszystkich faktów".

5.

Wielu mieszkańców świata czekało na dobrą nowinę i ona przyszła znaną z Wisły.

I nadal na japońskich uniwersytetach prowadzi się studia komparatystyczne nad zjawiskiem "Solidarności", jako najbardziej śmiałym wariantem poszukiwań alternatywnej Trzeciej Drogi. Pod wpływem zafascynowania jej etosem i jej "odnowicielską" skutecznością wiele zachodnich wspólnot alternatywnych jakby spoważniało, wyzbywa się infantylnej ultralewicowości, porzuca model beztroskiego współżycia w nihilistycznych gromadach, nasiąka głębszymi treściami egzystencjalnymi i społecznymi. Dewiza: "To nie jest ani prawicowe, ani lewicowe, to jest nowe" z większą prawomocnością niż do Zielonych przylega do "Solidarności". Casus polskiego ruchu pilnie badano w elitach politycznych Chin, chociaż w takiej intencji, by niektóre jego aspekty wdrażać odgórnie w ramach reformy systemowej; ale i w chińskich masach wiedza o "Solidarności" rozkrzewiła się zdumiewająco, mimo skąpego dozowania informacji. Na Tajwanie przykład Polski ukazał "nową drogę inicjowania reform w systemie rządów monopartyjnych" - stwierdził K. Gawlikowski, świetny znawca kręgu kultury chińskiej.

Przykład ten wpisuje się w znacznie ogólniejsze zjawisko, którego genezą jest powszechne niezadowolenie ze stanu świata i marzenie o niekonwencjonalnym wyjściu - Trzecią Drogą - z kryzysu ideowego, moralnego i społecznego. Nie chodzi przy tym o wariant konwergencyjny, który ongiś zapowiadali W.W. Rostow i R. Aron na erę postindustrialną - o zespolenie się bądź przenikanie niektórych elementów wizji socjalistycznej z ustrojem wolnorynkowym. Taka konwergencja już się przecież zrealizowała lepiej-gorzej w państwach "opiekuńczych", takich jak np. Szwecja. Etycyzm, interwencjonizm, planowanie, rozległy program opieki socjalnej - pomysły rodem z teorii i praktyki socjalistycznej przyjęły się na dobre /zdaniami liberałów - na zře.../ w kapitalizmie, i to do tego stopnia, że wielu badaczy już przechrzciło go na "system gospodarki mieszanej". W większości państw rozwiniętych utworzył się i utrzymał taki model polityczny, w którym tradycyjna, ideologiczna motywowana lewica i prawica zeszyły na nieistotne marginesy, zaś rywalizacja o władzę toczy się w obrębie szerokiego, dwudzielnego centrum /"trzeciej drogi centrowej"/, na które składają się skrzydła b a r d z i e j reformatorskie i b a r d z i e j zachowawcze, ale zgodnie akceptujące model demokratycznego kapitalizmu.

Także w niektórych państwach Trzeciego Świata, zwłaszcza w Indiach, konwergencja zaszła tak daleko, że z równą prawo-

mocnością jedni politolodzy nazywają je kapitalistycznymi, a inni - socjalistycznymi. Nawet blok realsocjalizmu nie jest całkiem niewrażliwy i odporny na konwergencyjność, skoro Węgry mają rynek nieomal wolny, w Chinach nastąpiła faktyczna reprivatyzacja rolnictwa i masowo przyciąga się zachodni kapitał, w Polsce "mały kapitalizm" polonijno-spółkowy wytwarza całkiem dużych kapitalistów, zaś antycentralistyczna koncepcja "trzech S" stanowi jądro /wielce kławiwej/ reformy gospodarczej, NRD przyssała się do RFN-owskiego cycka, zaś Gorbaczow śmiało zezwolił na ujawnienie się prywaciarzy /którzy, jak się wydaje, wolał jednak pozostawać na "czarnym rynku"/ i także zaprasza kapitalistów do wspólnych przedsięwzięć, czyli żąda, by mu dostarczyli sznura, na którym ich potem /zgodnie z prorocstwem Lenina/ powiesi.

Konwergencja a la Rostow zakładała przewyrcieżenie dychotomii "albo-albo" przez syntezę w stylu "i to - i to".

Obecnie jednak wśród wszelkich kontestatorów dominuje dążność do modelu "ani to - ani to", gdyż /ich zdaniem/ łączenie dwóch systemów wadliwych, które wyczerpały swe możliwości kreatywne, byłoby bez sensu. Socjalizm okazał wszak zadziwiająco nieefektywność, znikomą podatność na innowacje oraz oblicze antyhumanistyczne - kapitalizm zaś, apoteozując w z r o s t jako jedyny kamień filozoficzny, doprowadził nie do rozwoju społeczno-gospodarczego, moralnego i kulturalnego, ale do "złego rozwoju"; rumieniec na obliczu kapitalizmu nie jest objawem zdrowia /twierdzą/, lecz trawiącej go gorączki. Narasta zagrożenie ekologiczne, pojawia się masowe bezrobocie strukturalne, jako nieuchronny efekt mikroprocesoryzacji i robotyzacji, rozwierają się nożyce między kapitalistycznym "centrum" a jego "peryferiami" na innych kontynentach, następuje zanik więzi międzyludzkich, alienacja i ogólna dehumanizacja. Państwo opiekuńcze, wedle kontestatorów, jedynie łagodzi niektóre z systemowych wad kapitalizmu, ale kosztem dynamiki rozwojowej, która wygasa oraz postępującej gwałtownie statyzacji, zagrażając urządzeniom demokratycznym i wolności jednostki.

6.

Trzeba zatem poszukać śmielszych alternatyw. I takie dążenie pojawiło się spontanicznie w wielu krajach naraz, w mnogości odmian. Nic to, że są to częstokroć próby całkiem fantazyjne, albo i komiczne; każda utopia, zanim weszła w stadium urzeczywistnienia, wzbudzała falę pomysłów mało poważnych, surrealistycznych - jak fourrierowskie falanstery, które miały gwarantować zaspokojenie nawet najbardziej perwersyjnych dewiacji erotycznych. Gdy odsiać plewy, to nawet w aberracjach tkwią czasem zarodki myśli godnych uwagi.

Od końca lat sześćdziesiątych poczynają, to jest od sławnego raportu "Granice Wzrostu" małżeństwa Meadows /któremu ekonomisci "realistyczni" zarzucali błahe błędy rachunkowe, nie zważając na treść, rewolucjonizującą naukę ekonomii/, po całym świecie rozlewa się fala e k o l o g i z m u, która dalece wykracza poza dawne żale miłośników przyrody nad rozdeptaną szarotką. Po tragicznym memento, jakie stanowiła katastrofa w

Czarnobylu, nie ma już bodaj ludzi, oprócz rzecznika Urbana, którzy by nie byli świadomi, iż rozwój techniczno-przemysłowy rzeczywiście zagraża anihilacją środowiska naturalnego. Katastrofizm bywa nawet przesadny, jak w niektórych antynuklearnych manifestacjach na Zachodzie. Znany badacz francuski Rene Dumont ujął to w słowach: "Strach millenarystów znalazł, pod koniec II Tysiąclecia, interesujący rezonans, który tym razem nie ma nic irracjonalnego". Ekolociści, których najbardziej spektakularną - bo dynamiczną na arenie politycznej - formacją jest partia Zielonych w RFN, domagają się odrzucenia cywilizacji obfitości, która skaża przyrodę i powoduje, że człowiek człowiekowi wilkiem - i budowy cywilizacji współżycia w braterskich wspólnotach, w harmonii z otoczeniem przyrodniczym.

Splata się to nastawienie z o r i e n t a l i z m e m, to jest pasją studiowania i adopcji rozmaitych wątków religii i filozofii wschodnich, w których nie antropocentryzm - koncepcja wyróżnionego miejsca człowieka we Wszechświecie, ale właśnie kosmocentryzm - rozciągający się na wszystkie istoty żywe, a nawet na byty pozaziemskie - stanowił zawsze główną zasadę filozoficzną, stwarzając preferencję dla wspólnotowości i idei BYĆ, a nie dla indywidualizmu i idei MIEĆ. Nieopanowany entuzjazm lewicy dla bojowników o wolność Trzeciego Świata, który w końcu lat sześćdziesiątych pohał na barykady Paryża studenterię, przesunął się ku moralnym podstawom wierzeń społeczności pozaeuropejskich. Nastąpiła eksplozja zainteresowania różnymi szkołami buddyzmu, zwłaszcza tybetańską i zen; krzewią się /nawet w Polsce/ kulty indyjskie - joga, krysznaizm, tantryzm. Za Atlantykami popularność zdobywa ideologia muzulmańskiej "macierzy" /"umma"/. Pochodną tych ORIENT-acji są mody na naturyzm, vegetarianizm, na zjadanie kiełków pszenicznych, badanie sekretów piramid, stąd też cała formacja hippizmu i jego późniejszych nieprzeliczonych odgałęzień, aż po punków o różowych czubach na głowie.

Ale pod powodzią fantastyki i błazeństwa istnieje głęboki nurt badań nad tymi aspektami filozofii Wschodu, które istotnie mogą dopomóc zachodniemu światu w przezwyciężeniu trawiącej go niepewności jutra, w odnajdywaniu zatraconego sensu życia; tutaj na czoło wysuwają się idee wspólnoty, wzajemnej pomocy, solidarności międzyludzkiej i przyjaznej symbiozy z przyrodą. Istnieje także nurt poszukiwań ściśle praktycznych, któremu Ernst Schumacher wymyślił dewizę "Małe jest ładne". Chodzi przede wszystkim o przewyciężenie podległości anonimowym superstrukturom, w których pierwiastek ludzkiej osobowości rozprywa się i zanika; chodzi o rozdrobnienie czyli "dewolucję" wielkich układów, które przestały być sterowalne, bo uległy hipertrofii. John Naisbitt w książce "Megatrends", która czyni obecnie w świecie furorę, zaleca m.in. całkowitą decentralizację, gdyż małe wspólnoty lokalne najlepiej rozwiązują wszystkie lokalne trudności; foruje też przechodzenie od systemu instytucji opiekuńczych do układów samopomocy obywatelskiej, co współbrzmi /może nie przypadkowo/ z etosem, jaki wytwarzała "Solidarność" i który ma niema-

z tą skalę przechował się w ruchu oporu podziemnego.

Mniej dla Polaków interesujące są nieadekwatne do ich sytuacji wysiłki, zmierzające do znajdowania prostych czy też "dostosowanych" technologii, zdalnych do stosowania w krajach Trzeciego Świata, które cierpią na ostry deficyt kapitału i nadmiar rąk do pracy. Co prawda niektóre wątki tych poszukiwań - np. pomysły łączenia technik najprostszych z wysublimowanymi, wiatraków i kół wodnych z mikroprocesorami - mogłyby też być przydatne w polskich warunkach. Wiele z rozwiązań "alternatywnych" ma walory uniwersalne, nawet gdy powstaje do użytku lokalnego.

Szczególnie ważnym i powszechnym aspektem ruchu alternatywnego, zawartym też w idei "Małe jest piękne", jest dążność do twórczego włączenia ludzi we wspólne przedsięwzięcia na zasadzie s a m o r z ą d n o ś c i, która też "sama w sobie" jawi się jako sposób na przewyciężanie poczucia wyobcowania. Inaczej jednak w Polsce i w świecie rozłożone są akcenty. Za granicą ideał samorządności odnosi się raczej do "lokalności", do małych społeczności lokalnych oraz stowarzyszeń połączonych wspólnym celem, gdyż doświadczenia samorządu gospodarczego /znane z Jugosławii i rozproszonych eksperymentów na Zachodzie/ nie są szczególnie zachęcające; są, delikatnie mówiąc, dyskusyjne. Zresztą zrzeszone w "Solidarności" masy robotnicze także przejawiały powściągliwość wobec projektów samorządowych, inspirowanych przez inteligentnych doradców głównie w celu rozbicia "czapki" partyjnej nomenklatury, co przyniosło wyniki odwrotne, w postaci zintegrowania zagrożonej technokracji z biurokracją partyjną. Skądinąd idea, żeby z a r z ą d z a ć gospodarką, a nie ż ą d a ć od pracodawcy, mimo że stanowiła zasadniczą koncepcję syndykalizmu, nie należy do wypróbowanych tradycji ruchu związkowego. Robotnicy ani nie czują się kompetentni do kierowania skomplikowanym aparatem przemysłowym, ani - tym bardziej - nie kwapią się do ponoszenia ryzyka, nie wyobrażają sobie swojej odpowiedzialności za ewentualne niepowodzenia czy plajty usamorządowionych przedsiębiorstw. Zbyt mało jeszcze w świecie i w Polsce pozytywnych doświadczeń, zbyt wiele pytań, by ideał samorządności gospodarczej można było bez zastrzeżeń umieszczać na szczeblach ruchu alternatywnego, uważać go za wytyczną programową i siłę motoryczną masowego ruchu przemian społecznych.

7.

Obok ekologizmu i idei braterskich wspólnot, trzecim najważniejszym rozrusznikiem ruchu alternatywnego na Zachodzie jest p a c y f i z m. On też przybiera formy groteskowe, na przykład gdy obraca się wyjątkowo przeciw groźbie ze strony raket Pershing, całkowicie ignorując rakiety SS-20. Podobnie jednak, jak ekologizm etopniowc oczyszcza się ze swych śmieszności /kiedyś Zieloni domagali się, żeby była elektryczność, ale nie było trucicielskich elektrowni jądrowych ani konwencjonalnych/, podobnie jak naskórkowa fascynacja "tajemnicami Orientu" przekształca się w ważne próby kojarzenia wartości wschodnich z zachodnimi, tak też pacyzizm ulega modernizacji i zrównoważ-

niu. To nota bene powoduje, że Kreml traci dlań zainteresowanie, skoro pacyfizm przestaje być łatwo manipulowanym narzędziem dezintegrowania Zachodu i osłabienia jego wierności ideałom wolnościowym.

W ideologii "Solidarności" żaden z tych wątków nie miał istotnego znaczenia. Ekologizm był ścieżką poboczną i marginalną, bo w Polsce za priorytet nadal uważa się rozwój przemysłowy /podobnie jak w Trzecim Świecie, który chętnie bierze do siebie wszelkie skażenia, byle dostać te truciejskie fabryki/. Dopiero o b e c n i e trend ekologiczny wyraźnie narasta w demokratycznej opozycji - zarówno jako cel "sam w sobie", bo plagi chaotycznego uprzemysłowienia doskwierają coraz dotkliwiej, jak też jako narzędzie mobilizacji i "polityzacji" mas, które popadły w stan apatyczny. Ruch "Wolność i Pokój" stoi zatem przed olbrzymią szansą trafienia do wyobraźni młodych, gdyż ekologizm potrafił sprzągnąć z pacyfizmem, podobnie jak ruch Zielonych; potrafi też przekazywać Zachodowi zasadnicze posłanie, iż pokój i wolność są nierozłączne, i kto tego nie docenia - naraża zarówno pokój, jak wolność.

W okresie "Solidarności" legalnej wątek pacyfistyczny był właściwie nieobecny. Istniała powszechna idiosynkrazja wobec namolnych, traktowanych manipulatorsko haseł "obrony pokoju", których reżim używał do odciągania uwagi społecznej od istotniejszych zagrożeń; istniało też powszechne zrozumienie /wtedy prawdziwe/, że zachodni pacyfizm jest dyrygowany z Kremla.

Aliści, mimo że "Solidarność" w ogóle nie odwoływała się do pacyfistycznych stereotypów, to była i pozostała ruchem par excellence pacyfistycznym. Co więcej, właśnie tę cechę doskonale dostrzegają jej entuzjaści na świecie. Vaclav Páček, historyk, podkreśla, że "Solidarność" była w z o r e m ruchu pacyfistycznego, albowiem rozumiała, że nie można osiągnąć postępów w dziele pokoju bez walki z totalitaryzmem. Jonathan Shell w obszernym studium na łamach "The New Yorker" wypuklił to, iż "Solidarność" odkryła nowy styl akcji politycznej: "mnogość działań pokojowych normalnego życia cywilnego" oraz to, że jej praktyki oporu są "rewolucją w rewolucji". Napisał:

"Ostateczne osiągnięcia rewolucji w Polsce muszą się dopiero objawić, ale dla świata w całości rozdział historii politycznej, który już został zapisany, jest wynikiem bogactwa inwencji i odkryć w życiu politycznym i moralnym, którego nie mogą wymazać żadne następne wydarzenia. Polska nadal stąpa do góry i w dół w swej geopolitycznej klatce, ale poprzez kraty już przekazała ten niezapomniany dar dla reszty nas."

I jeszcze jedno kapitalne stwierdzenie Shella:

"Trochę przemocy byłoby zapewne dla "Solidarności" tak niszczące, jak trochę pacyfizmu dla armii podczas wojny."

Fenomen, który najbardziej zaimponował światu i spowodował, że "Solidarność" wciąż jest widziana jako najdojrzalsza z prób tworzenia ustroju alternatywnego, był jej ton moralny /pięknie to ujął Kapuściński: "rewolucja podniesionych głów" oraz jej bezprecedensowa spontaniczność. Strajk Gdański wygrał, bo jego uczestnicy okazali zdolność przekraczania granic zdrowego rozsądku, co jest warunkiem powodzenia ruchu odrodzenia moralnego /słusznie ten wątek rozwija Winicjusz Narojek w książce o szansach pluralizmu w upaństwowionym społeczeństwie/. Możliwe było przecież, a nawet do ostatnich dni bardzo prawdopodobne, inne rozwiązanie, zalecane przez część doradców i życzliwych obserwatorów: że strajk skończy się "gruntownym zreformowaniem" CRZZ, może z Wałęsą na czele, a nie powołaniem związku niezależnego, czyli z góry skazanego na konflikt z władzą. Gdyby przeważyło takie realistyczne stanowisko, nie byłoby stanu wojennego, a związki zawodowe być może miałyby taką autonomię, jaką obdarowano OPZZ. Nie doszłoby do wielu rozczarowań, dramatów, tragedii.

Ale nie byłoby "Solidarności". Nie byłoby tego wszystkiego, co wniosła ona na zawsze do tradycji narodowej i polskiego ethosu. Byłoby dalsze gnicie "martwej struktury" realsocjalistycznej bez prób oporu. A przede wszystkim nie byłoby moralnego wstrząsu i ideowej inspiracji dla świata, co może nie ma większego znaczenia dla Polaków dzisiaj, lecz stwarza wielkie i różnorakie szanse w przyszłości. Właśnie dlatego i tylko dlatego, że robotnicy przekroczyli granice zdrowego rozsądku, zamiast uciułać trochę więcej groszaków. Polska zyskała skarb, który będzie procentował przez pokolenia, a świat zyskał wzorzec, ku któremu będą się zbiegać i z którym będą się przyrównywać wszystkie ruchy kontestacyjne i alternatywne.

Gdyby jednak odruch moralny, jakim się powodowali gdańscy stocznicy w solidarnościowej fazie strajku, nie osiągnął potem pewnej "masy krytycznej", gdyby nie miliony, lecz tylko tysiące włączyły się do protestu - pozostałby on jedynie pięknym gestem, godnym pamięci, lecz nieistotnym politycznie. Dopiero niezwykła masowość ruchu - która w dziejach zdarzała się jedynie podczas rewolucji zbrojnych, bo nawet Gandhi potrzebował wielu lat na skoncentrowanie narodu do akcji pokojowych - spowodowała, że "Solidarność" była wydarzeniem jakościowo nowym i czymś więcej niż kolejne zjawisko z gatunku ruchów alternatywnych; przestała być, jak one, folklorem politycznym o marginesowym zasięgu - stała się lawiną niszczącą totalitarne zapory instytucjonalne, a przede wszystkim negacją komunizmu na skalę, jakiej absolutnie nikt, nawet w Polsce, się nie spodziewał.

Protest wielomilionowych mas polskich robotników pokazał, że na marksistowskim cokole jest pusto i świat tę pustkę dojrzał.

Ale czym teraz pustkę wypełnić, skoro kapitalizm także nie pasuje ludziom na pomnik, chociaż liberałowie pucują go i gla-

nsują na wysoki połysk?

Nestor socjalizmu, wspaniały profesor Edward Lipiński, głosił: "Bez utopii nie można żyć. I trzeba sobie stwarzać utopijne cele, historia zawsze coś niecoś z nich zrealizuje!"

Nawet z utopii komunistycznej coś się zrealizowało. Niestety.

Ale utopie mogą się także ziszczać ku dobru człowieka, historia zna wiele takich przypadków - jak wyzwolenie Polski z potrójnej niewoli, renesans Irlandii wokół mitu św. Patryka, przywrócenie Ziemi Obiecanej potomkom Judy i Izraela, jak blyskawiczny i "oszczędny w życia ludzkie" proces remontowania budowanego przez stulecia systemu kolonialnego, jak obalenie filipińskiej tyranii przez tamtejszą "Joannę d Arc", panią Aquino, jak wreszcie wykluczona przez Marksa - ale nie przez Lassalle'a - transformacja "dzikiego kapitalizmu" w kapitalizm demokratyczny, zdalny do dalszej socjalizacji.

Z wielu hipotetycznych wariantów Trzeciej Drogi, niektóre się już krok za kroczkiem materializują, pomińmy te, które były inspirowane ideologią ultralewicy, bo przyniosły wyjątkowo wątpliwe bądź fatalne efekty: titoizm, polpotyzm, kadafizm, chomeinizm. Pomińmy też te, które są synkretycznymi dżiwolagami w rodzaju "socjalizmów afrykańskich"; stopów marksizmu z kapitalizmem na podłożu mistycyzmów plemiennych i ... magii. Ale ruch Zielonych tworzy już, nie tylko w RFN, znaczące partie i grupy nacisku. Ale doktryna społeczna Kościoła schodzi już z abstrakcyjnego piętra papieskich encyklik ku ziemi, ku praktycznym realizacjom, których jednym z owocnych przykładów jest brazylijski ruch wzajemnej pomocy - mutirao; a może pani Aquino dalej powioda się reformy pod znakiem Krzyża? Z pewnością wariantów Trzeciej Drogi może być więcej, mogą się przenikać, uzupełniać lub współzawodniczyć i konkurować, niektóre zaś na pewno uschną nim wykiełkują.

"Solidarność" i to, co po niej zostało, co rozwija się nadal, stanowi najbardziej wszechstronny model Trzeciej Drogi. Szusznie W. Lamentowicz widzi w jej doświadczeniu "laboratorium naturalne" nowej epoki historycznej: "Nawet jeśli z pozoru wygrywa siła fizyczna, to sens siły moralnej nie jest zaprzeczony" - dodaje. Polska wniosła optymistyczny odzew na pesymistyczną sytuację, odwołując się do ducha ofiarności, służebności narodowi, wzajemnej spolegliwości i przyjaźni, to znaczy do tych motywów moralnych, które choćby z konieczności etaną się imperatywami społecznymi, gdy ludzkość /co niedalekie i nieuchronne/ wejdzie w erę wyczerpywania zasobów i wygasania dynamiki wzrostu i będzie chciała w tych warunkach zżośnie egzystować.

W nowocroczej homilii Jana Pawła II na rok 1987 słowo "solidarność" - nie przypadkiem przecież - przewijało się jako główny motyw. Mówił Ojciec Święty, że na drodze solidarności i rozwoju można rozwikłać pozornie nierozwiązywalne dylematy świata. Że czynna solidarność międzynarodowa to cd-trutka na bólaczki ksenofobii oraz ideologii, głoszących

nierówność i nieufność, podziały rasowe i klasowe. Że duch solidarności oznacza jednoczenie się przez dialog. I wreszcie, że solidarność jest e t y c z n a.

Realści lubią gaworzyć, że etyka jest "słabym elementem" polityki, bo wszystkie imperia zbudowanc siłą. Istotnie. Ale jeśli się nie dąży do budowy imperiów, ale do osłabienia i demontażu tych, co istnieją, broń moralna - wsparta determinacją mas - może być bardzo skuteczna. Ruchy alternatywne już pokazały, że są siłą materialną i wpisują się coraz śmielej w pytanie, jakienigdyś postawił G.B. Shaw:

"Niektórzy ludzie widzą rzeczy, jakimi one są i pytają: DLACZEGO? Ja marzę o rzeczach, które nigdy nie istniały i pytam: CZEMU NIE?"

Leszek Ewelski



Maciej Kostur

Między historycznym kompromisem a zimną wojną

Czy w Polsce, kraju, gdzie od czterdziestu z górą lat władzę sprawuje reżim komunistyczny, a większość społeczeństwa utożsamia się z niezwykle silnym Kościołem katolickim, narodził się "kompromis historyczny"? Czy może raczej konfrontacja ideologiczna przybrała formę przewlekłej "zimnej wojny"? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa.

Z jednej strony: niespetykany we współczesnym świecie wzrost religijności, moralna i materialna potęga Kościoła, dwie - a w najbliższej perspektywie trzecia - triumfalne wizyty Jana Pawła II w Polsce, generał Jaruzelski przybywający do Watykanu i szukający wsparcia swego wąskiego autorytetu u papieża i prymasa Polski.

Z drugiej: miliony Polaków - chłopów, robotników i intelektualistów - znajdujące właśnie w Kościele miejsce dla swej codziennej walki o minimum praw człowieka, krytyczne listy Episkopatu i bojowe kazania setek księży, zamordowanie księdza Jerzego Popiełuszki przez funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, ich proces, który stał się także oskarżeniem przeciwko ofierze, napady "nieznanych sprawców" na najbardziej radykalnych kapłanów, konflikty wokół prób nadania państwowej szkole bardziej antyreligijnego oblicza, agresywne wobec Kościoła kampanie państwowej propagandy.

X X X

Czym jest Kościół katolicki w Polsce? Pytanie to zadawano powszechnie przy wybrze arcybiskupa Krakowa jako pierwszego od XVI wieku papieża nie Włocha, przedstawiciela kraju uważanego dotychczas za peryferie katolicyzmu europejskiego. Papież jest synem Kościoła, który w warunkach konfrontacji z marksistowskim państwem ideologicznym nie tylko potrafił skutecznie przeciwstawić się narzuczonej odgórnie laicyzacji, lecz wykazał zadziwiającą żywotność i ekspansję. Jest on Kościołem ludowym. Profesor socjologii i religii w niezależnym Uniwersytecie Lubelskim, ks. Władysław Piwowarski tak opisuje jego specyficzne cechy:

"Jest /on/ Kościołem otwartym w znaczeniu, że służy nie tylko katolikom, ale wszystkim Polakom, także niewierzącym i religijnie obojętnym; stanowi organizację religijno-narodową.

Jest Kościołem masowym, ponieważ prowadzi duszpasterstwo masowe skierowane na przeciętnego katolika /Polaka/ jako członka narodu. /.../

Jest Kościołem hierarchiczno-urzędowym na niekorzyść Kościoła wspólnotowego. Znajduje to wyraz z jednej strony w akcentowaniu swoistej hierarchii wartości /jedność, posłuszeństwo oraz pewien uniformizm w myśleniu i działaniu/, a z drugiej strony - w aktywności duchowieństwa oraz znacznej bierności laikatu.

Jest Kościołem rytuału skierowanego na utrzymanie mas przy religii i patriotyzmie. Wiąże się to z jego tradycyjną obecnością w społeczeństwie przez zbiorowe praktyki religijne /na przykład koronacje obrazów Matki Boskiej, peregrynacje obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, pielgrzymki/ oraz ze swoistym rozumieniem religijności jako formy pobożności maryjnej i rytualistycznej.

Jest Kościołem, który - mimo ideologii komunistycznej - nie zrezygnował z aliansu ołtarza z tronem. Ze strony Kościoła oznacza to dialog z państwem ze względu na nadrzędną wartość, jaką jest naród, zaś ze strony państwa - instrumentalizację Kościoła w ramach społeczeństwa budującego socjalizm.²

Taki model Kościoła ludowego ukształtował się w wyniku doświadczeń historycznych i znajduje oparcie w specyficznej religijności społeczeństwa. W Polsce bowiem w ograniczonym tylko zakresie powtarzają się prawidłowości obserwowane w innych krajach o tradycyjnej kulturze katolickiej /Belgia, Francja, Włochy/. Powszechnie przyjmowana jest teza, że zanik tradycyjnej religijności i laicyzacja społeczeństwa związane są z urbanizacją oraz industrializacją. Procesy te jednak w znacznie mniejszym stopniu dotyczyły Polski. Mimo przemieszczenia wielkich mas ludności do miast i rozbudowy przemysłu, przy Kościele pozostali zarówno robotnicy, jak i inteligencja. Nie dotknął również Polski kryzys powołań kapłańskich i zakonnych, tak charakterystyczny dla Europy Zachodniej i Ameryki.

W wyniku doświadczeń historycznych katolicyzm stał się dla Polaków swoistą formą życia narodowego. W czasach, gdy dawna Polska była republiką szlachecką z elekcyjnym monarchą, bywało że prymas Kościoła katolickiego sprawował funkcję głowy państwa /interrex/ w okresie między śmiercią jednego króla, a koronacją następnego. Biskupi byli zarazem wysokimi urzędnikami państwowymi. Sytuacja zmieniła się po utracie niepodległości i podziale Polski między Rosję, Prusy i Austrię w końcu XVIII wieku. Rosja była - jak wiadomo - prawosławna, zaś Prusy protestanckie. Obydwa te mocarstwa łączyły politykę zmierzającą do wynarodowienia Polaków ze zwalczaniem katolicyzmu. Z kolei Kościół był ostoją życia narodowego. Świątynie stawały się miejscami patriotycznych manifestacji i kultuwowania polskiej

kultury. Księża bywali przywódcami powstań i organizatorami niezależnego życia gospodarczego. Katolicyzm wydawał się nierozdzielnie związany z Polską. Tak też było podczas wojny i okupacji Polski przez Niemcy hitlerowskie.

Sytuacja po 1945 roku była pod wieloma względami podobna do okresu zaborów. System - importowany z zewnątrz i narzucony siłą - był programowo antyreligijny, a zarazem manifestował ostentacyjnie swój proletariacki internacjonalizm, stanowiący zagrożenie dla tradycyjnych wartości narodowych. Państwo zachowało jednak ograniczoną suwerenność, której zakres uległ rozszerzeniu po 1956 roku. Coraz częściej też nowa władza powoływała się na interes narodowy. Istniała zatem pewna płaszczyna kompromisu.

Świadomość Kościoła, jego strategia i taktyka ukształtowały się pod silnym wpływem osobowości kardynała Stefana Wyszyńskiego, od 1948 roku - prymasa Polski. Myśl i wynikająca z niej praktyka, jakie zostały przeciwstawione systemowi, nie była teologią wyzwolenia, lecz teologią trwania - swoistej symbiozy Kościoła i narodu w obliczu wspólnych zagrożeń. Jakie to były niebezpieczeństwa? Odcięcie od tradycji chrześcijańskiej, europejskiej i narodowej, degeneracja moralna i biologiczna.

W warunkach daleko posuniętej atomizacji społeczeństwa, a zarazem upaństwowienia wszystkich dziedzin życia, Kościół pozostał jedyną niezależną instytucją. W czasach panowania materializmu bez dóbr materialnych, był miejscem, gdzie schroniły się wartości duchowe. Ludzie zapełniający świątynie oczekiwali od kapłanów nie tylko posługi ściśle religijnej, wyjaśnienia dogmatów czy nauk moralnych, lecz odpowiedzi na pytanie, kim są, jakie jest ich miejsce w świecie i historii. I odpowiedzi takie otrzymywali. Nawet w momentach, gdy groziło to bezpośrednim niebezpieczeństwem, Kościół nie uchylał się od zajmowania stanowiska w sprawach publicznych, niejednokrotnie bardzo krytycznie.

Z drugiej jednak strony nigdy nie kwestionował też politycznego "status quo". Oddawał cesarzowi co cesarskie. Co więcej - w momentach kryzysowych, których nie brakowało w historii Polski Ludowej, Kościół działał na rzecz uspokojenia nastrojów społecznych. Tak było w 1956 roku, gdy uwolniony z miejsca internowania kardynał Wyszyński apelował o spokój, zaś później wezwał do głosowania w komunistycznych wyborach. W tym samym okresie na Węgrzech kardynał Mindszenty postąpił inaczej. Odmawiając legalności rządowi komunistycznym przyspieszył beznadziejne powstanie i narodową tragedię. Ten przykład tkwił silnie w pamięci kardynała Wyszyńskiego. Podobnie, jak w roku 1956, postępował w latach 1970 i 1976, a także 1980-1981. Linie tę kontynuuje jego następca.

Wybór kardynała Wojtyły na papieża, a następnie jego pierwsza wizyta w Polsce sprawiły, że rola katolicyzmu w polskim życiu społecznym wzrosła do nie notowanych od dawna

rozmiarów. Dał o sobie znać charakterystyczny splot uczuć religijnych i patriotycznych. Mimo, że zbiorowa manifestacja siły społeczeństwa i zarazem krachu oficjalnej ideologii, jaką stała się wizyta Jana Pawła II /czerwiec 1979/, była zapowiedzią późniejszego o rok masowego ruchu strajkowego, również Kościół został zaskoczony przez rozwój wydarzeń. Po okresie pewnej rezerwy udzielił "Solidarności" mandatu zaufania. I odwrotnie - nowo powstały ruch związkowy szukał wsparcia w jego autorytecie. Uzyskał je - zwłaszcza w zapalnej kwestii objęcia swobodami związkowymi rolników indywidualnych. Jednocześnie kierownictwo Kościoła starało się o wypracowanie jakiegoś "modus vivendi" między "Solidarnością", a władzami państwowymi, broniąc się zarazem przed przyjęciem roli instytucjonalnej siły politycznej.

Kiedy latem 1981 roku ster rządów po zmarłym prymasie Wyszyńskim obejmował arcybiskup Józef Glemp, mógł on tylko kontynuować linię swego poprzednika. Wkrótce jednak stanął wobec próby znacznie trudniejszej. Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku zniósło swobody obywatelskie i związkowe. Kierownictwo kadra "Solidarności" została internowana. Powiadomiony jeszcze tej nocy o rozwoju wydarzeń prymas Glemp, podobnie jak nr 2 w hierarchii Kościoła, sekretarz Episkopatu arcybiskup Bronisław Dąbrowski, uznał ów zamach stanu za "mniejsze zło". Co zatem miało być "złem większym"? Być może objęcie władzy przez "twardych" zwolenników krwawej rozprawy z "Solidarnością". Być może bezpośrednia interwencja sowiecka?

Stąd dramatyczny apel prymasa Glempla o zachowanie spokoju. O to, by "nie przelewano polskiej krwi", apelował z dalekiego Rzymu Jan Paweł II. Krwawego wariantu przebiegu wypadków obawiała się również militarna ekipa Jaruzelskiego. Liczono się z możliwością przekazania Kościołowi internowanego Lecha Wałęsy i przeprowadzenia rozmów pokojowych przy jego udziale. Rozwiązanie siłowe przy pomocy ograniczonych represji odniosło jednak sukces i już wiosną 1982 roku ludzie Jaruzelskiego powiadomili prymasa, że żadnej "Solidarności" nie będzie. Biskupi, oraz ich najbliżsi doradcy uznali to za fakt dokonany. Kolejne apele o przywrócenie dialogu ze społeczeństwem miały już charakter wyłącznie werbalny. Z przekonania o nieodwołalnym końcu "Solidarności" wynikały natomiast posunięcia o realnej wadze politycznej. Takie znaczenie miało wezwanie do zachowania spokoju w momencie oficjalnego ogłoszenia likwidacji wszystkich dotychczasowych związków zawodowych, by stworzyć pole dla nowych. Prymas wypowiadał się też bardzo wyraźnie przeciwko zachodnim sankcjom gospodarczym, które miały wymusić przywrócenie swobód związkowych. Motywował to, podobnie jak komuniści, interesem społeczeństwa polskiego, które nie powinno ucieść.

W wypowiedziach przedstawiciele hierarchii kościelnej dawały się, oczywiście, zauważyć pewne różnice. Ostrzej brzmiały sformułowania komunikatów po Konferencjach Episkopatu, zwłaszcza zawarte tam apele o zwolnienie więźniów politycznych, arcybiskup Wrocławia Henryk Gulbinowicz wyraźniej manifestował sympatie dla działaczy zepchniętej do podziemia "Solidarności", podobnie czynili inni biskupi. Z Watykanu dobiegał głos papieża, który - wyraźnie poczuwając się do "duchowego ojcostwa" ruchu "Solidarności" - często odwoływał się do samej idei solidarności.

ci, jako ładu społecznego, opartej na przestrzeganiu praw obywatelskich. Specyficzny i w pewnym stopniu anachroniczny model polskiego Kościoła sprawiał, że głos arcybiskupa Józefa Glempa liczył się przede wszystkim.

Postawa prymasa była zgodna z rolą, jaką w "normalizacji" wewnętrznej sytuacji ekipa Jaruzelskiego przewidziała dla Kościoła. Miał on stanowić zawór bezpieczeństwa, rozładujący najgroźniejsze napięcia. Już w pierwszym okresie stanu wojennego zezwolono więc na otoczenie internowanych i ich rodzin opieką instytucji kościelnych, usunięto ograniczenia dotyczące budownictwa sakralnego i podróży zagranicznych księży, a odwołana prasa kościelna uzyskała - mimo ograniczeń cenzuralnych - pewną swobodę wypowiedzi.

Mimo, że postulaty te były zgłaszane przez Kościół jeszcze przed powstaniem "Solidarności", kompromis nie był w tym stadium możliwy. Po pierwsze dlatego, że większość aktywnych społecznie katolików świeckich nadal utożsamiała się z ruchem "Solidarności". Grupa ta została zasilona przez wielu intelektualistów i działaczy rozczarowanych do skompromitowanego systemu. Ludzie ci znaleźli w Kościele nie tylko zaspokojenie narodzonych na nowo tęsknot religijnych, ale także możliwość ekspresji poglądów politycznych. Podobną postawę zajęła część niższego kleru, zwłaszcza młodzi, radykalni księża, kontestujący represyjną politykę władz i posuwający się do otwartej krytyki ugodowego prymasa.

Po drugie - nawet on sam zdawał sobie sprawę, że nadmiar awansów ze strony władz grozi utratą zaufania społecznego. Niechętnie odnosił się więc do udziału katolickich Quislingów w strukturach władzy /exemplum pisarz Jan Dobraczyński, przewodniczący Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, czy Jerzy Ozdowski, wicepremier z okresu stanu wojennego/, nie pobłogosławiał też pomysłów, przewidujących rozwiązanie "Solidarności" przez powołanie chadeckich, kontrolowanych ściśle przez Kościół, związków zawodowych.

Mimo to, osoba prymasa i jego polityka stała się obiektem silnej krytyki, nie tylko ze strony radykalnych księży, ale także podziemnej prasy "Solidarności" i pism emigracyjnych, zwłaszcza wpływowej grupy skupionej wokół paryskiego miesięcznika "Kultura". Umacniało to prymasa w przekonaniu, że kręgi opozycyjne i ich zachodni sojusznicy traktują Kościół instrumentalnie, dążąc do wywołania kolejnego zrywu Polaków przeciwko krajowemu i międzynarodowemu systemowi komunistycznemu, opartemu na militarnej potęgze ZSRR.

Tymczasem ostrożna polityka głowy Kościoła w Polsce zdawała się przynosić pewne owoce. Co prawda restauracja komunistycznego "ancien regime u" postępowała, ale władze ograniczały zakres represji. Kościół pozostawał potęgą i cieszył się sporym zakresem swobód. Prymas zrealizował swój podstawowy cel - doprowadzenie do drugiej wizyty Jana Pawła II w Polsce.

X X X

Wydarzenie to /czerwiec 1983/ ukazało, jaką rolę Kościół jest w stanie odegrać, a czym by może. Obok ściśle religijnego wymiaru głoszonych nauk, papież przypomniał Polakom podstawowe wartości, które były celami ruchu "Solidarności": prawa człowieka, a zwłaszcza świata pracy, sprawiedliwość i ugode społeczną, miwerenność państwa. Mówił o uwięzionych i przesładowanych. Wizyta, a przede wszystkim dwa spotkania z generałem Jaruzelskim, nie przyniosła natomiast rezultatów ściśle politycznych. Podziemna "Solidarność" trwała w oporze, przyjęty przez papieża Wałęsę umocnił swój autorytet, zaś władze nie widziały nadal innego rozwiązania tego problemu, poza środkami policyjnymi.

A zatem: w planie społecznym Kościół może być wyjątkowo "opozycją moralną". Siłą sensu striote polityczną nie jest, jego dyplomacja ma ograniczoną skuteczność. Wizyta Jana Pawła II nie przyniosła też zasadniczej poprawy stosunków kościelno-państwowych. Kryzysowym momentem stały się natomiast wydarzenia przez papieża Wałęsę umocnił swój autorytet, zaś władze nie widziały nadal innego rozwiązania tego problemu, poza środkami policyjnymi.

Warezawski kapłan był symbolem, czołową postacią tych kręgow kleru katolickiego, które udzielały moralnego wsparcia podziemnej "Solidarności". Nie zostało do końca wyjaśnione, kto inspirował sprawców. Można jednak postawić hipotezę, że zbrodnia, obok celu doraźnego - uderzenia w niewygodnego księdza i zastraszenia pozostałych - miała też stordedować uprawianą przez Jaruzelskiego politykę kokietowania Kościoła. Zarówno cel pierwszy, jak i drugi, zostały osiągnięte tylko w pewnej mierze. Obok księży przestraszonych, pojawili się dziesiątki następców księdza Popiełuszki, odprawiających - jego wzorem - msze sw. za Ojczyznę w niewoli i piętnujących zło społeczne. Na pogrzebie ofiary zamachu, przemawiając do setek tysięcy zgromadzonych ludzi, prymas znów wzywał do zachowania spokoju i do otwarcia dialogu; spokój został zachowany, ale dialogu nadal nie było. "Solidarność" pozostawała ściganą zwierzyną, przybywało więźniów politycznych. Jaruzelski mógł się jednak powoływać na łagodzący wpływ Kościoła w konfliktowej sytuacji społecznej. Nie skorzystał jednak z szansy, jaką dawało ujawnienie sprawców zbrodni i ich publiczny proces. Propaganda państwa wzięła na cel samego zamordowanego i polityczne, opozycyjne tendencje wśród księży, a wreszcie Kościół jako całość. Prasowa kampania dotyczyła niewrażliwych punktów: budownictwa kościelnego, dochodów księży. Celem było wykazanie, ile Kościół zyskał i ile może stracić.

Stanowisko Episkopatu również się usztywniło, zwłaszcza że za propagandowymi wypadami przyszło bardziej realne zagrożenie. Władze zaczęły intensywnie dążyć do wprowadzenia nowego przedmiotu szkolnego, tak zwanego religioznawstwa, będącego w istocie indoktrynacją marksistowskich /"opium dla ludu"/ poglądów na religię. Zaostrzył się ton listów pasterskich. Po raz pierwszy w dziejach panowania komunistycznego w Polsce, parlamentarne pseudowybory, wiosną 1985 roku, zostały zbojkotowane przez niemal wszystkich /z jednym wyjątkiem/ biskupów. Pełna rezerwy postawa prymasa i Episkopatu przesądziła o tym, że żaden ze

związanych z Kościołem polityków katolickich nie zdecydował się na wejście do parlamentu.

W drugiej połowie 1985 roku prymas Glemp określił stosunki kościelno-państwowe jako bardzo złe. Spektakularnym tego wyrazem było wycofanie się strony kościelnej z rokowań dotyczących tak zwanej Fundacji Rolniczej^{x/}. Idea ta zrodziła się jeszcze w roku 1982. Planowana fundacja miała być formą pomocy ze strony rządów zachodnich, kościołów oraz instytucji prywatnych dla polskiego rolnictwa indywidualnego. Był to pomysł, który skupiał pod jednym dachem trzy heresze wobec komunistycznych dogmatów: silne rolnictwo prywatne, wspierane przez niezależny od władzy Kościół katolicki środkami udzielanymi przez Zachód. Mimo, że katastrofalna sytuacja ekonomiczna Polski skłaniała do przyjęcia tej formy pomocy, władze mcnężyły coraz to nowe przeszkody prawne, zmierzając do zapewnienia kontroli państwowej nad fundacją.

Wycofanie się z kilkuletnich, beznadziejnych rokowań, było zęc zęcynym posunięciem dyplomacji kościelnej. Wyrzucił ono o kilka dosłownie dni zwolnienie większości więźniów politycznych, w tym przywódców podziemnej "Solidarności". Kościół, który od dawna się tego domagał, mógł się teraz czuć zwolniony z obowiązku świadczenia wzajemnego i potraktować zerwanie rozmów w sprawie fundacji jako cenę za amnestię.

Tymczasem Jaruzelskiemu zależało na poprawie własnego "image" przed spodziewaną wizytą we Włoszech i spotkaniem z Janem Pawłem II. Zwłaszcza w Watykanie nie mógł dać się zdystansować Gorbaczowowi, który także wybiera się nad Tybr. Dynamiczny przywódca sowiecki, szukając możliwości wywarcia moralnej presji na prezydenta Reagena w sprawie "wojen gwiezdnych", docenił pokojowe oddziaływanie katolicyzmu. Z prasy sowieckiej zniknęły antywatykańskie akcenty, obecna w niej jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Zmiana nastawienia przywództwa ZSRR zbiega się z intencjami dyplomacji watykańskiej, zainteresowanej rozszerzeniem tradycyjnej "polityki wschodniej" na ZSRR.

Obydwaj polscy partnerzy, Jaruzelski i Glemp, znaleźli się więc wobec groźby, że dialog prowadzony będzie na linii Moskwa-Watykan z pominięciem Warszawy. W takiej sytuacji doszło do częściowej odwilży. Najpierw - po dłuższej przerwie - do spotkania prymasa z Jaruzelskim, później - do watykańskiej wizyty tego ostatniego, triumfalnie dyskontowanej przez propagandę rządową. Rumieńców nabrały przygotowania do trzeciej wizyty Jana Pawła II. Prymas Glemp włączył się do "pokojowej ofensywy" Gorbaczowa, nie przyjmując co prawda na razie zaproszenia do Moskwy, ale wysyłając tam - na chrześcijańską konferencję pokojową - wysokiego rangi reprezentantów i udzielając wywiadu pismu "Literaturnaja Gazeta".

Czy świadczy to o nowej fazie "historycznego kompromisu", czy może tylko o zamrożeniu "zimnej wojny" na pewien czas?

^{x/} Piszemy o tym szerzej wewnątrz numeru /red./

W powojennej historii Polski Ludowej bywało już i tak, że komunistyczny prezydent prowadził prywasa pod rękę podczas procesji Bożego Ciała /Bolesław Bierut, 1946/, by w kilka lat potem wiedzieć jego następcę /1955/. Na wstępie tego artykułu wskazaliśmy powody, dla których Kościół katolicki w Polsce nie odmawia władzy komunistycznej swego krytycznego poparcia. A to, czy komuniści tę pomoc przyjmują, czy też odtrącają, wracając do źródeł swej ideologii, wynika z ich własnych kiepotów.

X Z X

Z początkiem lutego komisja wspólna Rządu i Episkopatu - ciało negocjacyjne, którego działanie wznowiono po roku 1980 - ogłosiła komunikat, że trzecia wizyta papieża w Polsce odbędzie się w dniach od 8 do 14 czerwca 1987. Jan Paweł II odwiedzi Warszawę, Częstochowę, Gdańsk, Kraków, Lublin, Białą, Szczecin i Tarnów. Ze źródeł kościelnych wiadomo, że pielgrzymka połączona będzie z krajowym Kongresem Eucharystycznym, pomyslanym jako impreza ruchoma, obradująca kolejno w miejscach pobytu papieża. Wizyta zatem przebiegać będzie przede wszystkim pod znakiem Eucharystii. Przewidziano beatyfikacje dwóch osób: Karoliny Kózkówny, polskiej Marii Goretti, która zginęła z rąk rosyjskiego żołnierza podczas pierwszej wojny światowej, broniąc swego dziewictwa, oraz biskupa Michała Kozala, męczennika hitlerowskiego obozu koncentracyjnego.

Ja, wybór tych dwóch postaci wskazuje, że wizyta przyniesie silne akcenty pokojowe. Czy wojna jest akurat tym niezbędnie-czeństwem, którego Polacy roku 1987 obawiają się najbardziej? Jan Paweł II zdobywał serca wiernych w nieporównanie trudniejszych warunkach. Tym razem jednak przyjdzie mu przemawiać do społeczeństwa głęboko sfrustrowanego zarówno niedawną światową dążeń wojnościowych, jak i pogarszającą się sytuacją życiową większości społeczeństwa, generalnym brakiem perspektyw.

Co będzie miał im do powiedzenia tym razem? W 1979 roku przyjechał do Polski jakby uśpionej po kilku latach prosperity gospodarczej, do kraju, który stał na progu głębokiego kryzysu gospodarczego. Jego wizyta nie tylko podniosła temperaturę tradycyjnych uczuć chrześcijańskich. W perspektywie społeczno-politycznej ożywiła nadzieje i uświadomiła - mówiąc skrótowo - ludowi jego siłę. W roku 1983 papież mówił do ludzi, którzy oczekiwali potwierdzenia swoich moralnych racji. Triumfowała przemoc, ale trwał cywilny opór. Jan Paweł II mówił o zwycięstwie, transcendentnym zwycięstwie wiary, lecz wielu rozumiało to w sposób zupełnie doczesny. Słyszeli przecież takie papieskie wypowiedzi o prawach człowieka, o związkach zawodowych, o uwięzionych i prześladowanych.

Teraz przyjeżdża do kraju, w którym sytuacja polityczna uległa "normalizacji". Nie ma strajków i zamieszek, nie ma - jak na razie - więźniów politycznych, ale zasadniczy problem częściowego choćby upodmiotowienia społeczeństwa pozostał nierozwiązany, mimo tworzenia coraz to nowych fasadowych instytucji i kosmetycznych reform. Zarówno papież, jak i biskupi polscy są wobec tego zagadnienia jednomyślni. Wiedzą, że stworze-

nie autentycznych, niezależnych organizsoji, także syndykatów zawodowych, jest niezbędnym warunkiem przewycięzenia zgubnych dla społeczeństwa nastrojów zniechęcenia, apatii i głuchej odmowy. Mają ostrożną nadzieję, że wizyta ta stanie się detonatorem nowych przemian.

Papież przybędzie do Gdańska, miasta, gdzie siedem lat wcześniej rozpoczął się ruch strajkowy, który wstrząsnął podstawami "realnego socjalizmu". Przyjmie zapewne Lecha Wałęsę, być może odda hołd poległym stocznicowcom, ale na niewiele więcej może sobie pozwolić. W planie wizyty Gdańsk, to miasto, gdzie zaczęła się również II wojna światowa, co da papieżowi okazję do jeszcze jednego, dramatycznego apelu o pokój. Główne spotkanie ze światem pracy przewidziano natomiast w Łodzi. To przesunięcie akcentów jest znamienne. Czy możliwe będzie jednak rozpoczęcie rachunku od nowa, tak, aby nie padł nań wielki cień "Solidarności"?

Maciej Kostur

Odzyskiwanie ojczyzny

Utrata niepodległości narodowej dała w Polsce początek trwającym prawie półtora wieku walkom o jej odzyskanie. Walka toczyła się na dwóch poziomach: na polach bitew i na kartach dzieł, osnutych wokół tematu utraconej wolności. Dzięki te wyrastały z zakorzenionego głęboko przekonania, że wszelkie realne odzyskanie ojczyzny musi być poprzedzone przez odzyskanie duchowe, a więc przez wewnętrzne odnowienie ducha patriotycznego. Z kolei warunkiem tej odnowy było rozjaśnienie samej idei ojczyzny, czyli uzyskanie odpowiedzi na pytanie: czym jest ojczyzna. Wedle A. Mickiewicza, właściwy sens i wartość idei ojczyzny odsłania się dopiero wtedy, gdy człowiek traci ojczyznę. Jeśli tak, to polscy myśliciele okresu zaborów znaleźli się w sytuacji uprzywilejowanej, szczególnie sprzyjającej temu rozumieniu.

Oprócz dzieł literackich opowiadających o utracie ojczyzny, powstają również malarskie przedstawienia sytuacji niewoli. Jedno powtarza się często. Jest nim obraz kobiety zakutej w kajdany. Obraz ów, być może okliwy i naiwny, przemawiał jednak do wyobraźni milionów i oddawał coś, co miliony czuły, nie potrafiąc tego w pełni wysłowić. Szczególnie godna uwagi jest przy tym katwość, z jaką ojczyzna dała się personifikować, czyli przedstawiać jako osoba. Niewola ojczyzny pozwalała się przedstawiać symbolizmie jako zniewolona kajdanami kobieta. Pociągało to za sobą ważne następstwa: personalizację wszystkich odniesień do ojczyzny. Jeśli ojczyzna jest czymś podobnym do osoby, to nasz stosunek do naszej ojczyzny winien być mniej więcej taki, jak nasz stosunek do osób. Mamy bronić ojczyzny jak osoby, być wierni ojczyźnie, jak osobie, miłować ją jak osobę. Symbol uwięzionej kobiety domagał się od tych, którzy go rozumieli, odniesień o charakterze etycznym.

Powracamy dziś do idei ojczyzny w szczególnej sytuacji. Grozi nam utrata ojczyzn - nam, to znaczy współczesnej Europie. Nie chodzi przy tym wyłącznie o utratę niepodległości, lecz o utratę samej potrzeby ojczyzny, a nawet samej jej idei. Heidegger mówi, że zostaliśmy dotknięci "istotowym brakiem" ojczyzny, spowodowanym przez "porzucenie bytu przez bycie": brak ojczyzny jest naszym losem. Inni sami odrzucają ojczyznę, wskazując na niebezpieczeństwa, jakie z niej płyną: na nacjonalizm, na szowinizm, na skłonność do narodowych imperializmów.

^{x/} Tekst odczytu na konferencji Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu, kierowanej przez prof. Jacquesa Derrida, pt. "Narodowości i nacjonalizmy filozoficzne".

Człowiek woli często być obywatelem całego świata, niż przywiązywać się do jednej jego części. Najczęściej daje jednak znac brak odpowiedniego języka do opisu ojczyzny. Uprzedmiotowany język socjologii pozbył się ojczyzny - korzysta zatem nie jest mu niezbędne. Niekiedy sięga po nie polityka, ale najczęściej nie robi tego w dobrej wierze. Trudności językowe pojawiają się również przy próbach przekładu z jednego języka na drugi. Podstawowe pojęcia, przy pomocy których język polski opowiada o doświadczeniu ojczyzny, jedynie z trudnością dają się przełożyć na język francuski, a są prawie nieprzekładalne na niemiecki.

Pragnę tutaj rozwinąć nieco kilka idei, szczególnie ideę ojczyzny, w oparciu o intuicje dostarczone przez polską literaturę i sztukę okresu rozbiarów. Bliższego rozważenia wymagają dwa pytania: czym jest naród i co jest istotne dla ojczyzny? Jakie pozytywne doświadczenia kryją się poza jednym i drugim? Jakie doświadczenie sprawia, że abstrakcyjne pojęcie ojczyzny daje się tak łatwo personifikować?

Rozpoczynamy od sprawy narodu.

NARÓD - TWORZYWO OJCZYZN

Aby zrozumieć, czym jest naród, trzeba sięgnąć do jego podstawy. Podstawą dla narodu jest lud. Dwa te pojęcia nakładają się często na siebie, ale z wyraźnym dążeniem do różnicowania. Różnicowanie szkło w parze z wartościowaniem: naród nie tylko różnił się od ludu pod względem doboru posiadanych cech, ale był czymś wyższym od ludu.

Warto przypomnieć kilka sformułowań B. Trentowskiego dotyczących ludu: "Lud jako lud, tj. jako ogół niewyszczególniony, jako naród in potentia od wieków i na wieki, a więc jako naród dziki, przebywa w niezmiennym niemowlęctwie /.../ Jak między niemowlętami, tak między ludami nie ma właściwej różnicy. Tutaj jawi się wszędzie i zawsze niedojrzałość, niepełnoletniość, tenże sam duch dziecięcy. Każdy lud jest rajem mieszkańcem. Nie on, lecz to, co się z niego wyszczególnia, co dojrzało i do pełnoletności doszło, utracą eden. Nad ludem czuwa ojciec demon i matka natura, wodząc go na pasku konieczności, budząc w nim cudowny instynkt zwierzęcy."

Lud nie stanowi jeszcze ojczyzny i nie stanowi też tworzywa dla ojczyzny. Nie zna on, co to wolność - nigdy jej nie utracił, bo jej nigdy nie miał: chodzi na pasku konieczności. Nie mając pojęcia o wolności, nie umie też o nią walczyć. Poza tym lud jest zawsze szczęśliwy. Nie zna on, by nie odczuwał jakichś bólów - bólu ciała, chłodu, głodu, zmęczenia, ale nie są to swójście ludzkie bóle, lecz bóle wspólne ze zwierzętami. Ludowi obce są prawdziwie ludzkie cierpienia - te, których wspólnym podłożem jest niewola.

Zarysowana przez Trentowskiego koncepcja ludu nie była oczywiście powszechnie obowiązującą. W tym samym czasie przychodziło do Polski z Francji inne rozumienie ludu. W języku Wielkiej Rewolucji rysem wyróżniającym lud było nie mniej i nie więcej jak właśnie nieszczęście. Robespierre powtarzał: "lud zawsze nieszczęśliwy". Nieszczęście jest tym, co określa samowiedzę ludu jako ludu. Staje się ono zarazem racją istnienia i działania rewolucjonisty. Rewolucjonista czuje się potrzebny tak długo, jak długo lud jest nieszczęśliwy. W tym punkcie natrafiamy również na istotną różnicę między rewolucjonistą a powstańcem. Powstaniec pojawia się tam, gdzie nieszczęście jest nieszczęściem narodu, natomiast rewolucjonista pozostaje przy tym, co ludowe.

Czym jest tedy naród?

Zgodnie z rozpowszechnionymi wówczas przekonaniami, Trentowski głosi, że zasadą istnienia narodu jest jakieś prawo. Naród istnieje dzięki prawu. Naród jest - jak się wyrażał Hegel - "substancją etyczną". Substancjalne dla narodu jest przede wszystkim jego prawo, najpierw niepisane a potem pisane, określające zręb narodowego ładu etycznego. Wzorem takiego myślenia o narodzie był niewątpliwie naród żydowski, zawdzięczając swe powstanie i swe istnienie prawu. Istniała jednak różnica: naród żydowski był wówczas narodem bez ziemi, tymczasem dla Polaków ziemia była wartością istotną. S. Goszczyński mówił nawet o "braterstwie z ziemią", jako jednej z zasad polskiego etosu. Ziemia nie była tu rozumiana wyłącznie jako życiodajna gleba, ale jako istotna część składowa ojczyzny - jako własność ojezyczny. Podstawowym prawem, którym kierował się naród, była troska o ziemię, co to "jak matka żywi swoje dzieci". Wraz z nią szło w parze poozucie braterstwa, wywodzące się ze wspólnej heroicznej i świętej przeszłości. Polskie miejsce na ziemi było księgą, z której można było wyczytać historię Polski - polska krew i pot wsiąkały w ziemię, czyniąc ją polską ziemią.

Ale prawo, wedle którego żył naród, nie było - przynajmniej do rzeźbiorów - wyraźnie uświadomione. Naród nie znał substancji, z której żył. Nie mając jasnej świadomości siebie i nie zdając sobie sprawy z własnej wartości, naród nie mógł wybrać siebie. Nie był też w stanie odnieść się do siebie krytycznie. Nie znał jeszcze pojęcia winy narodowej. Jego świadomość była bezpośrednią ekspresją wybujałej żywotności, jurności niemal. Dlatego tak często ciążyła w naturalny sposób w stronę nacjonalizmu. Ale stan ten zmienił się po klęsce, jaką były rzeźbiorry. Klęska staje się powodem szukania przyczyn upadku. Kryształuje się pojęcie winy narodowej. Wraz z tym w jaśniejszym świetle staje pojęcie narodowej cnoty. Otwiera się możliwość rzetelnych porównań narodu z innymi narodami. Naród nie zajmuje już centralnego miejsca na świecie. To wszystko sprawia, że po raz pierwszy istnieje społeczna możliwość wyboru - wyboru narodu przez sam naród, co oznacza początek ojczyzny. Ojczyzna - to naród, który refleksyjnie wybrał i uznał sam siebie. Nie ma ojczyzny bez narodu, ale sam naród nie jest jeszcze ojczyzną. Aby z narodowego tworzywa mogła powstać ojczyzna, naród

musi w krytycznej refleksji wybrać siebie - przejść przez ognio-
wą próbę wolności.

OJCZYŻNA - JAKBY OSOBA

W doświadczeniu ojczyzny zawiera się jakiś paradoks: ojczyzna ukazuje się zarazem jako coś, co jest, i jako coś, co należy dopiero odzyskać. Ojczyzna jest, ponieważ jest w niewoli. Ale zniewolona ojczyzna nie jest jeszcze prawdziwą ojczyzną. Ojczyzna niejako ze swej natury wzywa do tego, by ją uczynić wolną. Taki sens ma obraz kobiety w kajdanach. Sztuka w sposób wyraźny personifikuje ojczyznę. Ale kryje się w tym głębszy sens. Wskazuje ona na to, że ojczyzna już jakoś istnieje - istnieje jako naród z ziemią i całym swoim dziedzictwem, niemniej istnienie to nie jest pełne, ponieważ brakuje jej wolności. Ojczyzna zaistnieje, gdy zostanie wybrana - zaistnieje wolnością tych, którzy ją wybrali. Zakuta w kajdany kobieta wzywa do wyboru.

CO TO NAPRAWDĘ ZNACZY?

M. Scheler dokonał kiedyś podziału wartości na dwie podstawowe grupy: wartości, które mogą przysługiwać osobie, i wartości, które nie przysługują osobie; czyli wartości personalne i wartości apersonalne. Istotnym znamieniem wartości personalnych jest ich wybór: one tylko pod tym warunkiem mogą zaistnieć, że zostaną przez człowieka wybrane. Wybór takich wartości sprawia, stwierdza dalej M. Scheler, że człowiek coraz bardziej staje się osobą. Wybór wartości personalnych *p e r s o n i f i k u j e* człowieka. Weźmy na przykład pod uwagę męstwo. Ludzie z natury są albo lękliwi, albo zuchwali. Aby z lękliwości i zuchwałości mogło powstać męstwo jako cnota osoby, człowiek musi dokonać wyboru; nikt nie może stać się mężnym, jeśli nie wybierze tego, by być mężnym. Podobnie z wiernością: nikt nie jest wierny, jeśli nie chce być wierny. Tak samo ma się rzecz z samą wolnością; aby być wolnym, trzeba chcieć być wolnym, czyli trzeba wybrać własną wolność.

To naprowadza nas na głębszy sens idei ojczyzny. Czym jest ojczyzna? Czym jest kobieta w kajdanach? Jest osobą, której przeszkodzono w rozwoju personalizacji. Ponieważ ojczyzna nie jest wolna, nie może stać się osobą. Tym sposobem symbol uwięzionej kobiety ukazuje głębszy sens - jest obrazowym przedstawieniem z a s a d y p e r s o n a l i z a c j i. Gdyby ojczyzna była wolna, byłaby osobą, ale skoro nie jest wolna jest osobą połowiczną - osobą o tyle, o ile chce wolności, o ile swą wolność wybiera. Ale to, co się tu mówi o ojczyźnie, dotyczy każdego człowieka: każdy człowiek - członek narodu - jest osobą połowiczną, jeśli nie wybierze swej własnej wolności i wyborem takim nie uwolni z niewoli ojczyzny.

Zasadę personalizacji narodu można oglądać od rozmaitych stron, przede wszystkim od strony pozytywnej i negatywnej. Pozytywną stronę zasady ukazują rozmaite r a d y, jakie ówczesni myśliciele kierują do narodu, wskazując mu jego o b o - w i ą z k i; już samo pojęcie obowiązku wskazuje na to, że ma się tu na myśli człowieka jako osobę, czyli istotę powołaną do wyboru. Negatywną stroną zasady ukazuje k r y t y k a w a d narodowych, które kiedyś stały się przyczyną upadku; wady te są rozmaite, ale wadą główną jest sam brak wyboru wolności. Spójrzmy bliżej.

C. Norwid powiedział: "ojczyzna - to wielki zbiorowy obowiązek". A także: "Bo ojczyzna - ziomkowie - jest to moralne zjednoczenie, bez którego partii nawet nie ma - bez którego partie są jak b a n d y lub koczowiska polemiczne, których ogniem niezgoda, a rzeczywistością dym wyrazów." W tym samym kontekście należy umieścić rozróżnienie między tym, co "inspirujące" a tym, co "zobowiązujące": ojczyzna nie tylko inspiruje, ale również, a nawet przede wszystkim, zobowiązuje. Te i tym podobne wypowiedzi podkreślają etyczny charakter doświadczenia ojczyzny. Nie chodzi tu jednak tylko o podkreślenie tego, co już niosła ze sobą idea narodu - podkreślenie prawa jako "substancji" narodu. Naród z jego prawami i jego etosem jest rzeczywistością zastaną - ojczyzna wybrana. Naród ucieleśnia w swej "substancji" całokształt wartości, bez wyraźnego wyodrębnienia wartości personalnych - jest rodem, jest rasą, charakterem, temperamentem. Ojczyzna reprezentuje wyłącznie to, co - aby zaistniało jako siła sprawiająca społeczne skutki - musi być wybrane. Dlatego zaczyna się od obowiązku, który jest czymś więcej niż dziedzicznym nawykiem.

Obowiązek jest tu czymś istotnym. Jego rodowód jest inny niż u Kanta. U Kanta źródłem obowiązku jestem ja - ja, który sam sobie nakładam obowiązek. Tutaj źródło obowiązku bije poza mną, w twarzy kobiety zakutej w kajdany. To nie ja sam siebie wzywam, to ojczyzna mnie wzywa - wzywa ta, której nieszczęście jest większe od mojego. Mój obowiązek ma charakter odpowiedzi na wezwanie. Dopiero potem wyłania się sprawa mojej wolności. Ponieważ ojczyzna jest w niewoli, ja nie mogę być całkiem wolny, lecz mam obowiązek starania się o jej wolność. Niewola ojczyzny rodzi we mnie wolę zobowiązaną, a więc w pewien sposób związaną. Odpowiadając na wezwanie wedle tego zobowiązania, czynię pierwszy krok w kierunku wyzwolenia siebie. Taka bowiem jest prawda, że w czasach niewoli, wolnymi mogą być jedynie ci, co starają się o wolność i o ile się starają.

Refleksje pozytywne nad zasadą personalizacji miały za swe tło przeświadczenie, że ten naród, który kiedyś w przeszłości pozwolił sobie odebrać niepodległość, nie jest zdolny do jej odzyskania, lecz musi to być inny naród - naród, który odnajdzie siebie na innym, personalnym poziomie.

W ścisłym związku z refleksją pozytywną szły refleksje negatywne. Jednym z podstawowych tematów była sprawa wolności dla chłopów, ściślej sprawa ich uwłaszczenia. Nie może być odczynny tam, gdzie jedni są panami a inni poddanymi. Nie można pragnąć wolności, jeśli się jej nie pragnie dla wszystkich.

Pisał K. Libelt: "Żądam od ludu poświęcenia przez miłość dla ojczyzny, ale nie chciej, by lud, co tę ziemię piersiami swymi oszania, umierał na niej z nędzy i głodu; by walczył za wolność a sam żył w niewoli; by oddawał ziemię wywalczoną krwią swoją na dziedzictwo panom, a sam ni zagana na niej nie posiadał. Jeżeli ta ziemia jest matką naszą wspólną, za coś tylko garstka jej synów opływa w jej majątku, a miliony dzieci skazanych na samą pracę bez nadziei nagrody?"

Godny uwagi jest jeszcze jeden moment, zawarty w tekście. Sprawa dotyczy ziemi. Nie jest ona traktowana jako prywatna, czyli wyłączna własność jej aktualnych posiadaczy. Jest ona własnością narodu, a nawet więcej - własnością ojczyzny. Jako wartość ojczysta, powinna służyć wszystkim, a zwłaszcza tym, co na niej pracują. Kiedy pracujący na ojczystej ziemi jej prawowity właściciel, uświadomił sobie głębiej jej sens - sens ojczystej ziemi - ziemia stanie się dla niego "placówką". Będzie jej wtedy bronił tak, jak się broni ojczyzny.

Idea ojczyzny stała się zasadą personalizacji stosunków międzyludzkich w narodzie. Akcenty się zmieniały, ale sens podstawowy był taki sam. Szczególnie ważna okazywała się przy tym treść symbolizowana przez kajdany. Chodziło o cierpienie - cierpienie, które wskazywało na przeszkodę personalizacji. Jeśli cierpienia ludu jako ludu były przede wszystkim bólami jego ciała, jeśli cierpienia narodu jako narodu były przejawem rozkładu wspólnoty obywatelskiej, to cierpienia ojczyzny były cierpieniami spętanej wolności. Spętana wolność nie mogła dokonywać w niewoli wyboru wartości personalnych. Jeśli takiego wyboru dokonywała, musiała to czynić przeciw niewoli.

ZOBOWIĄZANIE

Wspomniałem na początku o trudnościach, jakie powstają, gdy szacujemy dziś mówić o ojczyźnie. Zazwyczaj wskazuje się na trudności natury językowej. Ale jest w tym tylko częściowa racja. Trudności językowe wynikają z braku bardziej podstawowego - braku oczywistego doświadczenia ojczyzny. Tam, gdzie doświadczenie ojczyzny jest żywe, język całkiem łatwo nagina się do treści. Ale doświadczenie ojczyzny to coś szczególnego. Nie jest tęsknotą za krainą dzieciństwa, nie jest przywiązaniem do tego, co swojskie, nie jest marzeniem o ziemi obiecanej. Rdzeniem doświadczenia jest o b o w i ą z e k osób w stosunku do osób.

Ojczyzna to więź. Ale więź ta nie wiąże tak, jak całość wiąże swe części, ani jak zbiór zespala razem elementy, które do zbioru należą. Człowiek nie jest częścią "całości" zwanej ojczyzną; ojczyzna nie "totalizuje". Dlatego zapewne nie poddaje się badaniom pozytywistycznie nastawionej socjologii, dla której wyobrażenie zbioru i podpadających pod zbiór elementów, jest podstawową dyrektywą badawczą. Dlatego, chociaż wszędzie można oglądać rozmaite "socjologie grup społecznych", nie widziano jeszcze "socjologii ojczyzny".

Ale nie jest ona - ojczyzna - również czymś w rodzaju ogólnej normy moralnej, wedle której mają postępować jej "słudzy". "Norma" - taka to w istocie także zbiór dla elementów, tyle że dla elementów w ruchu. Ojczyzna nie jest również jakimś dyktatorem, który wydaje rozkazy narodowi, jak wojsku. Zachodzi różnica między wojskiem zaborczym a wojskiem powstańczym. Wojsko zaborcze jest wojskiem niewolników, słucha rozkazów, bo musi, wojsko powstańcze jest wojskiem wolnym - słucha, bo tak chce.

Na czym więc polega to zobowiązanie, które budzi ojczyzna?

Raz jeszcze powróćmy do obrazu kobiety w kajdanach. Obraz ten ukazuje się jako dzieło podwójnej sztuki - jako artystyczne i etyczne dzieło sztuki. Należy powiedzieć: jest ono głosem konkretnym, skierowanym do konkretnego człowieka. Głos ten wiąże tak, jak wiąże pytanie zadane drugiemu. Człowiek czuje się zobowiązany do odpowiedzi, ponieważ w głosie pytającego usłyszał coś absolutnego. To, co absolutne, objawiło mu kruchość wszystkich innych powiązań. Jedynie to jest ważne: dać odpowiedź, tu i teraz - dać odpowiedź. Fakt, że odpowiedzią tą może być niekiedy ofiara życia, wskazuje dobitnie tylko na to jedno: jak absolutne jest wezwanie.

Tak więc, gdzie toczy się sprawa ojczyzny, toczy się sprawa człowieka - ale i na odwrót, gdzie toczy się sprawa człowieka, tam wcześniej czy później wyłoni się sprawa ojczyzny. Odzyskując ojczyznę, człowiek odzyskuje swe człowieczeństwo i odzyskuje człowieczeństwo, odzyskuje ojczyznę.

Widzi to doskonale Norwid, gdy odkrywając źródła upadku Polski, odkrywa zarazem podstawową siłę, która wiedzie ku niepodległości:

"Są narody, które pomiały głowami królów swoich, truły i przepędzały książąt panujących, królowom rozkazywały, ażeby zdejmowały buty szewcom - te narody istnieją... I jest naród jedyny na świecie jak historia historią, który w nierządach i zbrodniach onych polityczny wyjątek stanowi - ten naród nie istnieje... Cóż to dowodzi? Oto - że uszanowanie osoby królewskiej nie jest bynajmniej jedyną przyczyną istnienia narodów.

... wcale nie przez nieuszanowanie władzy /a osobiście królewskiej/ Polska nie istnieje.

Gdyby tak było, to pierwaj by cała Europa musiała nie istnieć i w proch się rozpaść.

Nie nieuszanowanie osoby tej lub owej, ani władzy tej lub owej, ale nieuszanowanie osoby-człowieka.

To dla tej przyczyny jedne narody istnieją, a drugie nie istnieją."

ks. prof. Józef Tischner

ANALIZY I PROPOZYCJE

Ernest Skalski

Nieproszone rady

Okres, który zaczął się 11 września może się dla "Solidarności" okazać najtrudniejszym po 13 grudnia. Wynika to z pewnych przesłanek ogólnych, jak i z okoliczności szczególnych.

PRZESŁANKI OGÓLNE Proces przegrywania w polityce wykazuje zazwyczaj pewne, powtarzające się w różnych czasach i miejscach elementy. Występowały one po klęskach powstań i - najwyraźniej może - po 1905 roku.

Decydująca porażka ruchu, partii, struktury, jeśli nie staje się kompletnym pogromem, nie przesądza w oczach członków i uczestników o wynikach całej kampanii. Blokada psychiczna każe traktować porażkę nie jako przesilenie w procesie wzrostu i upadku, lecz jako kwestię przypadku, bądź błędu /przyadek i błąd z reguły te z mają miejsce/, który można szybko naprawić i odrobić. Powoduje to wzmoczoną aktywność, stopniowo przechodzącą w rutynę i upór. Przychodzi bowiem po pewnym czasie zrozumienie, że walka może być ciężka i długa i że należy wytrwać na przekór wszelkim przeciwnościom, nawet w warunkach odpływu zwolenników.

Ten okres - furii i oporu - jest celowy. Proces postępującego znużenia działaczy, kurczenia się struktur i zmniejszania wpływów działa deprymująco, ale w ten sposób daje się on zwalniać, a w dalszej przyszłości może okazać się odwracalny. Wiele zależy od postawy ruchu, od tego, czy nie podda się globalnemu zniechęceniu, czy wytrwa przy swoich hasłach i tych działaniach, które mimo wszystko może prowadzić. W obrazie każdego ruchu jest naturalne miejsce na okres klęski, upadku, zwątpienia, któremu jednak nie poddaje się jego jądro. To też procentuje i stwarza kapitał polityczny na przyszłość. A na bieżąco, opór zmniejsza zdecydowanie zwycięstwo władzy, wywołuje znużenie w jej szeregach, zmusza ją do odkładania niektórych celów, czy rezygnacji z nich, łagodzi represje, chroni instytucje społeczne drugiej linii walki i skłania zwycięzców do trwałej akceptacji niektórych zdobytych, wywalczonych w szczytowym okresie ruchu.

Sytuacja jednak jest zawsze zmienna. Równolegle z nieuchronnym wygasaniem walki, coraz większego znaczenia nabierają nowe problemy. Władza, kontrolująca położenie i mająca spore możliwości manewru, jakos na nie reaguje. Jeśli nawet niez-

był skutecznie i konsekwentnie, to na początku przynajmniej stwarza to wrażenie ruchu. Natomiast przegrana opozycja, której siłą jest rozpoznawalność i wierność zasadom, hasłom, metodom, musi się okazać nieco anachroniczna. A co najważniejsze, nie uczestniczy w rozgrywaniu tych nowych problemów, które coraz bardziej obchodzą jej dotychczasową klientelę. Zaczyna zostawać sama ze swoimi sprawami.

Jest to naturalny czas na dokonanie refleksji, przewartościowań, wyjścia z nowymi koncepcjami, bądź przemyślanego opowiedzenia się przy dotychczasowych. Struktura nie popychana przez wydarzenia, nie niesiona przez napór społeczny, staje się w dużym stopniu autonomiczna wobec sytuacji, ale też i bardziej odpowiedzialna za swe wybory.

Jest nie mniej naturalne, że proces ten odbywa się w toku ostrej walki wewnętrznej, w której dominują akcenty osobiste. Za dokonaniem, które się osądza i koncepcjami, które się lansuje, stoją ludzie, przeważnie znający się dobrze i połączeni, lub może spleceni ze sobą, mający wzajemne zobowiązania i animozje. Mimo, że spory i kłótnie nieodmiennie wywołują gorszące wrażenie wśród zwolenników, powodując - czy ułatwiając - stygnięcie lub odchodzenie wielu z nich, prawie nigdy nie udaje się tego zmienić.

To, że obecne spory wyglądają na zabawy przedszkolaków w porównaniu z tym, co działo się w ruchu rewolucyjnym po 1905 roku, kiedy argumentem stawał się browning, niczego nie zmienia w odbiorze. Szeregowi członkowie i zwolennicy ruchu nie dopuszczają myśli, że przywódco są takimi samymi ludźmi jak oni, łączącymi swoje merytoryczne wybory z różnorodnym interesem osobistym i wymagają od nich nierealnej bezinteresowności. Tymczasem działacze wiele już zainwestowali w swe, jak najbardziej autentyczne, przekonania - co chyba świadczy o ich szczerym podejściu - a z ruchem łączą swoje ambicje, możliwość oddziaływania, wreszcie pozycję życiową, w tym materialną. Ludzie nauki, kultury, interesu /nie u nas/, którzy już mieli jakąś pozycję, mogą wrócić do swych karier, dyskontując nawet swój polityczny dorobek. Szklarz, który został przywódcą robotniczym, nie bardzo ma dokąd wracać. Zaś pozycje tych ludzi zależą w dużym stopniu od rozstrzygnięcia sporów, które się między nimi toczą.

Wszelako zrozumienie tego wszystkiego nie powinno zwalniać od postępowania minimalizującego koszty społeczne i polityczne tego procesu. Jeśli byłyby one bardzo wysokie, to w połączeniu z niezbyt trafnym wyborem, mogłyby na trwałe pozbawić kapitału politycznego pewnych ludzi, segmenty ruchu czy całe organizacje.

TRWAŁA
PROWIZORKA?

Posunięcie z 11 września zostało przez opozycję i większość komentatorów zagranicznych odebrane jako taktyczne. Następne tygodnie utrwaliły to przekonanie, gdy okazało się, że władza zamierza co najwyżej nieco poszerzyć fasadę porozumienia, czyli że działaczom opozycji nie pozostaje nic innego jak kontynuacja działania, władzy zaś - ponowne wsadzanie, po przeczekaniu wizyty Jaruzelskiego w Rzymie, bądź Papieża w Polsce.

Być może, tak właśnie będzie, ale warto rozważyć również inną możliwość. Decyzja z 11 września mogła mieć także strategiczny charakter, lub może nabrać go, jeśli władza odnotuje trwałe korzyści z tego, co może uważała za ryzykowny eksperyment.

W roku 1982 ugruntowało się przekonanie, wtedy jak najbardziej trafne, że głównym czynnikiem, który limituje aktywność i zasięg opozycyjnej działalności oraz wszelkiego protestu, jest strach. Wychodząc z tej przesłanki, uważano, że konsekwencją wypuszczenia więźniów i niewsadzania, przy dalszej blokadzie legalnej opozycji, musi być rozrost działań nielegalnych. Okres, który minął od wypuszczenia politycznych jest może zbyt krótki, by dokonywać daleko idącej rewizji tego przekonania, lecz można je już jakoś podważyć.

Wynika ono bowiem z punktu widzenia ludzi już zaangażowanych w tę działalność, liczących się z możliwością wielomiesięcznej odsiadki. Dla nich próg strachu zdecydowanie się obniżył, może nawet do nieistotnego poziomu i wiadomo, że raczej będą oni nadal robili to, co robią. Wszelako dla ludzi, którzy dotychczas nie włączyli się czynnie - i nie zaangażowali tak wiele w ruch - próg ten nadal jest bardzo wysoki.

Strach jest czynnikiem z opóźnionym działaniem, a terror - nawet umiarkowany - stosuje się właśnie w celach prewencyjnych. Z możliwości wsadzania władza nie zrezygnowała i nie zrezygnuje; żadnych trwałych gwarancji prawnych nie będzie i być w tym systemie nie może. Poza tym, istniejące możliwości mogą wystarczająco obrzydzić życie - rewizja, grzywny, konfiskaty /samochody!/, zatrzymania na 48 godzin, rozmowy i przesłuchania, paszporty, represje w pracy - i to bez wywoływania szerokiego rezonansu, współczucia, pomocy itp.

Ale chyba nie to jest obecnie głównym wyznacznikiem limitującym aktywną opozycję, ile poczucie jej nieskuteczności. Zmęczenie, zniechęcenie, apatia, konieczność zajęcia się własnymi sprawami, to wszystko, co zauważało się od samego początku, staje się w miarę upływu czasu coraz bardziej przemożne. Plus nowy czynnik, który dopiero może się zarysować, a mianowicie rosnąca nieprzystawalność dotychczasowego zestawu działań opozycji, w tym "Solidarności", do zmieniającej się jednak sytuacji i oczekiwań społeczeństwa - o czym dalej.

W tych warunkach może się okazać, że opozycja, z którą władza nie zamierza się porozumiewać, ale której też nie zamierza zbyt intensywnie zwalczać, bynajmniej się nie rozrośnie, lecz pozostanie na dotychczasowym poziomie i raczej będzie trwał proces jej kurczenia się. Stanowi ona drażniący wyłom w systemie realnego socjalizmu, może być bardzo niebezpieczna w zmienionej sytuacji, lecz można z nią jakoś współistnieć, o czym władza się już przekonała.

Jej likwidacja byłaby możliwa technicznie, lecz absolutnie nieopłacalna politycznie dla obecnej ekipy, gdyż zostałaby odebrana jako załamanie stabilizacji, porozumienia itp. oraz przyniosłaby wielkie szkody na arenie międzynarodowej.

Dotychczasowy poziom regresji nie zlikwidował problemu, a też był politycznie kosztowny. Jeśli się więc spektakularnie od niego odstąpi, odnosząc pewne korzyści, a nie ponosząc kosztów w postaci wzmoczonej aktywności opozycyjnej, wówczas stan taki można zaakceptować na dłuższą. Aparat wykonawczy opozycji, a głównie ruch wydawniczy, władza będzie nękać, na ile może, zaś ludziom z nazwiskiem pozwoli gadać, licząc, że będą oni coraz mniej mówili na inne niż wewnątrzwiązkowe tematy i że zainteresowanie ich wypowiedziami za jakiś czas zmaleje. Nawet, bez rozłamu w opozycji, "Solidarność" byłaby wówczas w jakimś stopniu wyimpasowana z gry, stanowiąc przy tym żywy dowód liberalizacji władz.

Gdyby tak miało być, a scenariusz taki wydaje się dosyć prawdopodobny i przesłanki takiego rozwoju wydarzeń istnieją, wówczas miejsce zajmowane przez "Solidarność" stawałoby się stopniowo marginesem w życiu politycznym i świadomości społeczeństwa. Związek miałby zapewnione długie trwanie jako izolowana struktura oraz symbol dla wielu, jeśli by nie popełnił dyskredytujących odstępstw od zasad.

Nie jest to najgorsza perspektywa, ale warto się zastanowić nad jej poprawą, nie obrażając się na tę rzeczywistość, ale dopasowując się do niej.

WYCHODZENIE Stopień deprawacji i niezadowolenia z warunków życia jest więcej niż dostateczny dla kolejnego wybuchu, jednakże przy obecnych nastrojach zupełnie się nań nie zanoszą. Istnieje, poparte nieodwrotnym doświadczeniem, przekonanie o sile i zdecydowaniu władzy, która bezwzględnie zdławi każde wystąpienie przeciw sobie. Jawi się ono jako możliwe dopiero wówczas, kiedy niezadowoleniu społeczeństwa towarzyszy dostrzeżenie przez władzę słabości. Kiedy jest ona odbierana jako niesprawiedliwa, a jednocześnie niekonsekwentna, niejednolita - słabość przeciwnika wyzwala gniew i rodzi zdecydowanie. Taki jest mechanizm większości wystąpień masowych.

Moment ten następuje, kiedy elita władzy uświadamia sobie nieskuteczność swojej zasadniczej linii postępowania i konieczność jej modyfikacji. Ponieważ poważna zmiana jest traktowana jako przyznanie się do błędu i ponieważ podstawowy interes władzy, określający dotychczasową politykę, pozostaje ten sam, to modyfikację przeprowadza się w sposób ograniczony, niekonsekwentnie, metodą prób i wycofywania się, w atmosferze sporów wewnętrznych, których nie sposób ukryć.

Wszystkie poprzednie ekipy osiągały ten stan w warunkach kryzysu gospodarczego, lecz każda - z wyjątkiem gierkowskiej - oprócz stanu gospodarki miała swoją specyficzną dziedziczkę, na którą była szczególnie uczulona. Dla obecnej jest to "ład i porządek", pod tym hasłem przeprowadzono 13 grudnia i tutaj również jest ona skuteczna - postępy w pacyfikacji są widoczne.

Była to początkowo ekipa odporna na stan gospodarki, gdyż głosiła, że nie ona doprowadziła do kryzysu, a odziedziczyła

go po Gierku i "Solidarności". A do tego, w pierwszych trzech pogrudniowych latach mogła się wykazać ograniczonym, lecz dostrzegalnym postępem. Jednak w miarę dalszego pogarszania się sytuacji gospodarczej oraz upływu czasu, ekipa ta będzie się stawała coraz bardziej wrażliwa na to, co dzieje się z gospodarką. Już to się zresztą zaozeło.

Nieefektywna i marnotrawna ze swej natury gospodarka socjalistyczna w Polsce zużyła już praktycznie podstawowe czynniki wzrostu: łatwo dostępne surowce, odporność środowiska, rezerwy siły roboczej, zastaną infrastrukturę, dostępność do kredytów zagranicznych i technologii. Funkcjonując w dalszym ciągu na tych samych zasadach i w taki sam sposób, nie może już rosnąć, musi pożerać siebie, używając więcej, niż jest w stanie wytwarzać. To jest istota obecnego kryzysu, nie do przezwyciężenia bez zmiany ustroju, lub zmiany jego charakteru w jakimś bardzo poważnym stopniu.

Oficjalne publikacje i informacje, przedostające się z kręgów władzy, wskazują, że tam sytuacja gospodarcza jest odbierana jako bardzo zła, wręcz katastrofalna. Ludzie aparatu mają skłonność do przesadnych reakcji - tak euforycznych, jak i klęskowych. Stan gospodarki, bez wątpienia bardzo niedobry, nie musi od razu grozić katastrofą, lecz takie podejście do rzeczywistości jest samoistnym zjawiskiem politycznym. Można z pewną ostrożnością założyć, że władza zbliża się do stanu niezadowolienia z siebie i poczucia własnej nieskuteczności.

I choćby stąd prawdziwość jest taka, że przed dojściem do kolejnego wstrząsu, rządząca ekipa nie przeprowadza istotnych zmian, to nie można wykluczyć, że obecna zechce postąpić inaczej. Może zechce uprzedzić niepokoje społeczne, których wybuch podważyłby legitymację /ład i porządek/ Jaruzelskiego, nawet gdyby technicznie opanował on sytuację. W tym celu mogłaby podjąć jakąś inicjatywę.

Najbardziej spektakularnym i najtańszym posunięciem było wypuszczenie wszystkich więźniów politycznych. Następne ruchy - rada konsultacyjna - nie są istotne, ale nie można wykluczyć jakichś innych znaczących kroków.

Skutki ekonomiczne i społeczne tych wszystkich posunięć są o tyle łatwe do przewidzenia, że będą bardzo nieznaczne. Jeśli nawet PRL uzyska kredyt rządu 3 mld dolarów, co nie jest pewne, to pozwoli on w miarę spokojnie na niezmiennym poziomie przetrwać rok 1987. Nie rozwiąże żadnego problemu; nie zapoczątkuje żadnej istotnej zmiany. Brak tej sumy pogorszy sytuację, lecz nie musi oznaczać gwałtownego załamania, gdyż z tych 3 mld tylko część stanowiłaby realne wsparcie gospodarki.

Nadzieje władzy biorą się stąd, że choć z jednej strony minimalizuje ona wszelkie ustępstwa, to z drugiej wyolbrzymia ich znaczenie, domagając się pozytywnej reakcji, gdyż przecież "mogłaby tego nie robić". Ewentualnie sądzi, że każdy krok w uważanym za właściwy kierunku już jest dobry, gdyż stanowi początek, przybliży cel itp. Nie rozumie ona,

że pewne środki nie skutkują bez przekroczenia określonego progu, że działania nazbyt ostrożne mogą wywołać rozdrażnienie, bądź pozostać zgoła niezauważone. Nie rozumie też, że reakcje społeczne nie zawsze przebiegają według prostego schematu, że mogą być zaskakujące.

Z tzw. przecieków - z niektórych wystąpień publicznych, z treści i tonu publikacji - łatwo wywnioskować, że polityka gospodarcza rządu nadal będzie się cierać na próbach wyłudzenia nowych kredytów oraz na ograniczaniu konsumpcji. Zapewne zostanie to zintensyfikowane i przedstawione jako drugi etap reformy, ekonomizacja pracy i spożycia, poddanie ludzi pracy tym regulom, którym rzekomo poddane są przedsiębiorstwa itp. Nie wykluczone, że wykorzysta się przy tym propagandowo standardowe wymagania MFV, polegające na ograniczaniu konsumpcji i wydatków publicznych. W rzeczywistości będzie chodziło o intensyfikację i zwiększenie wymiaru pracy, gdzie możliwości są już bardzo niewielkie oraz o uzyskanie równowagi w ten sposób, że będzie się zmniejszać popyt, dopasowując go do ograniczonej podaży.

Już się nieoficjalnie stwierdza konieczność zrewidowania tzw. automatów płacowych, czyli podnoszenia wynagrodzeń w sferze budżetowej w oparciu o ruch płac w sferze produkcji materialnej. Zakłady są oskarżane o samowolę płacową, powodującą inflację. Podkopuje się też - na razie propagandowo - system rewaloryzacji rent i emerytur, jako mogący doprowadzić do dysproporcji... na niekorzyść zatrudnionych.

Druga strona to polityka cenowa. Niezależnie od systematycznego podnoszenia cen, wiadomo, że przygotowuje się w niedługiej perspektywie drastyczną podwyżkę cen artykułów przemysłowych. Jest to zapewne tylko jedno z posunięć na szeroką skalę.

JEST CO ROBIĆ Jakby nie były naturalne spory wewnątrz Związku, zakres wyboru merytorycznego wydaje się dość wąski. Przewartościowania i zmiany dotyczą raczej tylko taktyki i kształtu organizacji. Tożsamość "Solidarności", osobowość Wałęsy, pozostają wartościami, których nie ma na co wymienić. To samo dotyczy związkowości w działaniu. To wszystko zostało szczególnie wzmocnione przez afiliację Związku do MKWZZ i SKP. Szczególnie istotne jest ustawienie Wałęsy, ponieważ dla działaczy jest on również uczestnikiem, jak i przedmiotem toczzonego sporu. Jego pozycja w społeczeństwie siłą rzeczy maleje w miarę czasu, który mija od 13 grudnia, lecz stale jest powyżej wiarygodności całego Związku /co wykazała m.in. ankieta "Polacy 84"/. Są to, w obu przypadkach, zmiany koniunkturalne. Autorytet jest do odbudowania bardzo łatwy, jeśli jego "nośnik" nie uczyni czegoś dyskredytującego na przyszłość. Jeśli zaś chodzi o zagranicę, to dla większości opinii publicznej w świecie "Valesa" jest podstawową i często jedyną informacją o Polsce, symbolem zastępującym "Solidarność", opozycję, społeczeństwo itp.

Warto zwrócić uwagę, że wewnętrzna struktura Związku jest.

luźna i otwarta. Ciałem konsekwentnie statutowym jest już tylko przewodniczący. Jakiś nieco ściślej wyznaczony zarys mają tylko TR i TEK, reszta zależy od lokalnych i grupowych inicjatyw, w których się mieści powoływanie instancji ad hoc, wszelkich komisji, komitetów itp. Formalne kompetencje instancji są nieprecyzyjne, mało istotne, a w dużej części bezprzedmiotowe, gdyż praktycznie mało kim się kieruje. To, że działacze Związku skupiają się na składzie personalnym tych ciał jest w znacznym stopniu stratą czasu oraz wysiłku. Byłoby korzystniej dla społeczeństwa, Związku i samych jego działaczy, gdyby regulowanie wewnętrznych spraw "Solidarności" uznać pomimo wszystko za mniej ważne od działalności na zewnątrz i jej poświęcić większość energii. Wychodzenie na zewnątrz przypomina o istnieniu "Solidarności" oraz działaczy, zapewnia jakąś popularność i wpływy. W każdym razie bardziej opłaca się mówić to, co obchodzi słuchaczy, niż to, co obchodzi mówiącego.

W pogrudniowym okresie, niezależnie od szerokiej skali żądań "Solidarności", jej koronnym atutem była walka z niepraworządnością, jaką był 13 grudnia, fala represji, złamane przyrzeczenia, zawiedzione nadzieje itp. Tak to było chyba odbierane przez większość społeczeństwa. Ten zakres żądań skupił się i wyraził w walce o uwolnienie więźniów politycznych. Ich wypuszczenie stało się jakby wybraniem wiatru z żagli, niezależnie od tego, jak wiele do życzenia pozostawia nadal stan prawny w PRL. Kwestia jest społeczna i polityczna - nie prawna.

Ludzie siedzący za działalność związkową i wolne słowo przemawiają do wyobraźni. Bełkot, jakim jest regulacja prawa PRL, nie budzi zainteresowania społeczeństwa. Jego kultura prawna jest niska; nie podniesie jej jednak akcja uświadamiająca opozycji, lecz dopiero kilkadziesiąt lat praworządności. Prawo, wolności ludzkie i obywatelskie pozostają aktualne, kiedyś zapewne staną się znowu palące, ale obecnie przestają one organizować szeroką świadomość społeczną i nie mogą być głównym przedmiotem walki, szczególnie dla związku zawodowego.

Tym elementem, który w coraz większym stopniu wpływa i będzie wpływać na świadomość społeczną jest sytuacja gospodarcza, a przede wszystkim warunki bytowe, którym coraz bardziej zagraża polityka władz. To jest naturalne pole działalności dla Związku. Tym bardziej, że jest to słabe miejsce władzy, a będzie coraz bardziej drażliwe. Polityka to jej mocna strona w odbiorze społecznym - poradziła sobie i do tego nie wzięła już politycznych. Nie radzi sobie natomiast z gospodarką, a skuteczność jest jednym z ważniejszych źródeł legitymacji władzy. Niezależnie od rozkładu racji na przyszłość politycznej i gospodarczej, na tej drugiej atak na władzę zyska obecnie uznanie i poparcie. Tu też jej argumenty nie uzyskają zrozumienia.

CO MÓWIĆ, Wpływ sił politycznych na rzeczywistość polityczną i społeczną w niewielkim stopniu zależy od trafności zawartych w dokumentach obserwacji, logiki argumentów itp. Zależy natomiast przede wszystkim od siły i możliwości faktycznego oddziaływania. W przypadku opozycji w Polsce - szczególnie zaś "Solidarności" - chodzi o możliwość wpływu na zachowania społeczne, o to, ilu ludzi ewentualnie poprzez czynnie "Solidarność" i czy władza będzie sobie z tego zdawała sprawę.

Wszelkie programy, czy choćby zestawy postulatów, mogą być formułowane w trzech płaszczyznach, który to podział interesuje nas tutaj pod kątem ich oddziaływania na aktualną sytuację.

I - Wizja niepodległej Rzeczypospolitej, po zmianie sytuacji geopolitycznej oraz ustroju. Nikogo to dziś nie poruszy, wyda się pięknoduchostwem. Ośrodki niepodległościowe mogą i powinny stawiać sprawę niepodległości z myślą o swojej przyszłości politycznej, lecz nie jest to zadanie dla Związku, który może i powinien jedynie poprzeć tę ideę, zaś ze swej strony musi zajmować się dniem dzisiejszym i innymi sprawami.

II - Kształt ewentualnego kompromisu z istniejącą władzą po wielkim wstrząsie politycznym nie zakończonym klęską społeczeństwa, lub po długim okresie walk społecznych oraz stopniowych zdobyczy. W tej chwili, wobec niedostrzegania drogi dojsia, jest to równie niepraktyczne politycznie, gdyż mało kogo interesuje.

III - Aktualne postulaty na dzień dzisiejszy, teoretycznie możliwe do zrealizowania, nawet w obecnej sytuacji politycznej. Praktycznie nie są one do osiągnięcia bez silnego naporu społecznego, którego na razie nie ma, lecz usytuowanie tych celów "na wyciągnięcie ręki" i to, że dotyczą aktualnych spraw, które wszyscy czują na własnej skórze, mogłoby się może przyczynić do generowania tego naporu. A to, przy sprzyjających okolicznościach, mogłoby się okazać początkiem drogi do wariantu II-go. Nie trzeba sobie dzisiaj robić przesadnych nadziei, ale jakoś nie widać innego sposobu oddziaływania na szerokie warstwy, wykraczające poza dotychczasowy aktyw, odbiorców bibuły, środowiska opiniotwórcze - czyli dotychczasową bazę opozycji.

Spółczeństwo jest bardzo przywiązane do wartości, chętnie ocenia postawy, a jednocześnie ma bardzo realistyczne podejście do rzeczywistości. Zdaże więc sobie sprawę, że podziemny związek zawodowy niewiele może osiągnąć, lecz zapewne doceni współczucie i zainteresowanie swoim losem z jego strony. Taka postawa ze strony Związku może zacząć zmieniać poczucie bezsily i osamotnienia, niejednokrotnie bardziej dokuczliwe niż niedostatek materialny.

Uzwiązkowienie Związku wymagałoby poważnej zmiany podejścia

ze strony działaczy "Solidarności". Dla wielu z nich działacze nie w Związku miało i ma charakter zastępczy, jest po prostu formą udziału w największym i wciąż najważniejszym nurcie opozycji. Stąd ich zainteresowanie przede wszystkim kwestiami politycznymi i traktowanie problematyki ekonomicznej jedynie jako funkcji polityki - schadenfreude, że czerwoni nie wychodzi. Warto sobie jednak zdać sprawę, że wielu zwolenników "Solidarności" - zwłaszcza potencjalnych - traktuje ją, czy chciałaby traktować, przede wszystkim jako autentyczny związek zawodowy, którego potrzebują - wielu tak tylko wspomina "Solidarność" z okresu przed grudniem 1981 r. Ci ludzie w dużym stopniu rozszyfrowują, choćby na podstawie prasy, prawdziwe zainteresowania struktur i działaczy - wielka polityka, a nie warunki pracy - i może to ich zniechęcać do popierania Związku, sprawiać wrażenie, że są manipulowani.

Uzwiązkowienie "Solidarności" i ekonomizacja jej działania może wpłynąć na zmianę tego stosunku. Być może, część działaczy zrazi się do "płaskiego ekonomizmu" i przejdzie do struktur czysto politycznych, co nie jest niczym złym, bo pluralizm opozycji jest pożądanym zjawiskiem. Wielu jednak czyni tak głównie ze względu na nieskuteczność tego, co robi "Solidarność". Kiedy nie można załatwić żadnej konkretnej sprawy, przyjemniej jest dyskutować o wielkiej polityce, opracowywać całociowe projekty niepodległej Rzeczypospolitej, co zresztą też jest potrzebne. Jeśli jednak wpływy Związku i jego skuteczność by wzrastały, mogłoby to ulec zmianie. Konkret zaczęłyby przeważać nad wizją.

Najistotniejsze jednak jest to, że ekonomizacja Związku nie jest bynajmniej odchodzeniem od polityki, lecz jak najbardziej politycznym działaniem. I to działaniem na odcinku, który staje się najbardziej newralgicznym dla władzy, a zarazem głównym kierunkiem natarcia, zmierzającego do nowego przesilenia politycznego. Zorientować w tym może choćby reakcja władz na kolejny projekt Samorządnej Rzeczypospolitej plus rozważania o Jakcie, w porównaniu z reakcją na wezwanie do minutowego strajku, na jednym oddziale produkcyjnym. Aparat władzy wie, czego ma się obawiać.

CZEGO NIE MÓWIĆ W opozycji i na jej obrzeżach toczy się od pewnego czasu dość jeszcze niespójna dyskusja o ekonomice i zasadach życia społecznego. Można w niej niezbyt precyzyjnie dojrzeć nurty prawicowe i lewicowe /przy uwzględnieniu umowności tych pojęć w naszych warunkach/, czyli kierunki: liberalny i po części etatystyczny, przy jednoczesnym szukaniu przez wszystkich oparcia w nauce społecznej Kościółka. Z czasem, gdy postawy się wykrystalizują, a wiedza uczestników wzrośnie i nie będzie już głównie intuicyjna, pożytek z tej dyskusji może być znaczny. Nie przesądzi ona jednak przyszłego ładu społecznego i gospodarczego nawet w niepodległej Polsce, gdyż będzie on zależał od układu sił społecznych i politycznych, wielu niezależnych od nikogo warunków oraz od stanu świadomości, na który rzeczona dyskusja będzie miała wpływ, ale ograniczony.

Z tych wszystkich powodów Związek, będący nie klubem dyskusyjnym i nie załącznikiem partii politycznej, lecz jednak jakąś realną siłą - z perspektywą wzrostu - nie odniósłby żadnych korzyści z zajęcia stanowiska w tym sporze. Lepiej dlań, gdy będzie otwarty na wszelkie rozwiązania, które uwzględniają elementarne interesy i prawa ludzi pracy, te zaś powinien głosić nieustannie.

Nie zajmując konkretnego stanowiska w sprawie modelu przyszłej Rzeczypospolitej, tym bardziej nie musi się opowiadać za jakimkolwiek wariantem gospodarki realnego socjalizmu. Trzeba pamiętać, że państwo każde rozwiązanie ocenia przede wszystkim jako środek do wzmocnienia swej władzy, bądź ustępstwo niezbędne dla jej zachowania. Natomiast Związek każdą sytuację i każdą propozycję musi oceniać pod kątem interesów świata pracy: podmiotowość pracownika, godziwe warunki, elementarne prawa obywatelskie. Z czasem może się okazać jasne dla wszystkich, że realny socjalizm w żadnej swej wersji nie jest w stanie spełnić tych warunków, ale to będzie już inna sytuacja, której nie sposób z dzisiejszego punktu widzenia opisać.

W szczególności "Solidarność" nie powinna się dać wmanewrować w odpowiedzialność za obecny stan i przyszłość gospodarki, kierowanej całkowicie przez władzę. Nie odpowiada więc za - między innymi - inflację. Ma natomiast żądać generalnej poprawy warunków pracy, a przede wszystkim autentycznej rewaloryzacji pensji i emerytur. Jeśli przy obecnym sposobie gospodarowania jest to przyczyna - nie jedyna i nie najważniejsza - inflacji, to rząd powinien zmienić ten sposób.

Nie wolno dać się też wpędzić w "rozumienie realnych warunków", w jakich operuje plan. Nie wolno się zgodzić, że brakiem realizmu jest nie tylko żądanie wolnych wyborów na terenie Układu Warszawskiego, lecz również wystarczającej liczby przedszkoli, czy pracy pozwalającej utrzymać żonę i dziecko choćby na poziomie minimum socjalnego.

Podobnie niekorzystne byłoby zgłaszanie oferty, że "Solidarność" poprze nawet tzw. niepopularne rozwiązania, ale w warunkach pluralizmu związkowego, co jest jednoznaczne z legalizacją Związku. Wywarłoby to wrażenie, zapewne wykorzystane przez oficjalną propagandę, że Związek za uznanie swych interesów, jako struktury, przyjmie na siebie rolę karbowego. Poza tym, co najmniej dyskusyjne jest założenie, że w jakichkolwiek warunkach politycznych, dalsze wyrzeczenia materialne mogłyby przyspieszyć wyjście z kryzysu. Poziom życia, niewspółmiernie niski do poziomu cywilizacyjnego, spowodowany przede wszystkim przez niesłychanie wysoką stopę wzrostu, jest nie tylko skutkiem, lecz przede wszystkim przyczyną niskiej efektywności gospodarki. Osiągnięcie pewnych standardów konsumpcyjnych można ewentualnie odłożyć na przyszłość - niezbyt odległą i bardzo realną - lecz zauważalna poprawa warunków życia jest nierozłącznie związana z poprawą sytuacji ekonomicznej. W każdym razie dotyczy to wynagradzania pracy. Tak było we wszystkich krajach odnotowujących postęp gospodarczy, nawet w powojennej Polsce wkrótce po wojnie i po wstrząsach 1956 i 1970. /Inna rzecz, co z tym wkrótce władza zrobiła./ Pogorszenie w imię przyszłej -

nigdy nie następującej - poprawy jest tą specjalnością realnego socjalizmu, z którą prawdziwy związek zawodowy nigdy nie może się godzić.

KROKI PRAKTYCZNE

Współbrzmieć z nastrojami i oczekiwaniami większości ludzi pracy można jedynie mówiąc to, co oni czują i domagając się tego, co jest im potrzebne. Czyli praktycznie generując gniew i przyspieszając, na ile to możliwe, kolejne przesilenie, lub przynajmniej potęgując napór społeczny na władzę, bez czego nie wykona ona nigdy żadnego ruchu.

To współbrzmienie nie zapewnia jeszcze szerokiego poparcia zainteresowanych, stanowi jednak jego wstępną i nieodzowną przesłankę. Poparcie natomiast uzyska ruch, który w oczach swych klientów okaże się nie tylko słuszny, lecz i skuteczny.

Tym, co w obecnych warunkach "Solidarność" może robić posiadającymi środkami, jest szeroka akcja uświadamiająca ekonomicznie, pozwalająca ludziom zidentyfikować swoją osobistą sytuację na szerszym tle... Raport "Polska w 5 lat po Sierpniu", skądinąd cenny, nie ma waloru propagandowego dla szerokiego rzesz. Potrzebna jest cała masa raportów bardzo krótkich, syntetycznych, bądź odnoszących się do konkretnych wyrazistych, zawartych w przystępnych danych, w miarę możliwości obchodzących się bez komentarza.

Mogą to być informacje o stanie gospodarki w ogóle, o poziomie życia, stopie wzrostu, handlu zagranicznym, służbie zdrowia, komunikacji, stanie środowiska itp. Istotne też będą materiały o sytuacji w poszczególnych regionach, aglomeracjach i mniejszych miejscowościach, w zakładach pracy, czy nawet oddziałach. W zakładach warto robić ich analizę ekonomiczną, rozpracowywać układ kooperacyjny, losy produktu, warunki pracy w oparciu o niezależne badania zanieczyszczeń, hałasu itp.

Inicjatorami, firmującymi tego rodzaju badania, winny być struktury "Solidarności" na wszystkich szczeblach, od centrali do TKZ - tam, gdzie istnieją. Dane są przeważnie do zdobycia, wymaga to jedynie nieco wysiłku. Potrzeba do tego niewielu ludzi, a można ich do tych prac przyciągnąć, tworząc drugą siatkę, obok kolportażowej.

Tego rodzaju materiały mogłyby z czasem zająć główne miejsce w prasie związkowej i w drukach ulotnych, nie negując potrzeby drukowania materiałów światopoglądowych, wspomnieniowych i opisu przesładań. Ważna jest przy tym rzetelność, unikanie jaskrawej tendencyjności, widocznego manipulowania danymi - na dłuższą metę to się mści.

Akcja tego rodzaju może liczyć na wdzięczny odbiór i poparcie, pozwoli uogólnić swój los, uodporni na argumenty oficjalnej propagandy, lansującej ogólny obraz odbiegający od jednostkowego doświadczenia każdego z nas. Przyspieszy też zrozumienie, że jest stratą czasu i pogłębianiem upadku cze-

kanie na poprawę w rezultacie poczynić władzy. Przyspieszy to też zajmowanie bardziej aktywnych postaw. A niezależnie od tego zaocznie powstawać kadra ludzi zorientowanych w gospodarce, w tym w skali makro, późniejszych działaczy i organizatorów. Tworzony w taki sposób obraz naszej rzeczywistości świadczą będąc o kompetencji, sprawności i wszechobecnosci ruchu, a także stanowić konkretną podbudowę stawianych żądań.

Przejście od żądań do praktycznych działań rewindykacyjnych jest zadaniem o wiele trudniejszym, ale wydaje się teoretycznie możliwe. Rzeczywistość pokazała, że bezcelowe i osłabiające autorytet Związku jest w obecnej sytuacji apelowanie o podjęcie jednoczesnej akcji masowej. Mniej obciążające jest apelowanie o wyrażanie protestu w ogóle, bez podawania konkretnych dat i sposobów, lecz także niewiele z tego wynika. Trzeba sobie natomiast zdać sprawę, że przez cały czas mają miejsce setki grupowych i grupkowych akcji rewindykacyjnych w zakładach pracy, przebiegających z różnym skutkiem. Strajki, czy groźby strajków, przeważnie bywają skuteczne. Obowiązkiem "Solidarności" jest poparcie takich wystąpień. Z czasem zaś TKZ-y powinny je organizować metodą - tylekroć już przywoływanych - hiszpańskich komisji robotniczych. W każdym razie wydaje się, że istnieje tu spory zakres możliwości, jakby zapoznanych przez działaczy "Solidarności". Nawet wtedy, gdyby miały się one okazać niewielkie, to warto się im przyjrzeć i spróbować gdzieś tam, choćby w ograniczonym zakresie. Z czasem bowiem, w miarę pogarszania się sytuacji gospodarczej, ujawniania się niepewności i niekonsekwencji władzy oraz po akcji uświadamiającej "Solidarności", szanse na praktyczne działania mogą wzrastać.

Okres zelżenia represji jest także czasem na pewne posunięcia organizacyjne, związane z merytoryczną działalnością. Przede wszystkim jeśli chodzi o słyszalność Związku, który c - tyle istnieje w świadomości społecznej, na ile do niej potrafi dotrzeć. A więc próba obejmowania kolportażem nowych środków, doskonalenie radia, które przy obecnych sposobach przedstawia być symbolem, a staje się - czy może się stawać - środkiem komunikacji. Aktualna staje się, nie ruszona praktycznie, kwestia zbierania, przetwarzania i przekazywania informacji.

Nawet jeśli to wszystko wydaje się trochę na wyrost, ponad potrzeby i możliwości, warto się brać za te działania. Trafiając na podatny grunt społeczny, nabierają one skłonności do samostymulacji. Ogólna apatia nie musi obejmować wszystkich działań, może tylko nieskuteczne. W każdym razie nie da się tego teoretycznie ustalić, nie spróbowałyśmy tej aktywności.

Ernest Skalski

Wyjść z kanału

W kilka miesięcy po zwolnieniu więźniów politycznych wiadać już wyraźnie, że 11 września władza wpuściła nas w kanał. To znaczy - stworzyła sytuację bardzo dla "Solidarności" niewygodną, a w miarę korzystną dla siebie. Wydaje się nader prawdopodobne, że eksperci władzy przewidzieli dalszy bieg wypadków po amnestii i stworzyli pewnego rodzaju scenariusz, w którym my gramy w sposób z góry przez nich zaplanowany. Nietrudno zresztą było się domyślić, że wypuszczeni z więzień przywódcy Związku z wielu względów /zużycie psychiczne, bezsens zabawy w chowanego z policją/ nie bardzo już mogą powrócić do podziemia, więc podejmą działalność jawną. Podejmą ją tym bardziej, że w przeciwnym razie prymat przeszedłby w ręce działaczy zakonspirowanych i struktur konspiracyjnych, a w każdym razie uważających się za takie. Bo właśnie: rozpoznanie tych struktur przez policję jest - mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie można by tu poczynić - lepsze, niż na ogół skłonni jesteśmy sądzić. Nie ma zatem powodu, by uwolnicznym przywódcom poczytywać ich "przebijanie się do jawności" za błąd z jakiegokolwiek punktu widzenia. Po prostu: innej gry nie było; na podziemiu, jako na głównej sile napędowej, Związek polegać nie może. Ale uznać to, to znaczy uznać zarazem, że posunięcie przywódców "Solidarności" było wymuszone przez przeciwnika. Z góry mógł on zakładać, że podejmując eksperyment z jawnością, kierownictwo Związku nie stanie na pozycjach skrajnych, wcojowniczych, lecz będzie sygnalizować gotowość do kompromisu lub wręcz deklarować swoją "jak najbardziej pojednawczość" - co uczynił Zbigniew Bujak w swojej krótkiej wypowiedzi dla "CDN" /październik 1986/.

Sporządzając rachunek zysków i strat, władza bez wątplenia przyjmowała, że tego rodzaju stanowisko ujawnionych gremiów nie skomplikuje poważniej życia jej samej i nie wzbudzi żywszego zainteresowania w społeczeństwie, zbyt zmęczonym, by przywiązywać wagę do subtelnych manewrów, bardzo słabo kojarzących się z trudną codziennością polską A.D. 1986. Co, rzecz jasna, nie znaczy, że do przełamania społecznej apatii w wyniku wyjścia czołowych działaczy na powierzchnię dążyćby, gdyby w Związku przeważały postawy bezkompromisowe: zmęczone społeczeństwo jest zarazem i oetrożne, i nieufne.

Naturalnie, władza zaplanowała sobie też cokolwiek po stronie strat. Pamięta bowiem, jak przykro zaskoczyły ją rezultaty bagatelizowanego przez nią działania demokratycznej opozycji przedsiębiorciewej. Jednak na razie, naciskana przez okoliczności /warunki kryzysu ekonomicznego, impas w stosunkach z zagranicą i ze społeczeństwem/, wybrała mniejsze, w

jej pojęciu zło, próbując przy tym jeszcze bardziej marginesować "opozycję antyustrojową", np. przez tworzenie Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelskim. Ryzyko takiego wyboru być o tyle mniejsze, że przedsiębiorniwa działalność, zwłaszcza KOR-owska, stanowiła swojego rodzaju rewelację, wyłom w dotychczasowym bezwładzie społeczeństwa. Przekonywała ludzi, że można jednak coś zrobić na rzecz zmiany systemu, niezależnie myśleć i pisać, podejmować próby samoorganizacji i samoobrony społecznej. Natomiast obecnie jawne działania w stylu KOR-owskim są powszechnie odczuwane jako zaledwie szczytkowe w porównaniu z rozmachem "Solidarności" z lat 1980-1981. Nie mogą już otwierać nowych perspektyw, otwierać ludziom oczu; ich rezonans nie przekracza barier zubożenia. Poza dyskusją jest konieczność kontynuowania pracy w formach wypróbowanych przed Sierpniem - takich jak komisje interwencyjne w obronie praworządności, nie mówiąc o niezależnym obiegu wydawniczym - ale te formy są przecież niewystarczające, a w szczególności nie rozwiązują problemu kontynuacji "Solidarności" jako ruchu związkowego. W różnych środowiskach podejmuje się więc poszukiwania nowych idei programowych, próbuje się wytyczać i precyzować kierunki poczynić, które by pozwoliły ruszyć Związek z martwego punktu.

Pośród licznych - najszerzej prezentowane są dwie koncepcje. Jedną z nich zaleca ożywienie jawnej lub półjawej aktywności związkowej w zakładach, podpowiada liczne legalne i półlegalne sposoby obrony interesów pracowniczych. Są to niezłe sposoby i oczywiście znajdują się chętni, by sprawdzić ich skuteczność oraz zakłady, w których ona się sprawdzi. Z uwagi jednak na ogólny poziom nastrojów w zakładach, tego rodzaju doświadczenia z pewnością nie staną się powszechne. Obecność w fabrykach jest warunkiem sine qua non istnienia NSZZ "Solidarność", więc i takie próby są potrzebne i bardzo ważne. Ale łączenie z nimi nadmiernych oczekiwań, budowanie na nich projektów głównej linii Związku, nieco przypomina SNY O POTĘDZE - minionej naszej potęgę związkowej w zakładach pracy.

Dругa koncepcja proponuje rezygnację ze złudzeń i przesunięcie akcentów na działania pozazakładowe, otwarcie "Solidarności" na niezależne środowiska niezwiązkowe, m.in. polityczne, z formami walki charakterystycznymi dla nich. Koncepcja ta - nie bez wpływu pewnej mody, szerzącej się w opozycji poza "Solidarność" - z naciskiem odwołuje się do ludzkiej przedsiębiorczości, rekomenduje drogę niezależnych inicjatyw gospodarczych, które mają uzdatniać ludzi do sprawnego funkcjonowania w przyszłości /lepiej/, a przy tym coś poprawiać w naszej obecnej mizerii gospodarczej. Ponieważ jednak monopol "państwa ludowego" w gospodarce jest jednym z jego głównych filarów i zawsze będzie ono spychać swobodną przedsiębiorczość na margines - zwolennicy tej koncepcji są trochę w sytuacji RATUJ SIĘ KTO MOŻE. Rzecz dotyczy tylko nielicznych, mających szczególny dryg lub szczęście. Pozostaje 90 proc. z okładem pracowników sektora "uspołecznionego" - mniej fortunnych, mniej utalentowanych, a w pewnym sensie przecież i zświetyzowanych. Ale niech próbują. I te pomysły są dobre, i tamte, i jeszcze inne. Gdziekolwiek są jakieś luki w systemie, jakieś szanse niezależnego działania i samoorganizacji, należy je przecież wykrzy-

stywać - w instytucjach samorządu pracowniczego, środowisko-
wego i ewentualnie lokalnego, w samoobronie lokatorskiej /u-
jawiona przez zimę katastrofalna degradacja infrastruktury
komunalnej/, w ruchu ekologicznym, ruchu nieposkuszstwa o-
bywatelskiego, we wspólnotach duszpasterskich...

1.

Wszystko to jednak ma niewielkie szanse zaniepokojenia
władzy, pomieszczenia jej szyków, bo z grubsza mieści się w
jej scenariuszu. Starajmy się więc kłamać ten scenariusz,
wyjść z kanału, a ściślej mówiąc - przejąć inicjatywę, choć-
by częściowo, na pewnych terenach, przerzucić piłkę na boisko
przeciwnika. Oczywiście, nie da się w tym względzie wymy-
śleć niczego takiego, co by natychmiast rzuciło władzę na
kolana. I na to przyjdzie kiedyś czas, ale to zależy od nas
w stopniu dość znikomym, my tylko możemy siebie - Związek i
społeczeństwo - na ów czas lepiej lub gorzej przygotować.

Możemy się np. zastanowić nad podjęciem kroków organiza-
cyjnych, które by uwzględniły bogate doświadczenia, jakich
nabyliśmy w ciągu 5 lat pracy w warunkach nielegalności, w
tym także ciekawe doświadczenia Solidarności Walczącej. War-
to by pomyśleć, czy jesteśmy zdolni, choćby częściowo, zmie-
nić stan rzeczy, w którym policja traktuje liczne nasze uk-
łady organizacyjne z uzasadnionym, jak się zdaje, uśmiech-
kiem wyższości. Najmniej dotyczy to sfery poligrafii i ra-
dia, najbardziej ogień zakładowych "Solidarności". Tak mocno
i słusznie postulowanego umocnienia związku w zakładach szu-
kać należy chyba przede wszystkim w ulepszeniach, a czasem
nawet cięciach organizacyjnych.

Można uczynić przedmiotem refleksji sposoby przygotowania
kadry Związku do przyszłych i bieżących zadań. Organizatorzy
oświaty niezależnej wiedzą, że ludzie najchętniej przychodzą
na spotkania ze znakomitościami opozycji politycznej, kultura-
lnej, czy naukowej. Szukają przede wszystkim bodźców emoc-
jonalnych - podobnie jak w kościelnych i pozakościelnych
programach niezależnych artystów. Nie wydaje się jednak, aby
nie dało się dotrzeć do niektórych przynajmniej środowisk
"bazowych" z bardziej przemyślanymi i systematycznymi forma-
mi kształcenia, zarówno w dyscyplinach ogólnych, społecznych,
jak i organizacyjno-technicznych, obejmujących metody poko-
jowej walki - od ulotkowania począwszy. Ale postępowanie w tym
kierunku wymaga pewnego wysiłku i mobilizacji środowisk
krzewiących oświatę niezależną. Zawsze bowiem łatwiej jest
wysłać do jakiejś grupy kogoś "z nazwiskiem" i zyskać spon-
taniczną wdzięczność, niż wdrażać ludzi do czegoś, co przy-
pominać musi raczej pracę, niż miting polityczny, czy rozry-
wkę.

A przy tym, myśląc o przygotowaniu kadry, o grupach, wy-
pada mieć na uwadze nie tylko, czy nawet nie głównie, grupy
zakładowe. Coraz wyraźniej bowiem widać, że dobrze zorgani-
zowane i skuteczne w działaniu zespoły dobierają się raczej
na innej zasadzie, niż wspólne poglądy we wspólnym miejscu
pracy zawodowej - gdzie trudno zmylić jest czujność dozoru,

"aktywu" i SB. Zdarza się, że trzech koledzy pracujący w jednej hali fabrycznej, kiedyś w niej czynni jako członkowie "Solidarności", obecnie działają - pierwszy w kolportażu jakiegoś niezależnego wydawnictwa, drugi w "grupie oporu Solidarności", a trzeci we wspólnocie lokalnej w miasteczku, z którego dojeżdża do Warszawy.

2.

Świadome, że każdy związek zawodowy, a szczególnie nasz Związek w naszej rzeczywistości, jest zjawiskiem na wskroś politycznym; kierownictwo "Solidarności" rezygnuje jednak z pewnych zakresów polityczności. Istnieje takie klasyczne już rozumowanie, wychodzące z założenia, że aby ruch związkowy był naprawdę masowy i potrzebny ludziom, musi mieć uznane uprawnienia do negocjowania z pracodawcą warunków pracy i płacy. Jeśli związek w realizacji swoich podstawowych funkcji musi się ograniczać do wysuwania roszczeń - najczęściej nie uwzględnianych - ludzie szukają innych sposobów poprawienia sobie losu, dających więcej szans. Nasze doświadczenia są obecnie dość bogate, by twierdzić z przekonaniem, że owych uznanych uprawnień /trwałego uznania pluralizmu związkowego/ nie uda się niezależnemu związkowi uzyskać bez gwarancji demokracji politycznej. Takie zaś gwarancje są nie do uzyskania w granicach imperium, do którego przecież PRL należy, jakkolwiek odpowiedziałibyśmy na pytanie, czy jest ona czy też nie jest państwem polskim i jakkolwiek bylibyśmy pewni, że w każdej wyobraźalnej przyszłości państwo nasze musiałoby żyć w zgodzie z imperium.

Z powyższego rozumowania kierownictwo "Solidarności" nie wyciąga konsekwentnych wniosków - niewątpliwie ku zadowoleniu władzy. Na czym miałyby owe praktyczne wnioski polegać? Oczywiście, nie na samym powtarzaniu haseł "demokracja" i "Niepodległość", choć akcentowanie faktu, że niepodległość jest naszym niezbywalnym celem, miałoby istotne znaczenie dla kształtowania świadomości społeczeństwa. Pełna jasność co do tego, że żyjemy w kraju podbitym, niesuwerennym, pozwoliłaby ludziom unikać wielu pułapek zastawionych przez propagandę i socjotechnikę władzy.

Chodzi jednak raczej o implikacje, o skutki takiego jednoznacznego określenia celów. A więc - o wyraźne stawianie sprawy wobec opinii polskiej, że liczne konkretne postacie zła społecznego, w gospodarce i poza nią, są nieodłącznym produktem systemu, którego istotę trzeba by gruntownie zmienić w kierunku wielorakiej konkurencyjności, żeby wyprowadzić kraj z upadku.

Pochodną świadomego ograniczenia polityczności "Solidarności" jest również ściszenie głosu w sprawach międzynarodowych, dotyczących tego kraju oraz powściągliwość w docieraniu z naszymi racjami poza kraj. Można by np. więcej zrobić dla doprowadzenia do opinii zachodniej i tamtejszych miarodajnych czynników, jaki sens ma dla niezależnie myślących sektorów opinii polskiej wizyta Jaruzelskiego we Włoszech i w ogóle przyspieszone normalizowanie przez Zachód stosunków z PRL. Nie

wykorzystuje się możliwości kontrolowania kłamstw propagandy PRL - w które zresztą Zachód coraz bardziej chce wierzyć - że np. Rada Konsultacyjna ma realne znaczenie polityczne, a nie jest tylko trickiem obliczonym na mydlenie oczu naiwnym, lub że PRL wychodzi z kryzysu i staje się wiarygodnym partnerem gospodarczym.

Ważnym skutkiem rezygnacji przez kierownictwo Związku z ograniczeń polityczności byłoby uznanie wspólnoty z innymi składnikami opozycji polskiej na rozległym obszarze identycznych celów - jakkolwiek nie są to jedyne cele "Solidarności". Prowadziłyby to do jakiejś formy porozumienia z grupami określającymi się jako polityczne czy niepodległościowe. Dynamika i sprawność niektórych spośród nich, by wymienić tylko wspomnianą już "Solidarność Walczącą", przemawia za takim porozumieniem. W przeciwnym razie za jakiś czas mogłoby się zdarzyć, że Związek, tkwiąc w dobrowolnej izolacji, zacząłby się jawić obserwatorom jako twór zwrócony ku przeszłości i bezkształtny, nie zaś jako główna siła opozycji polskiej. W rezultacie groziłoby mu również, że przestanie być uważany za godnego uwagi partnera czołowych związków na Zachodzie - bo również od szacunku, który "Solidarność" wzbudza jako ruch społeczno-polityczny, zależy jej pozycja w międzynarodowym ruchu wolnych związków zawodowych. Bałoby się przytoczyć wiele głosów zachodnich związkowców, którzy gotowi są rozumieć i wybaczyć nam naszą słabość w zakładach - choć my tam oczywiście musimy być, bo stamtąd przyjdzie kiedyś nasza siła. Natomiast nie wybaczyliby nam na dłuższą metę nieskuteczności, cofania się, utraty autorytetu w naszym społeczeństwie. Co byłoby wielką stratą także dla całej opozycji w Polsce, dla całego najszerszego pojętego ruchu niezależnego, w którego imieniu nikt inny długi jeszcze nie będzie zdolny przemawiać z pozycji tak mocnych, jakie my mamy wciąż jeszcze, ale nie na zawsze.

3.

Konkretny wyraz polityczność Związku powinna znaleźć przede wszystkim w wymiarze słowa. Władza ma podłą, lecz bezprzebieżnie dobrze przemyślaną strategię propagandową i socjotechniczną, co przy jej ogromnej przewadze w stanie posiadania środków przekazu stawia nas w sytuacji głęboko defensywnej. Po naszej stronie każde niemal pismo mówi odrębnym głosem - i to dobrze, w pluralizmie tkwi przecież nasza siła. Jednak kierownictwo Związku powinno podjąć próbę uzgodnienia akcentów i zdobyć się w zakresie własnych środków i form wypowiedzi na mocny, sugestywny ton, który znalazłby odbicie w prasie "Solidarności", w rozwijającym się radiu krajowym i rozgłośniach polskojęzycznych. Na fonii TV, przez ulotki i gazety-ulotki dotarłby możliwie szeroko poza krąg naszych zdeklarowanych zwolenników. Musiałby przykuwać uwagę ludzi zrezygnowanych, skłonnych do przystosowania i do samookłamywania się, ostro i czysto kontrastować z pozbawionym perspektywą potoczny obrazem rzeczywistości.

Powstaje pytanie, czy nie prowadziłyby nas to na tzw. be-

zdroża czystej negacji. Bo przecież nie wolno nam rezygnować z działań pozytywnych - dla hamowania moralnej /przez atomizację i przyjęcia prymitywnych reguł gry o przetrwanie/ i biologicznej /która coraz bardziej zagraża/ rujnacji społeczeństwa. Nie bójmy się jednak prezentować jako siła całkowitej zmiany - nie przez wzywianie ludzi do rzeczy dziś dla nich niewykonalnych, ale przez wypowiedzianie prawd, które kiedyś docenią i na które zresztą liczni oczekują i teraz. Dzięki temu, w odpowiednim czasie społeczeństwo zawierzy naszemu autorytetowi, nie przekształci się w powodowany irracjonalnymi odruchami żywioł.

Nie bójmy się, że taka propaganda utrudni praktykę pozytywną; po pierwsze, ze względu na pewien świadomy podział ról - oddzielenie sfery propagandy od obszarów owej praktyki. Po drugie, bo niezależna praktyka tego rodzaju jest udziałem nie tylko zdeklarowanych zwolenników "Solidarności". Angażuje w różnych dziedzinach - jak to kiedyś pisał Adam Michnik - zarówno ludzi z zewnątrz, jak i z wewnątrz sektora władzy, i również z jego pogranicza. Choć warto, by ci ludzie wiedzieli, że cieszą się w tym przychylnością Związku. A poza tym - komuniści naprawdę nie są zainteresowani w dalszej rujnacji kraju, woleliby spokój i odgłosy bezmyślnego przeżywania owoców dobrobytu, naprawdę nie przeszkadzają dla zasady wszelkim wysiłkom zmierzającym, wbrew logice systemu, do poprawy życia i gospodarowania. Naszym pozytywnym wysiłkom często sprzyjają spreczności interesów poszczególnych elementów aparatu, np. administracji centralnej i dyrektorów fabryk, zainteresowanych w zadośćuczynieniu różnym oczekiwaniom załóg.

Postulat, by Związek zdobył się na coś, co się tu określa /na wyrost/ jako strategię propagandową, jest niezależny od sugestii co do jej kierunku. Powinniśmy się na nią zdobyć - taką czy inną. Gdyby jednak miała przybierać orientację tutaj sugerowaną, to powinna zawierać element roszczeń, rozumianych nie jako molestowanie władzy o cokolwiek, ale jako formułowanie ogólniejszych celów i oczekiwań, ekonomicznych i nie tylko. Chodziłoby też o wysuwanie bardziej szczegółowych żądań - zazwyczaj niewykonalnych, ale przez to kompromitujących zasadę monopolu "siły kierowniczej", która ponosi całkowitą odpowiedzialność za degradację warunków naszego życia.

Wreszcie - pewną formą propagandy może być akcja bieżąca Związku: ulotkowanie, napisy na murach, technika radiowa, przemysłane manifestacje, oddziaływanie psychologiczne. Powinny świadczyć, jeśli nie o naszej sile, to przynajmniej o sprawności, dobrej organizacji, odwadze. Budzić szacunek do nas, sprawiać, by się z nami liczyli i ludzie, i władza, i nasi przyjaciele za granicą.

Kamil Wiliński

Strategia i taktyka porozumienia i walki

Irytuje nas często łatwowierność zachodnich polityków i komentatorów, dających się nabrać na strategiczne lub taktyczne zagrywki kolejnych sowieckich genseków. My wiemy, że posługiwanie się aparaturą pojęciową, czy kryteriami wypracowanymi historycznie w kręgu kultury zachodniej, w krajach demokracji parlamentarnej, nie ma najmniejszego sensu w odniesieniu do zjawisk politycznych w krajach realsocjalizmu ze Związkiem Sowieckim na czele. Mimo tej wiedzy dajemy się nabierać na chwytły taktyczne naszej władzy, upatrując w nich jakąś istotną, postępową zmianę ideologiczną, doktrynalną, jakąś rzetelną próbę wprowadzenia "socjalizmu o ludzkiej twarzy".

Aby zrozumieć, na czym polega taktyka władzy, określana jako "liberalizacja", zwłaszcza po spektakularnym wypuszczeniu większości więźniów politycznych we wrześniu 86, powinniśmy w wielkim, syntetycznym skrócie uświadomić sobie, czym jest dziś "realny socjalizm". W przeciwieństwie do obowiązującego przez prawie 70 lat "socjalizmu naukowego", ten "realny" nie jest już nazwą ogólną ustroju, lecz imieniem własnym. Na czym polega różnica? Otóż nazwa ogólna przysługuje tylko takim przedmiotom lub pojęciom, które odpowiadają opisowi słownikowemu danej nazwy. "Kaczka" jest nazwą ogólną pewnego ptaka, a "bocian" - innego i powszechnie wiadomo, a zwłaszcza ornitologom, jak rozpoznać, czy dany ptak jest kaczką, czy bocianem. Natomiast imię własne jest nazwą jednostkową, nadaną arbitralnie, nie opisującą danego przedmiotu czy osoby lub pojęcia, ale jedynie wyodrębniającą ją od reszty wszechświata. Może być restauracja "Kaczka" albo "Bocian", co nie daje żadnego pojęcia ani o wielkości, ani o kategorii, architekturze itp. danego obiektu gastronomicznego.

"Socjalizm naukowy" określał ustrój o bardzo szczegółowo opisanej organizacji politycznej, gospodarczej, społecznej itd. Natomiast "realny socjalizm" jest imieniem własnym, które niczego nie opisuje, a jedynie nazywa aktualny system realizowany w demcludach z tymże Związkiem Sowieckim na czele.

Realsocjalizm nie zawiera w sobie zatem żadnej ideologii, żadnej doktryny, niczego ponad stwierdzenie gołego faktu, że jest to sposób sprawowania władzy tu i teraz. Ten burdel może się nazywać "Realsoc", można go przemianować na "Gorbaczówkę" albo, jeśli ktoś jest patrycą, na "Jaruzelkę", co za różnica?

Zauważmy, że spory ideologiczne, filozoficzne i światopoglądowe, przeniosły się z prasy reżimowej na łamy czasopiśmiennicze drugiego obiegu. To wśród nas istnieją nieraz poważne różnice ideologiczne, jak przykładowo między Wierzbickim a Kuro-niem. To społeczeństwo, MI, a nie ONI, zajmujemy się problematyką sensu stricte ideologiczną, rozważamy teoretyczne możliwości reformowalności ustroju, zastanawiamy się nad kształtem "Przyszłej Niepodległej", spieramy się o pojęcia sprawiedliwości społecznej, praw człowieka, wolności, równości itd., itp.

ONI mają program prosty, pragmatyczny: inspirować i popie-rać wszystko to, co umacnia władzę, niszczyć i hamować wszyst-ko to, co władzę osłabia, a w miarę tolerować to, co dla władzy nie jest żadnym zagrożeniem. I tu dodatkowa, nader istotna uwaga: ONI popierają, niszczą bądź tolerują nie to, co obiek-tywnie, na podstawie intelektualnych analiz, jest dla władzy pożyteczne, negatywne lub obojętne. ONI kierują się tym, co WYDAJE SIĘ korzystne lub nie a k t u a l n e j w i ę k - s z o ś c i w a k t u a l n e j e k i p i e w ł a - d z y. I na aktualnym etapie.

Oczywiście, zawodowi ideolodzy marksizmu-leninizmu wypowia-dają się publicznie na tematy ustrojowe i systemowe, ale głów-nie w specjalistycznych miesięcznikach typu "Nowe Drogi", a ich dywagacje są raczej adresowane do Wielkiego Brata niż na rynek krajowy. W ustroju nazwanym "realnym socjalizmem" nie o-bowiązują już żadne pryncypia ani doktryny zawarte w "świątych księgach" klasyków, oczywiście, w odniesieniu do spraw ekono-micznych i społecznych. Z klasyków pozostał tylko nakaz silnej, centralnej władzy monopartii, która dzięki nomenklaturze obsa-dza swoimi ludźmi /partyjnymi lub posłusznymi bezpartyjnymi/ wszystkie kluczowe stanowiska, pozwalające na pełną kontrolę społeczeństwa.

Absurdalność ekonomiczna systemu centralnego planowania i nakazowo-rozdzielczego zarządzania gospodarką stała się już dla wszystkich oczywista. Nierealność obietnic rozmaitych "Ma-nifestów Komunistycznych" lub rodzimych "Manifestów Lipcowych" widać gołym okiem. Komuniści, którzy w to wierzyli, już dawno pomarli lub ich rozwalono. Upaństwowienie wszystkich środków produkcji i centralne zarządzanie prowadzi we wszystkich kra-jach, które dały się na ten ustrój nabrać, lub zostały - jak Polska - do niego zmuszone sowieckimi bagnętami, lub zostały nie-uchronnie do załamania gospodarczego, do kryzysu we wszystkich dziedzinach, a w konsekwencji do nieuchronnego, powszechnego ubóstwa. Ubóstwo zaś i brak perspektywy doprowadzają masy do wrzenia rewolucyjnego i oczywiście zagrażają władzy. Dla ut-rzymania władzy trzeba więc zrezygnować z doktrynalnego modelu gospodarczego, a zatem i z doktrynalnych stosunków społecznych.

W ZSRR i PRL obserwujemy zatem próbę uratowania politycznego modelu władzy monopartii /czyli jej ścisłego kierownictwa/ dzięki koncesjom w dziedzinach gospodarczych i społecznych. Gorbaczow najchętniej wprowadziłby zapewne w ZSRR reprivatyzację wszystkich przedsiębiorstw produkcyjnych i rozdał ziemię chłopom, jeśli jednocześnie mógłby koronować się na cara Wszechrosji i otoczyć dostatecznie silną opryczniną.

Na nieszczęście dla władzy real socjalizmu, a na szczęście dla NAS, samo zreformowanie gospodarki w kierunku wolnorynkowym, bez zdjęcia społeczeństwu kagańca "naukowego socjalizmu", jest niemożliwe. Cierpią nad tym rozmaite sieroty po Stalinie, jak u nas na przykład Władysław Loranc, szef ideolo KC PZPR, a w ZSRR niewątpliwie cały aparat GUMAGU, ale trudno, takie są realia w real socjalizmie. Trzeba zatem, prócz wypuszczenia wraźego, "kapitalistycznego kapitału", do PRL w postaci spółek mieszanych, prócz nawrotu do zdrowego, wolnorynkowego rachunku gospodarczego, przywrócenia znaczenia kategoriom podaży i popytu, ceny, kosztów wytwarzania itp., itd. - trzeba jeszcze złuzować wentyl cenzury, dać ludziom trochę ponarzekać, wypuścić Sacharowa z miasta Gorki i Michnika zsa krat, pozwolić na "śmiaże" książki, filmy, programy telewizyjne itp. Słowem - aby utrzymać zasadę dzierżymordy - trzeba tym mcrdom dać złudzenie "liberalizmu". Jednocześnie do takiej polityki zmusza nacisk Zachodu, wiążący kwestię pomocy materialnej dla zrujnowanej gospodarki polskiej z koszykiem praw człowieka.

Tak więc obserwujemy rezultat działania trzech determinant: nowej taktyki Gorbaczowa, lęku przed wybuchem społecznym, który z reguły obala aktualną ekipę władzy oraz nacisku Zachodu. To i tylko to warunkuje zachowanie się władzy, a nie żadne "ewolucje ideologiczne"; system antydemokratyczny, totalitarny, nie może stać się humanitarnym ani humanistycznym, nie zmieniając swojej istoty, a zatem trzeba odrzucić wszelkie sentymentalne mrzonki o samonaprawialności systemu. Trzeba również sobie uświadomić, że osobowości przywódców real socjalistycznych nie mogą zawierać żadnych cech uznawanych za altruistyczne, humanitarne; lub nawet takie, jakie popularnie nazywano kiedyś cechami przyzwoitego człowieka. Ale dojść do szczytu hierarchii w systemie autorytarnym każdego typu, faszystowskiego czy komunistycznego, trzeba posiadać "siłę przebicia". Trzeba być bezwzględny, amoralny, cynicznym graczem, zdolnym do poświęcenia wszystkiego i wszystkich dla osiągnięcia miejsca na szczycie. W takim systemie nie ma przecież mechanizmu wyborczego, nie ma społecznej oceny człowieka, jego osiągnięć, morale, głoszonego programu, życiorysu itd. przez ogół wyborców. Kariera przebiega w wąskim gronie, w zamkniętej mafijnej społeczności, o strukturze przypominającej stado wilków, w którym na czoło wysuwa się osobnik o najsilniejszych mięśniach, kłach i sprycie.

Reżim real soc zdaje sobie sprawę, jak niebezpiecznie cienka jest lina "liberalizacji", po której musi balansować. Styczniowe wypadki w Chinach są doskonałym przykładem szerości intencji władzy totalitarnej, wprowadzającej reformy systemowe. Pokazały i Chińczykom i światu, że w real socjalizmie dopuszczalne jest marzenie o względnym dobrobycie, ale nie o wolności. Pokazały zarazem, z jaką kwadraturą koła władze real socu mają do czynienia. Jak usiłują jednocześnie wzbudzić aktywność gospodarczą mas, utrzymując zasadę nomenklatury. Jak chcą pogodzić ogień z wodą: inicjatywę jednostek z jednoczesnym pozbawieniem ich podmiotowości politycznej.

Powtórzyć: władza w real socjalizmie może zgodzić się tylko na to, co we własnym mniemaniu pozwala jej władzę wzmocnić, albo jest dla niej zdecydowanie nieszkodliwe. Ani kroku dalej!

Dlatego należy bezwzględnie odrzucić od siebie myśl o możliwości "dialogu i porozumienia" z władzą na płaszczyźnie wspólnej troski o dobro narodowe, o jakość życia społeczeństwa. Nie zapominajmy, na Boga, że ta władza w sowieckim wydaniu nie zawahała się stworzyć sytuacji "prawnej", która umożliwiła wtrącenie do obozów pracy przymusowej miliony swoich obywateli, aby mieć tanią siłę roboczą do realizacji "Wielkich Budów Socjalizmu"! Nie zapominajmy, że umieralność wśród sowieckich niewolników była nieporównanie większa niż Murzynów na amerykańskich plantacjach, gdyż nie trzeba było za nich płacić ani rubla. Nie trzeba było sprowadzać z Afryki, urządzać polowań. Byli na miejscu.

Tylko głupotą lub ślepotą polityczną można wyjaśnić fakt uwierzenia Chruszczowowi, że jego referat na XX zjeździe KPZR był rzeczywistym zwrotem w systemie sowieckiego real socjalizmu, skoro ten sam Chruszczow prawie nazajutrz po swoich krokodylich łzach nad losem zamęczonych przez Stalina przyzwoitych ludzi - spuścił ze smyczy hordę krasnoarmijną, aby we krwi utopiła wolnościowy zryw małego narodu Węgrów, gdzieś na krańcach imperium!

Taktyka, taktyka i jeszcze raz taktyka. Gdy terror osiągnie szczyt swych możliwości, gdy jego dalsze stosowanie może zagrozić podstawom gospodarki, a zatem wywołać nieobliczalne dla władzy skutki polityczne - trzeba śrubę puścić. Gdy, jak w Chinach, śruba poluzuje za bardzo - wkręca nową terror. Taktyka: co się bardziej opłaca, co daje lepsze skutki dla władzy tańszym kosztem.

Obecnej ekipie real socu w PRL stosowanie terroru na dalszą metę przestało się zdecydowanie opłacać. Zarówno w skali wewnętrznej, jak i międzynarodowej. Osiągnięto maksimum tego, co dało się terrorem osiągnąć, choć znacznie mniej od rezultatów spodziewanych. Metody Grzegorza Piotrowskiego, choć tradycyjne i doraźnie "skutkujące", okazały się w ostatecznym rachunku bardziej szkodliwe dla pomysłodawców, niż dla opozycji społecznej. Real soc postanowił nałożyć ludzką maskę na swe prawdziwe oblicze.

Skoro sytuacja zmusiła ICH do takiej taktyki, jaka powinna być NASZA? Powtarzają nam często, że polityka jest sztuką osiągnięcia celów możliwych. Ustalmy zatem, jakie cele są możliwe, a jakie zdecydowanie nieosiągalne na obecnym etapie historycznym? I tu byłbym ostrożny w sporządzaniu listy celów rzekomo nieosiągalnych, gdyż zależy ona ściśle od sytuacji w polityce światowej, a ta zmienia się szybko, niż trwa dłużej drugim obiegiem. Jedno jest pewne: realnego socjalizmu ta ekipa, jak i każda inna w tym systemie, bronić będzie silniej niż narodowego bytu. Dla Kraju Pokój Miłującego oraz jego satelitów lepsza jest zagłada atomowa ludzkości, niż oddanie władzy. Jeśli uznają, że realnie władzy zagrażamy - wyróżną nas bez najmniejszych skrępułów. Jedyna różnica w sposobie zarzynania za-

leżeć będzie od tego, czy na czele pacyfikacji stanie zdeklarowany sadysta, czy przeciętny aparatozyk, który prywatnie nie lubi widoku krwi.

Logiczny stąd wniosek, który tak bardzo nie podoba się hurrańskiemu podległościowcom, jest następujący: trzeba krok po kroku, centymetr po centymetrze poszerzać obszar podmiotowości społeczeństwa, wykorzystując do maksimum każdą zagrywkę taktyczną władzy. Gramy wprawdzie znacznymi kartami, ale jednak gramy i możemy im utrudniać wyciąganie asów z rękawa. Grajmy zatem o różne stawki, zdając sobie sprawę z tego, że siedliśmy do stolika z szulerami, ale - nie mamy innego wyjścia. Nie zapominajmy, że szulerom nie tylko my, ale cały demokratyczny świat patrzy na ręce, że kurtyna jest jednak uchylona, że oceny rozgrywki dokonuje nie tylko Urban, ale i rzetelne środki komunikacji społecznej. A ONI muszą się teraz z taką sytuacją liczyć.

Poszerzanie swobód obywatelskich musi stać się procesem ciągłym, wymagającym od nas różnych form działania. Zdawajmy sobie sprawę, że rację ma Urban, kiedy mówi, że rząd się wyżywi, ale dodajmy, że tylko wtedy, gdy pozostanie rządem.

Przechodząc do konkretów: czas bojkotu i emigracji wewnętrznej powinien się skończyć dla tych, którzy czują w sobie odwagę przystąpienia do gry, piekielnie niebezpiecznej, w przekonaniu, że potrafią wytrwać na swoich pozycjach obrony praw ludzkich i obywatelskich, że potrafią rozegrać ową grę, nie dać się skorumpować, zastraszyć, wymanewrować, że potrafią, w razie potrzeby, wstać od stolika, ogłaszając, że mimo najlepszej z ich strony woli - nie mają partnera do uczciwej rozgrywki.

ONI z władzy nie zrezygnują, nomenklatury nie zlikwidują. Ale wcale nie jest powiedziane, że nomenklatura nie może zostać znacznie ograniczona, że nie można wytargować, "wynegocjować w duchu dialogu i porozumienia" strefy stanowisk obsadzanych przez fachowców. Realna sytuacja ich do tego zmusi, gdyż w swoim nomenklaturowym worku mają coraz większy asortyment durni. Doświadczenie stanu wojennego też ich czegoś nauczyło. Rozwiązali np. Związek Literatów, utworzyli nowy ZLEP, postawili wkompromitowanego karierowicza na czele i co? Zebrzą teraz w "Polityce" u polskich pisarzy, aby puścili w niepamięć całe to wyrządzone im draństwo i wielkodusznie zgodzili się "uczestniczyć"... Rzecz jasna, zgoda na takie warunki, jakie władza stawia, tzn. pozostawienie bez zarządu ZLEP-u i dołączenie do nich autentycznych pisarzy, jest kpina ze zdrowego rozsądku. Ale - jak widać - jest i tam stolik do gry, może drugiej, trudnej, ale może nie beznadziejnej.

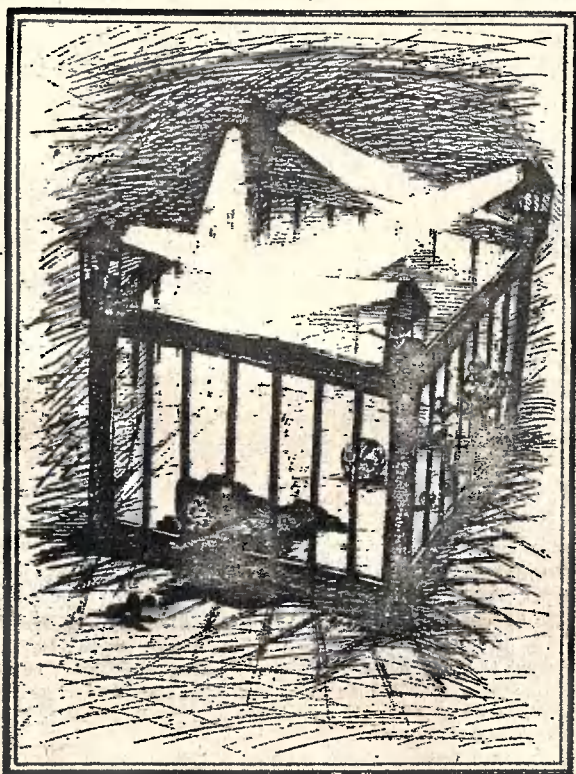
Generalna zasada, którą musimy się kierować: nic za darmo! Nic na piękne oczy, obietnice, gesty i teatralne pozy. Mówimy językiem konkretów, językiem prawników, nie poetów. Nie obietnice nas rządzą, ale konkretne ustawy, paragrafy, statuty, zarządzenia.

Pamiętajmy stale, że wprawdzie nas nienawidzą, ale znacz-

nie bardziej kochają swoją władzę. Problem tylko w tym, jak liczebna będzie ta ekipa władzy, jak dalece "ścisle kierownictwo" zdecyduje się zrzucić z tonącej tratwy współtowarzyszy, aby samemu dopłynąć do brzegu.

Nie ludźmy się, że będzie to szczupła ekipa, ale też nie zapominajmy, że na tratwie jest dziś nader tłoczno i trzymającemu ster dość niewygodnie. A kocha trzymać ten ster, aż strach. I w tej miłości nasza nadzieja.

Jan Omłot



SŁÓW KILKA O PAŃSTWIE "NADOPIEKUŃCZYM"

Aleksander Paszyński

W niewoli doktryny

Może to nieładnie, że rozpoczynam od incydentu, którego sprawcą sam byłem, ale proszę rzecz traktować tylko jako ilustrację tego, co dalej. Otóż uczestniczyłem niedawno w dyskusji nad sposobem finansowania budownictwa mieszkaniowego - referowałem i gorąco broniłem zasady "podmiotowego kredytowania". Ideę tę przedstawiałem już na tych łamach /ostatnio w artykule "Mieszkaniowa rewolucja" - "TP" nr 23 z 8 czerwca 1986 r./, więc tylko dla przypomnienia powtórzę, że chodzi o to, by kredyty na budowę zaciągali zainteresowani, a nie w ich imieniu anonimowe spółdzielnie. Inaczej mówiąc, by każdy z nas decydował o sposobie użycia tych środków, mógł wybierać inwestora, a nie prosić o łaskę, za którą i tak zapłacić musi.

Oczywiście to skrót zbyt wielki, by mógł wyjaśnić wielorakie skutki, jakie może spowodować proponowany system, ale przecież łatwo zrozumieć, że prowadzi on nie tylko do upodmiotowienia kredytów inwestycyjnych, ale przede wszystkim do upodmiotowienia społeczeństwa. Nikt nie kryje, że jest to droga daleka i najeżona rafami, ale przecież zawsze od jakiegoś punktu zacząć trzeba; wydaje się, że w piękniełnie powikłanym splocie naszej rzeczywistości jest to ta nić, której pociągnięcie może przynieść najszybsze korzyści.

Może, co nie znaczy, iż musi. Nie mam więc pretensji do tych, którzy wątpią w celowość proponowanego manewru i przeciwstawiają mu różnorakie argumenty merytoryczne. Natomiast dostaję drgawek, gdy słyszę, że to, co proponuję, oznacza wycofanie się państwa z jego zobowiązań, przerzucenie na nasze barki ciężaru polityki społecznej, jednostronny wzrost obciążeń społecznych itd. Gdy podobne opinie padają z ust starych wyjadaczy politycznych lub naiwnych uczestników zebrań partyjnych - rozumiem, o co chodzi. Egalitaryzm i hasła sprawiedliwości to ostatnia amunicja, jaką jeszcze dysponują. Ale ludzie, o których mowa wyżej? Znam ich, część dość dobrze, i wiem, co prywatnie myślą. Nie mają na przykład złudzeń co do tego, że państwo dysponujące nieefektywną gos-

x/ Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego".
Nadtytuł pochodzi od redakcji "Mostu". /red./

podarką jednocześnie angażuje się w rozliczne, także kosztowne, priorytety rozwojowe, musi je finansować naszym kosztem. Ale jednocześnie marzą, by ono było dla nas dobre i budowało na przykład mieszkania...

NIEPOROZUMIENIA PODSTAWOWE

Gdyby rzecz dotyczyła tylko tej jednej sprawy, zapewne nie warto byłoby rozdzierać szat. Jednakże z racji zawodowych zainteresowań stykam się stale z ludźmi, których można określić bardzo pojemnym mianem polityków społecznych. Pojemnym, bowiem nie chodzi mi wyłącznie o profesjonalistów z tej dyscypliny wiedzy /?/ - za chwilę wyjaśnię, skąd ten pytańnik - ale także ekonomistów, architektów, lekarzy, urbanistów, planistów przestrzennych, "ochroniarzy" itp. Większość z nich /wyjątki są naprawdę nieliczne/, niezależnie od światopoglądowych inspiracji - jak to się ostatnio mówi - czy też stopnia akceptacji ustroju, w jakim przyszło nam żyć, w istocie zachowuje niemal nieznaną wiarę w to, że państwo jest od tego, by rozwiązywać wszystkie problemy jego obywateli. W imię tej zasady są też skłonni akceptować haracz, jaki ono od nas za to pobiera.

Jeśli chodzi o polityków społecznych, to ich stanowisko jest dla mnie zrozumiałe. Gdyby nie socjalizm z jego opiekuńczą wizją państwa, zawód ten w takiej skali, w jakiej został na naszej - i oczywiście nie tylko naszej - biednej ziemi stworzony, nie miałby racji bytu. Zapewne istniałaby niewielka grupa teoretyków, ale nie dziesiątki tysięcy magistrów tej branży, wielkie instytucje, wydziały szkół wyższych itp. Oni wyrastają na socjalistycznym gruncie i muszą traktować jego doktrynalne założenia jak nawóz użyźniający glebę, stanowiącą podstawę ich egzystencji.

Stąd też pytańnik przy określeniu polityki społecznej jako dziedzin wiedzy. Chyba że traktuje się ją jako odgałęzienie naukowe socjalizmu. Na jakim fundamencie opiera się bowiem ta dyscyplina? Na doktrynalnym założeniu, o jakim dziś dyskretnie się nie mówi, choć stanowi ono nadal podtekst motywacji wielu poczynań, że w miarę postępu socjalizmu rozszerzać się będzie sfera tzw. konsumpcji zbiorowej, społecznej, czy jak jeszcze i-naczej rzecz nazwać. Kosztem, to zrozumiałe, konsumpcji indywidualnej. Kiedyś włączano to założenie z tezą o zaniku regulacyjnej funkcji pieniądza i kierunkową dyrektywą, wynikającą z doktryny, że w komunizmie każdemu według potrzeb. Mimo że horyzont tej powszechnej szczęśliwości stale się oddala, to jednak po drodze pojawiają się przeciwień różne etapy osiągania celu w postaci mniej lub bardziej rozwiniętego socjalizmu i choć w razie nadal ma być wedle pracy, to jednak marchewka w postaci potrzeb stale wisi.

Cóż to jednak znaczą konsumpcja zbiorowa? W pogadankach ekonomicznych, które kiedyś zastępowały nawet podręczniki ekonomii, miało być to bezpłatne rozdzielnictwo dóbr uznanych za społecznie istotne. "Za darmo" mieliśmy więc jeździć środkami komunikacji zbiorowej na bezpłatne wczasy, dostawać mieszkania, uczyć się i leczyć itd. - nawet żywnienie uzyskało nieco na wzrost przymiotnik "zbiorowe". Dziś jednak już dzieci wiedzą, że

"za darmo" niczego nie ma, a dorośli powinni zrozumieć, iż jest to tylko kwestia sposobu podziału dochodu narodowego. Jeśli więc "dobre państwo" coś nam daje, reguluje ceny lub opłaty na poziomie niższym niż faktyczne koszty, to musi albo prowadzić niszczącą, rabunkową gospodarkę w tych sferach, albo ją dotować, zmniejszając w ten sposób tę część dochodu narodowego, jaką w wyniku indywidualnego podziału powinniśmy znaleźć we własnych kieszeniach.

Zapewne w czasach, gdy Marks - a przed nim lub po nim różne mniej lub bardziej utopijne doktryny - posłużył się kategorią konsumpcji zbiorowej, było to myślenie zasadne; przy niskich aspiracjach społecznych, wynikających z kulturowego i cywilizacyjnego zacofania warstw najniższych, a także poziomu ówczesnych płac i warunków pracy, trudno było sobie wyobrazić inną drogę awansu niż "bezpłatne" świadczenia w dziedzinie oświaty, zdrowia, kultury, ubezpieczeń społecznych etc. Czy jednak w miarę postępu, awansu cywilizacyjnego i kulturowego społeczeństwa metoda, być może konieczna, a w każdym razie wymyślona w zupełności innych warunkach, ma rację bytu?

Nie jest to pytanie retoryczne. Acz bowiem słowo "bezpłatne", czy choćby tylko "dotowane" z ogólnej kasy, brzmi ładnie, to przecież kryje się za nim arbitralna decyzja, określa ją, określa ją, co jest dla nas dobre, a co złe. A więc uznanie, że ktoś ma monopol na dekretowanie modelu konsumpcji, co przy rozszerzającej interpretacji tego określenia oznacza przecież model życia. Nie chcę popadać w demagogię i dowodzić - aczkolwiek nie trudno to uczynić - że arbitralne określenie celów jednostki oznacza naruszenie jej praw podstawowych i jest zaprzeczeniem demokracji, oddaje bowiem władzę nad nią ośrodkom decydującym, jak ma ona żyć. Jest to szczególnie groźne w warunkach braku demokratycznych procedur negocjacyjnych między społeczeństwem a władzą; brak takiego mechanizmu w sposób automatyczny wzmacnia władzę centrum.

DYLEMATY SPOŁECZNIKÓW

To jest dylemat naszych społeczników. Z jednej strony wiedzą przecież, nie mogą nie wiedzieć, że centrum - jeśli ma małe pieniądze, a nigdy przecież nie ma ich tyle, by starczyło na wszystkie jego cele - musi manipulować sferą, jaką uznaje za obszar polityki społecznej i stara się, jak może, uszczknąć środki na ten cel gromadzone. Nie jest nieprzenikniętą tajemnicą, że wpływy na przykład na fundusz emerytalny przekraczają wypłaty z niego, że służba zdrowia dawno przestała być bezpłatna - wystarczy uważna lektura "Rocznika Statystycznego", by się o tym przekonać - że nauka kosztuje itd. Z drugiej jednak, boją się spojrzeć prawdzie w oczy i udają, że to tylko "błędy i wypaczenia", wynik kryzysu lub może niska wydajność pracy, powodująca, że państwo jest tak biedne, iż nie może dać nam tyle, ile by chciało. Inaczej mówiąc, gdy socjalizm stanie się mniej realny, to znów wszystko będzie "za darmo"!

Rozumiem jeszcze, gdy obrońcy zasad polityki społecznej uzasadniają swe opory przed bardziej radykalnymi próbami rewizji doktryny względami czysto pragmatycznymi. Mianowicie, gdy ar-

gumentują, iż błędem byłoby ułatwienie państwu wykonania manewru wycofania się z niegdysiejszych zobowiązań i przerzucenia tych zadań na indywidualne barki. Rozumiem, choć wydaje mi się to rozumowanie błędne. Przecież państwo i tak właśnie w ten sposób postępuje, zachowując jedynie sztafaż pozorów. Gdyby ktoś pokusił się o wykreślenie linii zależności między, na przykład, wzrostem cen wczasów lub innych dóbr "chronionych" a nasileniem się propagandy antyspekulacyjnej, antypasożytniczej i paru innych "anty", to łatwo dostrzeże związek obu tych zjawisk. Po prostu, im życie staje się trudniejsze, a rozwarstwienie większe, tym więcej mówi się o sprawiedliwości społecznej. Nie wchodząc nawet w intencje wykonawców takich zabiegów, powidiałem kiedyś, i teraz publicznie to powtarzam, że sprawiedliwość na przykład w kolejce mieszkaniowej, w jakiej stać trzeba będzie niedługo już 30 i więcej lat, nikogo nie powinna interesować. Po prostu nie istnieje "sprawiedliwy" sposób rozdziału dóbr, jakich brakuje, poszukiwanie "sprawiedliwości" zacząć trzeba od znalezienia dróg dla zwiększenia ich obfitości.

Niestety, nasi politycy społeczni uważają, że poglądy podobne do moich, to "wilczy kapitalizm", a w najlepszym razie - neoliberalizm, friedmanizm /od "noblisty" Milтона Friedmana, ekonomisty amerykańskiego/ i przejaw równie krwiożerczych instyktów społecznych oraz że im społeczeństwo biedniejsze, tym większą powinno nad nim opiekę roztoczyć państwo. To, że jesteśmy biedni /choć czy musimy być aż tak biedni?/, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Jednakże państwo jest dla nas nadopiekuńcze tylko w słowach, a w rzeczywistości - powołam się tu na opinię prof. Rajkiewicza, przez pewien czas nawet ministra do spraw socjalnych - nadopiekuńcze jest tylko dla swych nieefektywnych przedsiębiorstw. A że ma mało pieniędzy, to jego łaskawość dla nich musi się odbywać naszym kosztem. Wolę już więc sytuację znacznie czystsza, w jakiej rachunki mogą być w każdej chwili sprawdzone.

Jest to zresztą znakomite zadanie dla sfrustrowanych polityków społecznych: niech policzą, co by się stało, gdyby państwo zrezygnowało z opieki nad nami i kwoty, jakie na ten cel przeznaczy, przekazało do indywidualnej kieszeni. Znam taki rachunek, wykonany przez seniorów jednego ze stowarzyszeń inżynierskich /inżynierowie sprawnie posługują się elektronicznymi liczydełkami/, z którego wynika, iż - przy założeniach: średni wiek - pracy i życia, średnie zarobki w tej grupie zawodowej itd. oraz ulokowanie składki emerytalnej /28% każdej pensji/ w FKO - z procentów płaconych przez te instytucje zapewniłoby emeryturę wyższą od średniej. Bez naruszania kapitału! A gdyby jeszcze ten kapitał użyć w sposób bardziej produktywny niż czyni to państwo, które przecież bieżąco korzysta z gromadzonych kwot na ten cel, to być może sejm nie musiałby się tak biedzić nad sposobem zrealizowania własnej uchwały o waloryzacji rent i emerytur.

Tego nasi politycy społeczni nie liczą, natomiast poświęcają mnóstwo czasu na metodologię obliczania, na przykład, minimów socjalnych. Abstrahując już od tego, że posługują się w tym celu zwodnym koszykiem wydatków; fikcyjnymi cenami czy wątpliwymi źródłami zakupów, to ich główny problem polega na tym, kto ma

określić, o wchodzić powinno w skład minimum? Rzeczywiście - kto? Znow na placu boju pozostaje państwo, czyli wiadomo kto. Wystarczy więc obniżyć poprzeczkę potrzeb, by ci, którzy mimo to zostaną poniżej niej, reprezentowali procent "przyzwoity". Bez dalszych komentarzy.

MIT DOBREGO PAŃSTWA

Choć nie, jeden komentarz jest potrzebny, mimo że wykracza on nieco poza czyste społeczne nieporozumienia, ale jednak jest niezbędny dla zrozumienia źródeł iluzji wielu ludzi starających się urządzić lepiej nasz byt doczesny. Jest to wiara w omnipotencję państwa, które powinno sprawiedliwie dzielić to co jego gospodarka wytworzy. W ten sposób - powrózmy - doktryna polityki społecznej nierozzerwalnie zrosła się z socjalizmem i w nim upatruje możliwość materializacji swych założeń.

Spróbujmy więc - w największym skrócie oczywiście - przypomnieć, na czym polegał miał system gospodarki socjalistycznej? Miał to być system stanowiący zaprzeczenie tego kapitalizmu, jaki był znany wówczas, gdy doktryna ta się rodziła, a więc kapitalizmu z końca XIX wieku czy z początku XX z wszelkimi podręcznikowymi jego cechami: marnotrawstwem, nadprodukcją, wyzyskiem itd. Tamten obraz dawno przestał istnieć, jego resztki znaleźć można oczywiście na peryferiach rozwiniętego świata /niezależnie od tego, jak te peryferie są rozległe/, a w klasycznej formie - na kartkach wielkiej literatury. Ale mimo to socjalistyczne myślenie stale operuje zbitką czy przeciwstawieniem: socjalizm-kapitalizm. To dziś już nic, a w każdym razie niewiele, znaczy!

Wróćmy jednak do założeń. Twórcy socjalizmu, zwanego teraz realnym, uznali, że można wymyśleć mechanizm skutecznie zastępujący - w ich przekonaniu zże zarówno ze społecznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia - regulatory życia gospodarczego, jakie identyfikowano z kapitalizmem, choć w istocie ich rodowód jest bez porównania starszy: pieniądź, rynek, wartość i wszystkie pochodne tych pojęć. To prawda, że formacja zwana przez marksistów kapitalizmem owe regulatory życia gospodarczego znakomicie rozwinęła, ale przecież pojawiły się one znacznie wozesniej, wraz z pieniądzem, a więc znane były już Fenicianom. Są to bowiem "wymysły gospodarki towarowo-pieniężnej", a nie kapitalizmu, któremu walkę na śmierć i życie wydał socjalizm.

Jak go chciał pokonać? Lenin twierdził, że wyższą wydajnością, ale to dziś tak nierealne, że mało kto już się powołuje na te słowa. Przy okazji zapomina się jednak, iż źródłem owej wyższej wydajności systemu miała być nie tylko inna relacja do własności środków produkcji, czyli inna - jak byśmy współcześnie to określili - motywacja pracy, ale przede wszystkim wyższa efektywność ogólna, jaką miała zapewnić planowość gospodarki. Plan - i to najbardziej dyrektywny plan - miał stanowić jądro nowego systemu.

Najbardziej schematycznie rzecz ujmując, plan powinien z jednej strony bilansować wszystkie społeczne potrzeby, a z

drugiej, ustalać sposób ich zaspokojenia przez ilościowe zadania produkcyjne i rozdziałnik wytworzonych dóbr. Optymalizacja gospodarki miała więc następować przez plan, wszechogarniający plan centralnie ustalany. Ale skoro tak, to zbędne stało się całe instrumentarium ekonomiczne, stworzone przez gospodarke towarowo-pieniężną! Przypuszczenie, iż ignorowanie, na przykład prawa wartości, rynku i jego wymogów, wreszcie spodenie pieniądza itd., to były błędy systemu - jest oczywistym nieporozumieniem. System świadomie wyrzucił te narzędzia za burtę, jako całkowicie mu niepotrzebne.

Można i trzeba w tym miejscu zapytać, czy niepowodzenia tej, skądinąd frapującej intelektualnie koncepcji wynikają z wad tkwiących w założeniu, czy może tylko ułomność narzędzi, jakimi dysponował - i dysponuje nadal - centralny planista sprawia, że model funkcjonuje źle?

Jest to oczywiście oentralne pytanie reformy, ale zostawmy odpowiedź na nie na inną okazję, w tym miejscu istotna jest jedynie ta jej część, jaka wiąże się z dylematami polityków społecznych. Otóż oni nie mogą zrezygnować z postulatu wszechogarniającego planu, jako narzędzia sterującego procesami społeczno-gospodarczymi, bowiem bez tego trudno sobie wyobrazić "zaspokojenie społecznych potrzeb". Ale w tym miejscu znów wpadają w pułapkę, taki plan bowiem idealnie służy systemowi niekoniecznie przez nich kochanemu. Jeśli bowiem plan ma harmonizować cele i zapewniać ich optymalizację /w tym miejscu nieważne, czy rzeczywiście temu służy/, to jej warunkiem jest arbitralne określenie celów społecznych przez centrum. Proszę zwrócić uwagę, jaką karierę w socjalizmie zrobiło określenie: interes ogólnospołeczny i pochodny od niego system norm, normatywów, limitów i szczegółowych przepisów, służących ujednoczeniu ludzkich zachowań. Mamy tu do czynienia z niezwykle ważnym sprzężeniem konieczności i zamysłu. Plan, by skutecznie regulować procesy gospodarcze, musi uwzględnić nieobliczalną ilość zmiennych - zmienną w tym przypadku jest zachowanie się milionów ludzi w tysiącach życiowych sytuacjach: produkcyjnych, konsumpcyjnych, obyczajowych, cywilizacyjnych, kulturowych itd. Musi więc dążyć do minimalizacji wzorców takich zachowań, a więc do maksymalnego ujednoczenia ludzkich wyobrażeń o życiu i szczęściu. Z punktu widzenia wszechogarniającego planu ideałem byłoby, by każdy miał takie samo mieszkanie, identyczne jego wyposażenie, by chodził w typowym ubraniu - tę wyliczankę można prowadzić niemal bez końca.

Tak oto nasza polityka społeczna zrosła się trwale z socjalizmem i wszelkie próby naruszenia jego wpływu także w sferze osobistych potrzeb ludzkich traktuje jak zamach na swoją własność. Programowo też jest niechętna wszelkim projektom upodmiotowienia społeczeństwa, bowiem wówczas nie mogłaby normować ludzkiego życia, ustalając standardy zaspokajania różnych ludzkich potrzeb. Ale żeby móc to uczynić, potrzebuje oparcia w państwie, musi działać niejako w jego imieniu. Do tego jednak potrzebne jest jej "dobre państwo". O takim ciągle marzy i nie chce uwierzyć, że - być może - społeczeństwo samo chciałoby osiągnąć to, co - subiektywnie zapewne - uznaje się za szkusne.

Może tym pamfletem sprowokuję społeczników do weryfikacji lub choćby do dyskusji nad systemem własnych mitów?

Państwo a obywatel

Jest rzeczą jasną, że chrześcijańskie podejście do kwestii relacji między państwem a obywatelem, do sprawy praw państwa jako władzy i praw obywatela jako "zbiorowego podmiotu" instytucji państwa, różni się dość zasadniczo od optyki oficjalno-rządowej PRL. Nie oznacza to jednak, by poglądy nie tylko rządzonych ale i rządzących musiały być odmienne, a tym bardziej sprzeczne z poglądami Kościoła. Różnie bywało i różnie bywa.

Moje rozmyślenia i rozważania związane są z moim zawodem badacza-historyka. Postaram się więc ten społecznie niezwykle ważny, tytułowy temat potraktować w optyce "dziania się", w świetle rzeczywistego przebiegu historii, dawnej i bliskiej, to znaczy przez pryzmat społecznego czasu, człowieczych doświadczeń, zmienności i długotrwałości zjawisk występujących w środowisku człowieka historycznego.

Zacznę jednak od zupełnej dzisiejszości, która też przecież stale staje się historią i zawiera w sobie ważne elementy dawnej i świeżej historii.

W systemie polityczno-społecznym, w którym żyć nam wypadło, nasila się od dawna i trwa inflacja, ba, istny zalew, prawie że potop słów "państwo" i "obywatel" lub terminów od nich pochodnych. Słowa te padają i uderzają nieraz jak młoty, nieraz spływają po nas bez pozostawienia śladu. Coraz częściej jednak poddajemy się im i używamy ich w sensie zafałszowanym, propagandowym. Jest to część udanej pedagogizacji państwowej, szerszego procesu wychowania propagandowego w ramach upodabniania się do "przodującego" wzorca ustrojowego. Mam tu na myśli sowietyzację werbalno-pojęciową, a więc stałą falsyfikację treści pojęć.

Wciąż mamy przed oczyma /druk/ i dźwięczą nam w uszach /"żywe słowo"/ takie prawie rytualne zwroty, jak "interes państwa", "przedsiębiorstwo państwowe", "państwowe przedszkole", "własność państwowa", "obowiązki wobec państwa", "państwowe wydawnictwo" /takie lub owakie/, "pracownik państwowy", "uczelnia /lub szkoła/ państwowa". Coraz częściej mówi się w telewizji nie "w naszym kraju", lecz "w naszym państwie". A obywatel? Otóż mamy oczywiście "Milicję Obywatelską" /ciekawe, że Służba Bezpieczeństwa nie ma w swej nazwie ani państwa, ani obywatelstwa/, słyszymy więc np. "pozwólcie ze

x/ Szkio ten publikujemy bez wiedzy i zgody Autora /red./

mną, obywatelu". Przypomnę, że oficjalnie mówi się "obywatelu posle", "obywatelu pułkowniku" i "obywatelu premierze". Mamy bardzo wiele "obywatelskich" komitetów - zwłaszcza tych od pomników - mamy też "cenne inicjatywy obywatelskie". Mamy sporo "obywatelskich obowiązków", "myśli obywatelskiej" i jeszcze więcej - przynajmniej w teorii - "praw obywatelskich", które okazują się autentyczne jedynie wtedy, gdy obywatel stosuje się do "racji stanu" wyznaczanej przez "państwo". Jednym słowem, "państwo" określa, co jest w interesie państwa. To ostatnie jest celowym doprowadzeniem sprawy do absurdu. Po prostu codzienny usus, narzucony przez rządzących i przez nas - niestety - w znacznej mierze zaakceptowany, każe nam słowo "rząd", lub "władza", lub "elita władzy", lub jeszcze lepiej "aparatus państwowy" zastępować słowem "państwo", a słowo "rządzący" lub "podporządkowany" /a nawet "zniewolony"/ terminem "obywatel".

• • •

Czym w końcu jest to państwo i czym był, lub jest, obywatel?

Historycznie powstałych i funkcjonujących definicji państwa jest wiele. U nas oficjalnie obowiązywała drugo definicja marksistowska, eksponująca element dyktatury jednej klasy nad drugą /drugimi/, sprawowanej przez wyodrębniony aparat przemocy państwowej. Ostatnio mniej się mówi o przemocy i panowaniu jednej klasy /w teorii - jak wiadomo - proletariatu/ nad społeczeństwem, lecz raczej podkreśla charakter ogólnonarodowy i ogólnodemokratyczny państwa zaawansowanego w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Jednakowoż rolę "klasową" bezcennego skarbu całego narodu, czyli aparatus wyodrębnionego ze społeczeństwa, wypukła się, zwłaszcza w okresach społeczno-politycznej destabilizacji i buntu rozsierdzonych obywateli.

Wielu ludzi uważa państwo, i tak je po prostu definiuje, za organizację globalną społeczeństwa dla dobra tego społeczeństwa. Georg Jellinek, niemiecki prawnik, publikujący swoje fundamentalne prace pod koniec XIX wieku, zbudował teorię trzech elementów. Według Jellinka, państwo jednoczy mianowicie trzy współzależne od siebie elementy: t e r y t o r i u m, zamieszkałe przez l u d z i, podległych suwerennej w ł a d z y. Władza ta nie działa w próżni, nie funkcjonuje wbrew ludności czyli społeczeństwu, gdyż - wolaż zdaniem Jellinka - państwo oznacza celowy związek zbudowany dla korzyści solidarnych interesów ludzi. W społecznej nauce Kościół podkreśla się - bynajmniej nie negując podstaw definicji Jellinka - służebność państwa wobec społeczeństwa, ale też wartość i celowość dyscypliny i posłuszeństwa wobec władzy sprawiedliwej i "rządnej". Władza państwowa, powiada Kościół, powinna wraz ze społeczeństwem działać zgodnie dla wspólnego dobra zbiorowości.

W końcu, państwo oznacza samoorganizację społeczeństwa. Rządząca władza to przede wszystkim aparat administrujący, wymagający posłuchu i egzekwujący według norm prawa, a przede wszystkim służebny wobec obywateli, broniący ich praw i interesów.

Nie od razu człowiek stał się obywatelem. Owo stawanie, to proces długi, skomplikowany i - niestety - odwracalny /mam na myśli to, że obywatel może przestać być obywatelem/. Najogólniej, i to już od ponad dwustu lat, o b y w a t e l i to tyle, co w o l n y c z ł o w i e k, zorganizowany w polityczne społeczeństwo obywatelskie, zwane państwem. Ten wolny człowiek ma, że tak powiem, prawo do państwa, j e g o państwa, do kontroli funkcjonowania j e g o władzy państwowej. Obywatel jest twórcą władzy i fundamentem państwowości, on w ostatniej instancji decyduje o losach państwa. To, co mówię, to oczywiście wizerunek idealny. Zdarza się bowiem w dziejach, że człowiek, krztuszący się wciąż powtarzanym zdaniem "jestem wolnym obywatelem", staje się w rzeczywistości niewolnikiem, lub - jak kto woli - "obywatelem drugiej kategorii", a nieraz "trzeciej", "czwartej" i dalszej. Nie potrzebuję dodawać, że walka i różnego rodzaju starania o to, by poddany czy niewolnik stać się mógł obywatelem, trwały całe stulecia, że - o czym jeszcze wypadnie mówić - rozszerzał się krąg obywatelski od czasów greckich starożytnych miast-państw, poprzez angielską Magna Charta Libertatum z 1215 roku, Rewolucję Francuską /prawa człowieka i obywatela/ i dalsze, dwudziestowieczne zdobycze w dziedzinie praw jednostki i swobód politycznych.

Mówiąc o państwie, należy pamiętać o istnieniu pewnych stałych, łatwych do wy tłumaczenia psychologicznie, sprzecznościach między państwem w rozumieniu aparatu państwowego /często przeciw aparatu przymusu i ucisku/, a społeczeństwem i jednostką. Można powiedzieć, że w historii państw i społeczeństw, a ściślej władzy i obywateli, albo jeszcze i naczej - rządzących i rządzonych, istniały i istnieją trzy możliwości: p r z e w a g i w ł a d z y nad społeczeństwem, r ó w n o w a g i o b y d w u e l e m e n t ó w i p r z e w a g i s p o ł e c z e ń s t w a nad władzą. To oczywiście schemat, ale schemat nader przydatny do dalszych naszych rozważań.

Zauważmy, jak stara jest metryka społecznych tendencji do przeciwstawiania się państwu jako władzy przymuszającej, lub państwu jako instytucji. Są one prawie tak stare jak ludzkie społeczeństwa zorganizowane w państwo. Państwo z natury rzeczy ogranicza totalną swobodę i dlatego przeciwko niemu występowali zawsze anarchiści /w ich liczbie anarchokoooperatywiści i anarchosyndykaliści/, liberałowie i - oczywiście w teorii - komuniści. Wszyscy wymienieni albo postulowali zniesienie państwa, albo ograniczenie do minimum jego uprawnień i kompetencji.

Jeśli mówię o anarchistach, liberałach i komunistach, to wcale nie oznaczam, że mam na widoku jedynie nurty i polityczne kierunki XIX i XX wieku. Zależąki myśli anarchistycznej, liberalnej i komunistycznej odkryć łatwo w najdawniejszych czasach.

Przyjrzyjmy się teraz państwowościom starożytnym. W świecie grecko-rzymskim mamy do czynienia z despotiami, różnego typu monarchiami, a także z republikami. Mamy do czynienia z wielkimi imperiami i z małymi miastami-państwami.

Kryterium obywatelstwa pokrywało się w niektórych z tych państw /bo przecież nie w despotiach i większości orientalnych monarchii/ z przynależnością do kategorii ludzi wolnych. Tylko wolny w republikach miał wpływ na kształt władzy i losy państwowości, tylko więc wolny człowiek był "państwowotwórczy". Antyczne pojęcie obywatela dziś wydaje się nam ograniczone. Rozumujemy wszakże historycznie. Niewolnictwo było w tamtych czasach uznawane za instytucję normalną. Nie widziano w niej zgoła nic zdrożnego. Wczesne chrześcijaństwo też nie występowało przeciwko niewolnictwu. Było ono dla ówczesnych ludzi rzeczą całkiem naturalną. Tak samo naturalne aż do XX wieku było to, że obywatelem może być wyłącznie mężczyzna.

Najbliżej ideału państwa, kontrolowanego przez sporą grupę jego mieszkańców /ludzi wolnych - obywateli/, znalazły się greckie poleis, miasta-państwa. W tych małych państwach, w których ludzie wolni wszyscy znali się osobiście, można było stosować w praktyce demokrację bez pośredni a, albowiem cały lud zmieścić się mógł na jednym placu miejskim i decydować w drodze dyskusji i głosowania o sprawach publicznych. Nie lekceważmy tego doświadczenia, które marzy się wielu i dziś, choć nie jest do odtworzenia, czy odrodzenia w państwach 10- lub 100-milionowych. Jeśli nie można go skopiować w skali nowoczesnego państwa, to można jednak /wciąż mówię o b e z p o s r e d n i e j d e m o k r a c j i / w skali mniejszej ludnościowo i terytorialnie /na przykład - samorząd terenowy/ lub zawodowej /samorządność robotnicza czy pracownicza, demokracja bezpośrednia w zakładzie pracy lub w niewielkim środowisku społecznym/.

Porzucmy tymczasem starożytność, by poświęcić kilka zdań państwowościom średniowiecza. Geneza państwa wieków średnich była niejako potrójna: barbarzyńska /germańska przede wszystkim/, rzymska i chrześcijańska. Stąd we wczesnym średniowieczu była to monarchia kierowana przez Pomazańców Bożych, reprezentantów Boga na ziemi, monarchia autorytarna, a nawet surowa i zarazem opiekuńcza, oparta na obowiązku i odpowiedzialności przed ludźmi i zwłaszcza przed Bogiem elity-rycerstwa, monarchia ściśle hierarchiczna na wzór i Rzymu cesarskiego, i Kościoła, w którym z uwagi na jego Twórcę, genezę, charakter i cel, nie było - i nie ma - miejsca na wątek "obywatelski", na "demokrację" czy samorządność "z tego świata" /choć przecież wybory w Kościele się odbywały i w średniowieczu nadano im pewne reguły: wybór papieża wymagał 2/3 głosów zgromadzonych na konklawe/. Zauważmy też, iż ludzie europejskiego, chrześcijańskiego średniowiecza uważali, iż państwo monarchiczne z Bożej łaski przygotowuje i ma za zadanie między innymi przygotowywać do życia w innym zgoła królestwie i w bardzo bliskiej perspektywie - tak myślano zwłaszcza przed symbolicznym rokiem 1000, rokiem końca świata.

Państwowości średniowieczne wyrażały się niejednokrotnie - mimo admonicji Kościoła - w dalekie od ideału opiekuństwa, okrutne tyranie. Zastanawiał się nad tym Kościół, formułując wraz ze świeckimi myślicielami politycznymi zasadę nazywaną **prawem oporu**, czyli prawem zwalczania długotrwałej tyranii. Jeśli o tym prawie mówił św. Tomasz z Akwinu, to - choć tak tego przecież nie formułował - miał na względzie nie tylko uzasadnienia religijne, nie tylko podstawowe pryncypia moralności chrześcijańskiej, lecz również pewną wizję prawa **ludności**, lub lepiej **ludu**, do regulowania spraw państwa jako **dobra wspólnego**. Nie było jeszcze w użyciu słowo "obywatel", lecz idea sprawiedliwej walki przeciwko tyranii pośrednio prawa polityczne ludzi potwierdzała.

Pod koniec średniowiecza idea instytucjonalnego wpływu podzielonego na stany społeczeństwa na władzę wykonawczą i na osobę monarchy zyskiwała stopniowo na znaczeniu. Każda zorganizowana grupa społeczna, żyjąca swoim życiem i przez siebie ustalonymi normami prawnymi i obyczajowymi, miała jakieś przywileje, a co najmniej uprawnienia wobec władzy państwowej i króla. Znamienne, że dotyczyło to tylko Europy zachodniej w jej szerokich granicach /obecna Europa północna, zachodnia i środkowa/. W średniowiecznym państwie moskiewskim stanów nie było, a wielki książę był udzielnym i nie kontrolowanym władcą nad ludem-magmą.

Zgromadzenia stanowe oraz wyraźniej przypominać zaczęły, pod koniec średniowiecza i na początku epoki nowożytnej, parlament. Ograniczały bardzo, jak w Aragonii czy Katalonii, władzę monarchszą. Można powiedzieć, że większość stanów /może poza chłopstwem/ stanowić zaczęła kategorię "poddanych aktywnych" lub "prawie obywateli". Najczęściej **dominującym stanem** była szlachta, ciesząca się najbogatszymi i najszerszymi przywilejami. W XVI i XVII wieku /w Anglii nawet wcześniej/, a już zupełnie wyraźnie w XVIII stuleciu, czy to na drodze pokojowej ekspansji przywilejów i praw jednostki /indywidualnych, cywilnych i politycznych/, czy to na drodze krwawych rewolucji /Niderlandy, Anglia/, tworzyły się podstawy parlamentarnych ustrojów państwowych o różnych cechach, ale jednym przymiotem wspólnym: istnieniu kategorii ludzi wolnych i zarazem politycznie aktywnych, a więc kategorii obywateli, od których zależy państwo i którzy nie są już tylko państwa sługami i poddanymi. Tak było w Anglii /później już Wielkiej Brytanii/, w Holandii, Szwecji, w niektórych państwach włoskich, w Szwajcarii.

Prawda, że jednocześnie - zwłaszcza w XVII i XVIII wieku - rozkwitał absolutyzm, ewoluujący ku absolutyzmowi oświeconemu w XVIII stuleciu. Trzeba jednak pamiętać, że - bez jakiegokolwiek pochwaly systemu absolutnej monarchii - był to jednak system państwa-prawa, zdecydowanie różny od dawnych despotii. Król stanowił prawa, był ich źródłem, ale był też im posłuszny. Rosnący aparat państwowy składał się już nie tylko ze szlachty, lecz również z mieszczaństwa. Państwowa biurokracja stawała się coraz bardziej autonomiczną siłą po-

lityczną, jednakże przywileje stanowe /wraz ze zgromadzeniami/
nigdy całkiem nie znikły.

• • •

Pod koniec XVIII stulecia, ale jeszcze przed Rewolucją Francuską, padło otwarcie słowo o b y w a t e l. Stało się to za Atlantyką, w tworzących się w ciężkiej walce Stanach Zjednoczonych Ameryki, a ucieleśniło w ich konstytucji z 1787 roku. To ta właśnie konstytucja mówi o prawach obywateli dobitniej może niż pierwsze akty Rewolucji Francuskiej. Więcej, Francuzi przekształcili swe już istniejące państwo, a wyzwalający się Amerykanie tworzyli państwo nowe, od urodzenia demokratyczne, tworzone przez obywateli "od dołu". Nie dziwi więc, że pierwsze słowa konstytucji USA głoszą: "My, naród Stanów Zjednoczonych...". Naród powołał do życia swe państwo, organizację "społeczeństwa obywatelskiego".

Rozpoczęty na dobre w latach 1789-1849 /choć przecież, jak widzieliśmy, narodził się wcześniej/ proces "uobywatelniania" społeczeństw wiąże się ściśle z wielkim pchnięciem, jakie dała Rewolucja Francuska wraz z jej "przedłużeniami", aż po europejską rewolucję Wiosny Ludów /1848-1849, a nawet 1846-1849/. "Prawa człowieka i obywatela" robić zaczynają trudny Tour Europe. Trudny, bo przerywany okresami cofnięć i reakcji, trudny, bo krwawy, trudny, bo z liberalizmem, republikanizmem i demokratyzmem długo, bo aż po schyłek XIX wieku, nie chciał się pogodzić Kościół rzymskokatolicki, długo wierny feudalnej stanowości, korporacjonizmowi, współpracy pracy i kapitału pod egidą kapitału.

Wydawałoby się, że po zwycięstwie idei uobywatelniania społeczeństwa /pamiętajmy, że do początków XX wieku tylko społeczeństwa męskiego/ oraz uspołecznienia państwa, Europa, a później i świat, cały pójdzie w kierunku przewagi "człowieka i obywatela" nad aparatem państwa i wolą dyktatorskiej jednostki. Czas pokazał, że tak się nie stało. Więcej nawet. Od przełomu XIX i XX stulecia, a zwłaszcza od połowy XX wieku, wzrasta rola aparatu państwa. Na miejsce liberalnej demokracji przychodzić zaczynają ustroje skrajnie etatystyczne, populistyczne i autorytarne, wreszcie totalitarne w ich dwóch głównych wariantach: faszystowskim i komunistycznym, a więc - nacjonalistycznym i "klasowym". Powoli, ale dość konsekwentnie /również po II wojnie światowej w Trzecim Świecie/, narastała i narasta "religia państwowa", rozwinięty "kult państwa" jako instytucji nadrzędnej, panującej nad społeczeństwem. Obywatel coraz mniej jest obywatelem, coraz bardziej zaś poddanym lub wręcz niewolnikiem. Koło zaczęło się zamykać: od niewolnika doszliśmy do obywatela i z powrotem do obywatela powróciliśmy do niewolnika. Totalitarne ideologie pragną kształtować społeczeństwa podporządkowane, zależne, zatอมizowane, kontrolowane, tzw. masowe. Ich członkowie nie wspierają po obywatelsku swojego państwa, lecz służą mu, nawet wbrew swojej woli, służą etatystycznemu molochowi, biurokratycznej machinie, anonimowej władzy, lub władzy spersonifikowanej. Wierność wodzowi, to wierność państwu, jego interesom formułowanym arbitralnie poza społeczeństwem.

czeństwem; to stałe ograniczanie wolności i autonomiczności obywatelskiej, a zwłazsza praw obywatelskich na rzecz coraz liczniejszych obowiązków.

Ktoś może powiedzieć, że przesadzam, zapewne gwoli dyskusji, że wszak nadal wyliczyć można państwa liberalne i opiekuńcze, w których pielęgnuje się prawa człowieka i obywatela, że przecież prawie o niczym więcej, jak o tych prawach, trąbią ostatnio parlamenty i agendy ONZ, apelują kościoły i intelektualiści. A jednak! Sprawa praw obywatelskich dotyczy wciąż znacznej większości państw świata. Woiaż ludziom, zwanym dumnie obywatelami, brak jest wolności. Niekiedy wolnością nazywa się zniewolenie, przestępstwo i kłamstwo. Nie przypadkiem wstępująca na szafot w dobie terroru rewolucyjnego we Francji pani Roland, jakby zapowiadając przyszłość, wykrzyknęła: "Wolności, ileż zbrodni popełnia się w twoim imieniu".

Nie lękając się terroru i śmierci wciąż pojawiają się nowi obrońcy praw i swobód obywatelskich, upowszechniają się nawet instytucje rzeczników tych praw.



Na tym ogólnie zarysowanym tle powszechnodziejowym, czas przejść do naszych spraw, do rozważań o polskich państwowościach i o polskich obywatelach.

W dziejach naszego kraju nie było jednej epoki, "państwa dominującego" nad człowiekiem i drugiej - "państwa służebnego" wobec człowieka. Te dwa typy państwowości w swoisty sposób przeplatały się ze sobą w toku polskiej historii.

Państwo wczesnośredniowieczne należało w Polsce do kategorii silnych, jedynowładczych, paternalistycznych /choć rola wieców nie należała do błahych/. Pod koniec-wieków średnich sytuacja dość szybko się zmienia, władza zaczyna słabnąć, a rosną przywileje rycerstwa-szlachty i uprawnienia innych stanów /monarchia stanowa/. Widoczne to było doskonale w czasach Kazimierza Wielkiego, Jagiełły czy Kazimierza Jagiellończyka.

Od połowy XV wieku datuje się okres demokracji szlacheckiej, a więc niezbyt dobry czas znacznej przewagi obywatela-szlachcica nad aparatem państwa, nawet więcej, nad samą instytucją państwa. Można powiedzieć, że nie wiem czego chcę, czy uspołecznionego państwa /a wtedy powinienem tylko chwalić ustrój szlacheckiej demokracji/, czy też silnego aparatu panującego nad obywatelami /wtedy wypadłoby ustrój Rzeczypospolitej raczej ganić/. Otóż najsilniejsze i najsprawiedliwsze jest państwo wtedy, kiedy w nim panuje równowaga i króluje harmonia między czynnikami społecznym, a elitarnym czynnikiem decyzyjnym /organizacja, przymus, władza wykonawcza/.

W pierwszym okresie szlacheckiej Rzeczypospolitej /od połowy XV wieku po prawie połowę XVII stulecia/ panowała sytuacja bliska równowadze, choć już czynnik parlamentarny /poś-

rednio społeczny/ wyraźnie przeważał, co dawało pierwsze gorzkie owoce jednonastanowego egoizmu: słabość skarbu /niechęć reprezentantów narodu szlacheckiego do opłacania podatków/, trudności w utrzymywaniu silnej armii /brak funduszy/, ale też lek przed preponderancją zawodowego wojska, które mogłoby w soju- przed z królem dążyć do absolutum dominium czyli władzy absolutnej/, słabość zawodowego aparatu urzędniczego i administracyjnego. Polski, "obywatelski" do krańcowości, parlamentaryzm szlachecki głosił wspaniałe hasła, takie jak "nic o nas bez nas", jak stała kontrola egzekutywy przez przedstawicieli społeczeństwa, tezę o tym, że prawo musi być uchwalone na korzyść społeczeństwa, a nie społeczeństwu narzucone, przekonanie, że jednomyślność jest ważniejsza i silniejsza od podziałów i decyzji podejmowanych większością głosów. Te piękne zasady rozmieniano na drobne, formalizowano, wreszcie doprowadzono do karykatury, zwłaszcza w okresie od połowy XVII do połowy XVIII stulecia. Nastąpił uwiad władzy wykonawczej, zanik administracji państwowej, osłabienie armii, zmniejszenie aktywności polityki zagranicznej. Liberum Veto, wykorzystywane przez obce państwa, zwłaszcza ościenne, drażyło jak rak organizm Rzeczypospolitej /choć i dziś - jak to wykazała dyskusja po odczycie profesora Zbigniewa Wójcika w Archikonfraterni Literackiej w kościele św. Aleksandra - nie braknie w Polsce zagorzałych obrońców instytucji Liberum Veto/. Można powiedzieć, że "ładmiar obywatelstwa" w państwie przyczynił się do upadku zarówno państwa, jak i - w konsekwencji - praw obywatelskich. A pamiętajmy, że ekskluzywizm szlachecki, niechęć dobrze urodzonych wobec mieszozanstwa i chłopów, też osłabiał i państwo i społeczeństwo, odsuwał w dalszą przyszłość powstawanie wielostanowej i wielowarstwowej wspólnoty narodowej nowoczesnego typu.



W zarysowanej tu syntezie można by się dopatrzeć przeczer- niania obraz wolnościowego i parlamentarnego państwa polskiego XV-XVIII wieku. Nie miałem bynajmniej takich intencji. Uważam, że możemy być dumni z tego, że nasi przodkowie bardzo dawno dopracowali się systemu politycznego, opartego na consensu społecznym, zbudowali państwo poddane społecznej kontroli, państwo oparte na fundamentalnych zasadach wolności indywidualnej i zbiorowej, na instytucji obywatela - bazy państwowości jako wspólnego dobra. Ale pochwała pryncypiów i dobrych początków nie może być jedyną reakcją na wadliwą i zwichniętą praktykę polityczną, na model obywatelstwa z prawami, a bez odpowiedzialności i obowiązków, bez politycznej i geopolitycznej wyobraźni.

Jedno jeszcze można powiedzieć z dumą. Ten zdegenerowany w połowie XVIII wieku polski system polityczny rozbuchanej i nadużywanej wolności potrafił się zreformować, ba - o n b y ł r e f o r m o w a l n y i ta cecha została wykorzystana. Zbyt późno i na krótko, wskutek presji potężnych sąsiadów, ale jednak wykorzystana dla dobra społeczeństwa i przyszłego odrodzenia narodu. Mam oczywiście na myśli wielkie dzieło reformatorów i patriotów polskich schyłku XVIII wieku, uwiecznione uch-

waleniem Konstytucji 3 Maja, czyli budową - jedną z pierwszych w Europie - ustroju demokracji parlamentarnej w ramach silnego i rządowego państwa. Konstytucja, a później republikańskie de facto doświadczenia Insurekcji 1794 roku, to ważne testamenty polityczne na drugą niewolę, testamenty światłej myśli obywatelskiej.

Cząstkowe państwowości polskie /Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe/ już w prawie konstytucyjnym rozszerzały społeczny zakres pojęcia "obywatel". I w autorytarnym Księstwie, i w liberalnym Królestwie zaprowadzono równość wobec prawa, zaś prawa polityczne, wraz z prawem wyborczości do sejmu, oferowano nie tylko szlachcie, choć zachowała ona nadal ogromną przewagę instytucjonalną i społeczno-kulturową w państwie, lecz także mieszczaństwu, inteligencji i wojskowemu, a nawet niektórym - prawda, że nielicznym - reprezentantom chłopstwa.

Od Konstytucji 3 Maja, poprzez konstytucje Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, wiedzie tradycja państwa liberalnego, a zarazem rządowego, dążącego do równowagi czynnika państwowego /władza/ i obywatelskiego /społeczeństwo/. Lecz w okresie bezpaństwowym, w praktyce w II połowie XIX wieku i na początku XX stulecia, obywatelem w rozumieniu świadomego Polaka był ten, który dążył do niezależności narodu, do odzyskania i odbudowania państwa: konspirator, powstaniec, rewolucjonista, "trzeźwy entuzjasta" pracy organizacyjnej, tajny nauczyciel...

W Odrodzonej Rzeczypospolitej, po ustaleniu granic i obronie niepodległości /1918-1920/, nastąpił krótki okres rządów ultrademokratycznej Konstytucji Marcowej 1921 roku. Zarysowała się wtedy - aż do Przewrotu Majowego - wyraźna przewaga obywatela-wyborcy /zwłaszcza zaś obywatela sejmującego/ nad władzą wykonawczą, nad egzekutywą. Po maju 1926 r. rozpoczęły się rządy autorytarne, w których władza wykonawcza /wraz z kultem państwa i apologią kultury państwowej/ uzyskała z kolei znaczną przewagę nad czynnikiem społecznym. Nie zawsze liczone się z głosem obywateli. Znaczna część dorosłych Polaków, powodowana obywatelską troską, rządy te oceniała krytycznie.

W dobie wojny, w okresie podwójnej okupacji, znakomita większość społeczeństwa - zapatrzona we własne, a zwłaszcza anglosaskie wzorce demokratyczne - pragnęła ustanowienia ustroju demokratyczno-parlamentarnego, lecz - po odpowiednich reformach - "uspołecznionego". Przewagę w społeczeństwie uzyskały tendencje lewicowe i lewicujące. Jednakże opcja komunistyczna lub komunizująca należała nadal do kategorii wyraźnie mniejszościowych. Miała jednak jednoznacznie wyraźne i do tego zbrojne poparcie wkraczającej w 1944 roku do Polski Armii Czerwonej i państwa radzieckiego. Na wolę narodu tworzenia demokratycznego państwa, na niepodległościową i społeczno-demokratyczną rewolucję, której ważnym elementem było Powstanie Warszawskie, nałożył się cień narzuconego przewrotu komunistycznego o nader ograniczonym poparciu społecznym. Społeczeństwo, mimo oporu, zostało wciśnięte już po

paru latach w gorset totalitarnego państwa typu radziecko-stalinowskiego.

Nigdy jednak Polska Ludowa nie stała się zwykłą kalką systemu radzieckiego, nigdy też nie przejęła w całości radzieckiego pojmowania państwa i obywatela. W systemie-wzorcu ZSRR wyetępowano wówczas kilka fundamentalnych cech:

1. Panowała dyktatura jednostki i wszechwładza kierowanego przez nią aparatu, w którym najistotniejszą rolę odgrywały organa przemocy, represji i ścigania.
2. Rządzący posiadali monopol władzy, monopol informacyjny i indoktrynacyjny, monopol siania lęku.
3. Państwo zostało gruntownie odspołecznione, a jego aparat wysoce uprzywilejowany, wyobcowany i wyalienowany.
4. Etytazyacja społeczeństwa polegała na jego atomizacji, a później na wtórnym zjednoczeniu i zintegrowaniu przez państwo w ramach tworzenia "nowego człowieka" i "nowego społeczeństwa".
5. Docelowo, jak to się mówi w żargonie administracyjno-gospodarczym PRL, państwo-partia /bo to jedno/ miało kontrolować wszystkie aspekty życia jednostki i zbiorowości, a więc ubezwłasnowolnić je politycznie, społecznie, kulturowo, moralnie i psychologicznie.

System stalinowski stanowił skrajny przykład reżimu terroru, strachu i zniewolenia. Pojęcie "obywatel", którym wciąż szermowano, stało się całkiem pustym treściowo dźwiękiem.

Opisałem wzorzec "idealny". Opór społeczny w Polsce sprawił, że - na nasze szczęście - nigdy nie osiągnęliśmy "stalinowskiego ideału". A jednak koncepcja państwa autorytarnego z demagogią populistyczno-lewicową, państwa bez rzeczywistych obywateli, państwa, w którym od czasu do czasu występują elementy totalitarnego typu, a kiedy indziej elementy demokratyzujące, lub lepiej cechy oświeconego autorytaryzmu - otóż ta koncepcja w znacznej mierze się przyjęła i została zaakceptowana /mimo wewnętrznego sprzeciwu/ w procesie społecznego przyzwolenia przez znaczną część naszego narodu.

• • •

Na zakończenie niech mi wolno będzie przedstawić kilka uwag o PRL, państwie, którego jesteście obywatelami, a także o postawach obywateli tego państwa.

Polska należy do bloku państw skupionych wokół ZSRR. Już to samo, w połączeniu /a to ważne! / z jego położeniem geopolitycznym i geomilitarnym, sprawia, że pewne trwałe elementy państwowości radzieckiej przeniknęły do naszej państwowości zależnej. Będzie to między innymi:

1. nadrzędność państwa /ideologia/ i aparatu państwowego, zwłaszcza aparatu przemocy i represji /administracja/ nad społeczeństwem, nad obywatelami;

2. rządy jednopartyjne /"partia-państwo"/

3. rola lęku w sterowaniu społeczeństwem;

4. formalizacja sprowadzonego do pozorów życia publicznego i jego "bizantyzm";

5. stały proces indoktrynacji i propagandy w duchu propaństwowym i w duchu tego, co się godzi nazwać "nacjonalizmem zależnym", a więc kierowanym przeciw wyznaczonemu przez państwo-partię przeciwnikowi, w myśl interesów obozu w pierwszej, a Polski dopiero w drugiej kolejności.

Ten system państwowy, jaki wytworzył się w Polsce po II wojnie światowej, odznacza się uporem i zachłannością. I ta zachłanność, w połączeniu z przymusem, daje pewne rezultaty. Propaństwowość autorytarna ogarnia dość spore kręgi społeczne. Wielu odrzuca liberalizm i demokrację, chwali przemoc, poddaje się stereotypowi wroga państwa - obcego agenta. Niektórzy wręcz zaczynają wierzyć w to, co się im codziennie podaje przez środki masowego przekazu do wierzenia, a to z kolei równa się "antypaństwowe" równa się "antynarodowe", a to z kolei równa się "antypolskie". Wychowanie państwowe w PRL zawiera w sobie apologię ludowego Wojska Polskiego oraz Służby Bezpieczeństwa i MO, a zaczyna się to od przedszkola i szkoły podstawowej. Militarizm osłania się ujętą prawie militarnie w a l k a o pokój i koncesjonowanym nacjonalizmem o ostrzu wyłącznie antyzachodniemieckim /jednocześnie wychwala się wszystko, co radzieckie/.

Władza chce sprawiać wrażenie, że ona wszystkim obywatelowi "daje" /pracę, mieszkanie, pensję, premię, nagrodę, rentę, emeryturę, order, wykształcenie/, a więc może też i "odebrać". To ważne. Skoro jest jedna klasa i jeden /chciany czy nie chciany, to obojętne/ opiekun czy mecenas, jeden też wychowawca, to sprzeciw staje się niebezpieczny. Pozostaje lęk, raz mniejszy, raz ogromny i zgoła paraliżujący. Skoro nic nie mogą zrobić, skoro nie mogą przeciwstawić się np. permanentnemu kłamstwu /a środki społecznego przekazu są zmonopolizowane przez państwową "nomenklaturę"/, muszą się przystosować i sprywatyzować /niektórzy dodadzą: wyemigrować/, a co najwyżej - schronić na chwilę do Kościoła.

Można się zastanowić, czy państwo "odobywatelnione" /mimo jego własnej propagandy/, państwo, w którym trzeba się wciąż czegoś bać, jest i może być nasze. A może - tak jak w znacznej mierze, niestety, traktowane mienie państwowe - uznać je trzeba za "niczyje". Oczywiście, że nie. To, co nazywa się państwem, oznacza bardziej aparat i "nomenklaturę", niż prawdziwe państwo. A udział krytyczny społeczeństwa w życiu publicznym czyni je w jakiejś mierze reformowalnym, przynajmniej nieco je uspołecznia.

Odrzucenie modelu państwa radzieckiego przez obywateli państwa polskiego jest oczywiste. I to właśnie - mimo stałe-

go zaleźnienia - to, czyli presja społeczna stara i rewolucyjna /bunty społeczne/, sprawia, że po 1956 roku, po Październiku, nastąpiło relatywne uspołecznienie państwa przez obywateli domagających się swoich, należnych im praw. Maleje zakres społecznych lęków. Jednakże nie brak - jak wiemy - recydyw przemocy, które generują nowe i odradzają stare pokłady lęku /stan wojenny/.

Patrzac z pewnej perspektywy, można śmiało powiedzieć, że nastąpiła w znacznej mierze, z woli obywateli chcących nimi być, destalinizacja państwa, destalinizacja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zrywy 1956, 1968, 1970, 1976 i wreszcie 1980 roku, to wystąpienia - w różnych formach - licznych obywateli, pragnących uspołecznic i unarodowic państwo, sprawic, by było w maksymalnie możliwej proporcji swoje, własne, poddane choćby częściowej, oddolnej kontroli.

Ogromną rolę w tym trudnym i nie doprowadzonym do pełnego sukcesu procesie odegrał Kościół rzymskokatolicki. To w imieniu obywateli i dla nich cierpiał ks. prymas Stefan Wyszyński, to przeciw ateistycznej indoktrynacji /a to jest nie tylko sprawa religijna i moralna, lecz również obywatelska/ konsekwentnie występował i występuje Episkopat i całe polskie duchowieństwo. W ostatnim czasie /ale nie tylko w ostatnich pięciu latach, jakie minęły, ściślej mijają od nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r./, zwłaszcza w ciągu ostatnich pentyfikatów papieża /mam na myśli Jana XXIII, Pawła VI, Jana Pawła I i Jana Pawła II/, problematyka praw człowieka i obywatela, kwestia uspołecznienia państwa i uczynienia go wspólnym dobrem wolnych ludzi animuje Kościół powszechny, wszystkich biskupów, a zwłaszcza biskupów Rzymu. W szczególnie wyraźny sposób widoczne to jest na gruncie polskim. Wystarczy przestudiować homilie Ojca Świętego z pierwszej i drugiej wizyty-pielgrzymki w ojczyźnie, a także postanowienia i komunikaty kolejnych posiedzeń konferencji Episkopatu Polskiego, aby się o tym dowodnie przekonać. Kościół podkreśla w swym nauczaniu społecznym wagę pogłębiania świadomości swych praw, świadomości moralnej i społecznej.

Współcześnie, od czasu gdy "Solidarność" krzewi ideę bycia wolnym obywatelem w niedemokratycznym i autorytarnym państwie, podmiotowość obywatelska stała się faktem oczywistym, ona to - ujawniając się z wielką mocą poza strukturami oficjalnego państwa - wywiera presję społeczną, która sprawia, że państwo musi się przynajmniej liberalizować, skoro głębsza demokratyzacja wydaje się obecnie mało realna. W tej sytuacji dalsze próby "odobywatelnienia" społeczeństwa nie mają większych szans powodzenia, choć będą ponawiane. Narzucony eksperyment budowy polskiego państwa bez obywateli, a z neo-poddanymi, nie powiodł się. Od nas wszystkich zależy, od naszej odwagi, by się nigdy w przyszłości powieść nie mogli.

Tadeusz Łepkowski

Nie jestem przeciwny uczciwym spółkom

Rozmowa z prof. dr. hab. Tadeuszem Łepkowskim

- Według definicji słownikowej kolaboracja jest współpracą z okupantem, głównie z faszystowskimi Niemcami w czasie II wojny i zazwyczaj, jako przykład, podaje się rząd Vichy, albo osobę Quislinga. Natomiast dla Polaków, w potocznym rozumieniu, owo pojęcie kojarzy się z postawą środowisk ugodowych wobec najeźdźców - od Targowicy po czasy współczesne. Jest dla mnie sprawą oczywistą, że państwo niesuwerenne musi wytwarzać różne formy kontaktów z państwem zaborczym czy narzuconą władzą - gdzie jednak zaczyna się kolaboracja?

- Otóż wydaje mi się, że należy odróżnić pojęcie współpracy z wrogiem jako znaczenie pojemniejsze od kolaboracji, które to słowo oznaczało początkowo współpracę /bez pejoratywnego odcienia/, a dopiero w czasie II wojny, właśnie w języku francuskim, zaczęło oznaczać bliską współpracę z okupantami niemieckimi, w szczególnej sytuacji Francji. I do dziś bardziej chyba kojarzy się z reżimem Vichy niż z Norwegią Quislinga.

Natomiast to, o czym pani wspomniała, o myśleniu potocznym, ahistorycznym, to sądzę, że całkiem niesłusznie kolaboracja, według modelu II wojny, aplikowana jest automatycznie do dawnych wieków lub do czasów współczesnych. Uważam, że ten automatyzm nie jest niczym usprawiedliwiony, gdyż nie ma jednej kolaboracji, a zakres pojęcia współpracy z wrogiem lub przeciwnikiem zmienia się w zależności od sytuacji państwa, a często też poziomu świadomości narodowej. Idąc dalej tym tokiem rozumowania: możemy mieć państwo w pełni niepodległe i suwerenne z okrutnym dyktatorskim rządem, rządem tak obrzydliwym, że uczciwy człowiek nie chce z nim współpracować, czy jednak kogoś, kto współpracuje z "narodową dyktaturą" można nazwać kolaborantem? To jest dyskusyjne.

- Zatem chciałby Pan Profesor, aby w tym przypadku mówić elegancko o środowiskach prorządowych i opozycyjnych?

- Tak. Bo w innej sytuacji jest kraj będący rodzajem protektoratu, gdzie władza ma pewien margines swobody wewnętrznej.

nej, może niezbyt wielkiej, ale widocznej. A jest to także zupełnie inna sytuacja od modelu trzeciego, w którym kraj okupowany jest na zasadzie zdobyczy wojennej /a nie sfery wpływów/ i margines swobód jest minimalny. To jest właśnie przypadek Vichy i współpracę z władzą pozornie własną, a faktycznie wypełniającą instrukcje okupanta, nazwałbym "kolaboracją klasyczną".

- Ten przykład jest jednoznaczny, ale czy tak bardzo różni się od niego drugi z przedstawionych przez Pana Profesora modeli? Margines swobód władz miejscowych jest o prawdę większy, ale jak we wszystkich państwach uzależnionych ograniczenia władzy w imię cudzych interesów dotyczą spraw dla kraju najważniejszych. Przy pozorach suwerenności podejmuje się decyzje niekorzystne dla państwa, usprawiedliwiając je - co znamy z własnych doświadczeń - rozsądkiem czy realizmem politycznym. A w ten sposób łatwiej rządzić i łatwiej zyskać sojuszników.

- A więc rozważmy zależności między rozsądkiem politycznym, społecznym lękiem i kolaboracją. Motywacje do współpracy z niechcianą władzą mogą być różne - od materialnej przez ideową, do - nazwijmy to - pozytywistycznej. W myśl której substancja narodowa musi przetrwać czasy najtrudniejsze i aby to umożliwić, trzeba się - chwilowo i na pewnych warunkach - przystosować do istniejących realiów.

- Bodaj taka była motywacja postawy Aleksandra Wielopolskiego.

- Oczywiście. Na pewno w przypadku margrabiego nie wchodziła w grę motywacja materialna, natomiast, jak to się często zdarzało i w czasach zaborów i później, pojawiało się przekonanie o niepotrzebnym rozlewie krwi, a skoro dylemat: walczyć czy żyć rozstrzygano na korzyść drugiej opcji, musiało się pojawić pytanie - jak przeżyć? W konsekwencji dochodziło nie tylko do lojalnej, lecz nawet gorliwej współpracy z władzą, przy czym mogła się ona rodzić ze szlacheckich, pozytywistycznych pobudek i dążeń do ochrony substancji i kultury narodowej. I dlatego wahałbym się przed ocenami jednoznacznymi, dychotomicznym podziałem na postawy jednoznacznie dobre i złe. To tylko niezawodowy historyk ma skłonność do szybkich generalizacji.

- Słowem, można zrozumieć tezę margrabiego, w myśl której "dla Polaków można coś zrobić, z Polakami nigdy", a także zaakceptować adres do cara? Rzecz w tym, że car nie widział potrzeby kompromisu z Polakami. Abstrahując od tego, czy uważamy powstania za słuszne, czy nie, trafia mi do przekonania teza Jerzego Borejszy, który w "Dylemacie Aleksandra Wielopolskiego" pisał: "rzadkie próby kompromisu narodu z władzą, powstrzymywanie się od powstań i starć zbrojnych, okazały się mało owocne dla społeczeństwa polskiego".

- Być sercem po którejś ze stron, to zupełnie coś innego, niż rozumieć inną politykę lub postawy odmienne od naszych.

Jak pani wie, moja opinia - emocjonalnie /ale i rozumowo! - nie różni się od zdania przez panią wyrażonego. Zgadzam się, że bez powstań, bez "totalnej irredenty", naród polski nie zachowałby tożsamości, ale trzeba zdawać sobie sprawę, że wpływ na losy narodu miała i druga strona, a także trzeba uwzględnić, że ludźmi powodują różne motywacje, nie zawsze niskie i cyniczne. Przez ponad 200 lat cechowała wielu świadomych Polaków postawa rewolucyjna, natomiast nigdy nie jest tak, że sto procent racji ma tylko jedna strona... Widzi pani, w naszej historii mówi się tak mało o motywacjach postaw innych niż sensu stricte rewolucyjne, np. o motywacji lękowej - zupełnie odmiennej ilościowo niż materialna, ofiarńcza czy ambicjonalna. A bardzo ludzkiej.

- Ta wydaje się Panu szlachetniejsza?

- Nie, ale nie lubię łatwego potępiania słabości. Pisałem już o motywacji pokolenia 1815-1830, na które cieniem kładła się klęska 1812 roku. Otóż my ciągle nie możemy zrozumieć, dlaczego generałowie w 1831 roku zachowali się tak nieudolnie, choć były pewne szanse na wygranie Powstania. Tymczasem oni uważali pokonanie Rosji za całkowicie nierealne przedsięwzięcie, skoro nie pokonał jej taki tytan, jak Napoleon. Wyobrażenia podpowiadała im przegrana, gdyż w 1812 roku przeżyli paraliżujący wstrząs. I jeśli nawet z perspektywy historii możemy wskazać ich błędy, to czy możemy ich wszystkich oskarżać?

- W pewnym sensie tak. Ponieważ, jak sądzę, nasze losy, jako państwa i narodu - potoczyłyby się inaczej, gdyby tak wielka część społeczeństwa nie poddała się silniejszemu protektorowi /zgodnie z Pana supozycją, nie używam określenia - kolaborowała/. Panie Profesorze, likwidacja tytułu państwa polskiego, u schyłku XVIII wieku odbyła się nie bez podziału Polaków i nie bez przyczyn. Targowica stała się symbolem zdrady, a przecież w owych czasach, w Petersburgu nie było jedności w sprawie interwencji, skoro ścierały się frakcje Zubowa i Bezborodki. To Polacy pomogli podjąć decyzję. W 1831 roku, jak pisał Jerzy Łojek, zgubił nas "mit solidarności narodowej", naiwna wiara we wspólnotę celu, podczas gdy interesy różnych grup społecznych były odmienne i dla wielu spośród nich powrót do sytuacji status quo ante był celem rzeczywistym. Dla mnie zawsze niezwykle przejmująca była opinia W. Ka. Konstantego, który skomentował wybuch Powstania słowami: "Polacy tę sprawę zaczęli, niech ją sami rozstrzygną między sobą". Oczywiście, mam świadomość, że kierują mną emocje i a-histeryczne przybliżenie tamtych lat do czasów nam najbliższych, niemniej wydaje mi się, że coś w tym jest, że rację miał Łojek, pisząc, iż "konieczne wydaje się stworzenie pojęcia polskiego ruchu antyniepodległościowego w XIX wieku", a pewno dotyczy to także wieku XX.

Ale wróćmy do historii. Kolejne Powstanie 1863 - jak powiedzielibyśmy dziś - o frekwencji większej niż up-

rzednie, przecież było także po części zaprzędane. Polacy w służbie namiestnika Bęrga byli, jak pisał prof. Stefan Kieniewicz, chwaleni przezeń za "lojalizm, uczciwość i wydajność pracy"... Generalnie idzie mi o to, że popularny obraz historii Polski, to wizja bohatera, pozbawiona kolaborantów, tchórzów /poza niechlubnymi wyjątkami/, ludzi wygodnie urządzonych, albo najzupełniej obojętnych na losy Polski. A to nieprawda.

- Tak, to racja, choć pani wywody wydają mi się nazbyt skrajne. Nieporozumienie polega na tym, że my utożsamiamy cały naród z narodem politycznym, który w XIX wieku stanowił mniejszość. W narodzie politycznym nie wypadało odmówić ofiary krwi, nawet jeśli Powstanie nie przekonywało do końca. Natomiast przeciwników insurekcyjnego czynu było wielu. Należeli do nich ci, którzy własny interes wiązali z istniejącą wcześniej sytuacją i ci, którzy żyli w lęku przed ryzykiem, a także ci, którzy nie rozumieli sensu powstań, bo np. w społeczeństwie chłopskim nie istniało pojęcie patriotyzmu ofiary. Zresztą, niech pani zwróci uwagę na status armii, pierwszą ochotniczą insurekcją narodową było Powstanie Styczniowe, wcześniej były to armie z poboru.

- A Insurekcja Kościuszkowska?

- Ciężar walki nosiła wtedy armia regularna. Więcej przykładów ochotniczych przyniesie dopiero XX wiek - choćby Powstanie Śląskie czy Powstanie Warszawskie. W XIX wieku było inaczej i należy o tym pamiętać. Chciałbym jedno mocno podkreślić: historia Polski jest wyjątkowo trudna, jeśli zatem w minimalnym nawet zakresie próbuje się, czy próbowało, utrzymać i wzbogacić polskość, to taki fakt należy docenić. Gdybyśmy tego nie uczynili, to nie moglibyśmy zrozumieć sytuacji z lat 1815-1830, kiedy Królestwo Polskie przy całym instytucjonalnym związku z caratem było jednak państwem polskim. I nikt - nawet Belwederczycy - nie uważał, że w sejmie i rządzie Królestwa zasiadali wyłącznie źli Polacy i wredni kolaboranci. Powiem pani więcej, Belwederczycy mogli zabić W. Ks. Konstantego, ale nie zrobili tego, gdyż był uważany za nie całkiem Rosjanina, był wodzem armii polskiej, deputowanym do polskiego sejmku, naucek się polskiego..., to zmieniało optykę. I dlatego przestrzegam przed łatwymi porównaniami, gdyż sądzę, że typ państwa, ustroju, określona sytuacja polityczna, w znacznym stopniu moderują zachowania i postawy, nastawienie wobec poszczególnych osób. Przy tym charakterystyczne jest, że o ile łagodniejemy w ocenach przeszłości, o tyle jesteśmy znacznie mniej skłonni do okazania tolerancji wobec bliskiej przeszłości.

- Bo kolejne wydarzenia przedawniają historię i łagodzą emocje.

- A ja chciałbym historycznie usprawiedliwić tych, którzy współpracują lojalnie z niechcianą władzą. Ta postawa ma swoje uzasadnienie w przeszłości właśnie.

- Szalenie ryzykowna teza, która w gruncie rzeczy ułatwia racjonalizację postaw lojalistycznych. Proszę mi powiedzieć na przykład, jak ocenia Pan Profesor stosunek Polaków do władzy po II wojnie? Tak zwane wyzwolenie nie spełniło oczekiwań.

- I marzeń społecznych o nowym systemie wewnątrzustrojowym, o demokracji łączącej elementy ustroju orientacji brytyjskiej i socjalistycznej w wersji PPS. Nowa władza w okresie zdobywania swoich pozycji miała poparcie zdecydowanej mniejszości społeczeństwa...

- Nie mówiąc o tym, że w wyniku wygranej wojny Polska utraciła 40 procent swojego terytorium...

- To prawda, że niewiele państw tzw. alianckich straciło terytorialnie po wygranej wojnie. Podobny los, o czym rzadko się pamięta, dotknął w mniejszym zakresie /ale jednak!/ Czechosłowację, która utraciła Ruś Zakarpacką. To wszystko powodowało, iż nowa władza była niechciana, lub nie w pełni chciana, a zarazem powstała kwestia, jak się do niej ustosunkować - bo jak powiedzieliśmy wcześniej - nawet zła opinia o władzy nie przesądza autorytatywnie o postawie wobec niej, choć w tym przypadku wiele dzieliło obie strony.

- Były jeszcze zaszkłości, tyżące zaboru ziem wschodnich przez ZSRR we wrześniu 1939 roku. Panie Profesorze, komuniści zaakceptowali aneksję kresów wschodnich przez ZSRR w 1939 roku. Putrament w książce "Pół wieku" wręcz pisze o radości z "przeniesienia do wybranego ustroju". Czy Pana zdaniem takie zachowanie można traktować jako kolaborację?

- Tak. Ponieważ komuniści nie dopełnili obowiązku lojalności wobec państwa, gdy dokonał się jego zabór w niewypowiedzianej wojnie. Oni byli obywatelami państwa polskiego i jakkolwiek mogli być w ostrej opozycji wobec władzy, to nikt nie zwolnił ich z obowiązku lojalności wobec Polski, a temu się sprzeniewierzyli. Zresztą na kresach wschodnich rozgrywało się w tym czasie mnóstwo spraw, ujawniało się wiele postaw, a ówczesne zachowania rzutowały na późniejsze losy Polaków. Na przykład nie jest tajemnicą, że znaczna część inteligencji nawet jeśli nie współpracowała, to była lojalna wobec narzuconej władzy radzieckiej. Inną ważną kwestią była postawa ludności żydowskiej, której znaczna część witała z radością wejście Armii Czerwonej. Mówi się o tym mało, a przecież ów przyjazny stosunek do Rosji istotnie rzutował na kontakty Polaków z Żydami w latach 1942-44. Nieodosobnione było wówczas myślenie w kategoriach - nie jesteśmy do niego zobowiązani, gdyż Żydzi zachowali się nielojalnie wobec Polski i Polaków w 1939 roku. Zdradzili ojczyznę.

Pytała pani o moją ocenę stosunku Polaków do władzy w okresie powojennym. Otóż skrajne ujęcie powiada, że rok 1939 i 1945 to było właściwie to samo. Moim zdaniem jednak różnie

są zbyt wielkie, aby utożsamiać sytuację Polski i Polaków w tych okresach, a zatem i postaw ludzi nie można oceniać w podobnej perspektywie. Jak większość państw w świecie podzielonym na strefy wpływów wielkich mocarstw nie jesteśmy w pełni suwerenni, ale istnieje państwo polskie, polska władza /nawet jeśli niezupełnie akceptowana, to jednak polska/, polskie szkoły, administracja itp. I niewątpliwie możliwości Polaków są nieporównanie większe niż np. po 1863 roku. Natomiast znacznie mniejsze niż w okresie II Rzeczypospolitej. Tyle, że musimy sobie zdawać sprawę z tego, co w dzisiejszym systemie światowych podziałów jest możliwe do osiągnięcia i walczyć o powiększenie marginesu swobód.

A ta walka w różnych etapach powojennych wyglądała odmiennie i różne były motywacje postaw wobec nowej i niechcianej władzy. Powrócę tu znów do motywacji lękowej. Otóż to, co działo się na kresach wschodnich w latach 1939-41, mogło te stany wyzwalać. Siła Armii Czerwonej, niedocenionej w Polsce po 1920 roku, okazała się wielka w walce z Niemcami. Potem był okres stalinowskiego terrorku w latach 1944-55. Równocześnie niechęci, lękom, rozczarowaniu, towarzyszyła świadomość, że mamy własne państwo, nie takie, jakie chcielibyśmy mieć, ale jednak państwo, w którym można żyć, posyłać dzieci do polskiej szkoły itp. I podkreślam - nie myślę o rozgrzeszaniu takiej postawy, ale o konieczności zrozumienia tych, którzy wzięli się do odbudowy, do organizacji życia w kraju, wiedząc, że nie będzie ono zupełnie takie, jak chcielibyśmy by było. I proszę zwrócić uwagę, że część ludzi, którzy do pewnego momentu lojalnie czy nawet gorliwie współpracowali z władzą, zbuntowała się w 1956 roku.

- I łatwo przyjęła do wiadomości rok 1957, a był to czas o wiele mniej lękogenny niż lata czterdzieste. I podobnie stało się w 1982 roku.

- Tak. I tu nie byłbym skłonny do łatwych usprawiedliwień wobec postawy lęków nieracjonalnych, działania wbrew sobie, wbrew wewnętrznym przekonaniom i zadawania się konstatacją, że i tak sytuacja jest lepsza niż w latach czterdziestych, 56 czy siedemdziesiątych. Chyba Andrzej Kijowski powiedział kiedyś, że choć wiadomo, iż obecnie nie osiągniemy całej wolności, to idzie o to, aby za okrucy nie oddawać reszty. A ci, którzy mówią "bywało gorzej", lub "musimy się zadowolić tym, co jest" właśnie oddają margines swobód za okrucy. I tę postawę, uprawianą aktywnie przez część społeczeństwa, nazwałbym "kolaboracją niedozwolona moralnie". Bo rzecz nie polega na tym, aby nienawidzić, bo to stan zaślepienia, ani też na tym, aby biernie przystosować się do sytuacji niechcianych, ale by zachowywać się uczciwie, by być nieustępliwym w ramach uczciwości. Tymczasem dość częstą postawą jest moralne przyzwolenie, przystosowanie się do sytuacji, co nie oznacza bezpośredniej współpracy z żadną formą władzy, ale daje jej placet na dowolność działań.

- Postawa przyzwolenia wydaje mi się znacznie bardziej niebezpieczna od jawnej, lojalnej współpracy. Po pierwsze

daje ona miłe, choć zgoła fałszywe poczucie zachowania "czystych rąk", po wtóre - legitymizuje niechcianą władzę. W tym znaczeniu deklaracja "kto nie jest przeciw nam, jest z nami" ma sens.

- Oczywiście, że tak, ale z pewnym zastrzeżeniem. Otóż żadna władza nie mogłaby istnieć, gdyby nie autentyczne poparcie jakiejś części społeczeństwa. O tym nie należy zapominać. Zresztą nawet w państwach zależnych władza może mieć duży margines przyzwolenia. I np. nie ulega wątpliwości, że w 1956 roku Gomułka miał za sobą zdecydowaną większość społeczeństwa, a także Gierk /do 1975 roku/ cieszył się, mniejszą co prawda niż Gomułka, ale autentyczną popularnością.

Natomiast jeśli idzie o przyzwolenie w tym znaczeniu, w jakim pani o nim mówiła, jest ono równie groźne jak nienawiść. I równie nietwórcze. Dlatego sądzę, że jawna współpraca może przynieść więcej dobrego, przy założeniu, że w tym gronie są ludzie kierujący się czystymi motywacjami pozytywistycznymi. A tacy bez wątpienia zdarzają się. Pozytywistyczny typ rozumowania niewątpliwie utrwala pogląd o konieczności zależności państwa, ale z drugiej strony wzmacnia jakąś formę państwa polskiego i w pewien sposób utrudnia projektom, zaborcom czy właścicielom strefy wpływów ich zamierzenia.

- Istnieje Panie Profesorze również taka teza, że i obcym namiestnikom zdarzało się poszerzać zakres autonomii Polski - przykładem W. Ks. Konstanty - z uwagi na własny interes rządu w sposób choć trochę niezależny od zwierzchniego mocarstwa. I w ten sposób opóźniali proces inkorporacyjny.

- Widzi pani, w historii nigdy nic nie wiadomo i nigdy nie wiemy, jakie dzisiejsze posunięcia przyniosą kiedyś korzyści. Na przykład lojalista czy tzw. pozytywista mówił, że trzeba było przetrzymać Katarzynę II, a teraz przetrzymać, aby dożyć I sekretarza lepszego niż poprzedni. Oczywiście te argumenty łatwiej wysuwać ex post, niemniej byłbym przeciwny odsadzaniu tych ludzi od czci i wiary, a także szermowaniu jednostronną opinią, że ich postawa przyniosła i przynosi wyłącznie zło. Dlatego choć sercem i rozumem jestem po stronie obozu walki, to jako historyk nie mogę być przeciwny wszelkim "spółkom", pod warunkiem, że są one uczciwe.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Ewa Szeplińska

Przekonają mnie tylko fakty...

Advocatus diaboli

z JERZYM SURDYKOWSKIM, publicystą,
rozmawia Stanisław Mieńkowski

- Zwracam się do Pana jako przedstawiciela opozycji...

- Przepraszam: opozycji tak, przedstawiciela - nie. Jestem w opozycji, bo nie akceptuję kursu politycznego zaincjowanego 13 grudnia 1981 roku. Zresztą dzisiejsza polska opozycja to szerokie pojęcie, w którym mieszczą się bardzo zróżnicowane nurty i zaangażowania ideowe. Nie reprezentuję żadnego z nich, tym bardziej, że nikt mi do takiej reprezentacji nie udzielał mandatu. Reprezentuję tylko siebie, swoje poglądy i swoją pisarską twórczość; za to też tylko gotów jestem ponieść odpowiedzialność.

- Jaki jest więc Pana pogląd na ostatnią amnestię?

- Odważny, mądry krok we właściwym kierunku po właściwej drodze. Ale tylko pierwszy krok.

- Czyż nie zmienił on bardzo wiele w krajobrazie politycznym kraju?

- Sporo, ale trudno spodziewać się politycznego cudu przy nagromadzeniu wzajemnych żali i urazów, przy wciąż zablokowanych nadziejach na od dawna niezbędne reformy, a zwłaszcza przy zablokowaniu możliwości publicznego wyrażania poglądów zbyt różnych od oficjalnych. Polska bez krak dla inaczej myślących, to dopiero punkt wyjścia dla procesu demokratyzacji i poszerzenia swobód obywatelskich, co stopniowo tworzyłoby warunki dla czynnego włączania się w życie publiczne ludzi i grup o różnych poglądach odzwierciedlających faktyczny pluralizm polskiego społeczeństwa, dla jawnego prezentowania różnych koncepcji i rozwiązań konstruktywnych, sporu pomiędzy ich zwolennikami, negocjowania i zawierania kompromisów, wy-

x/ Na fali tzw. "odwilży" po 11 września ub.r. PRON-owski tygodnik "odrodzenie" zwrócił się do kilku osób znanych ze swego krytycznego stanowiska wobec władzy z prośbą o udzielenie wywiadu. Wśród nich znaleźli się m.in. prezes SDP Stefan Bratkowski i wiceprezes Jerzy Surdykowski, obaj zresztą wcześniej niejednokrotnie opływani przez oficjalne środki masowego przekazu. W rezultacie Bratkowski nie zdecydował się na publikację swego wywiadu, zaś publikowany tu przez nas wywiad Surdykowskiego - nie został dopuszczony do druku. /red./

boru tego, co dla społecznej wspólnoty najlepsze. Inaczej więzienia znowu zaczęły zapełniać się więźniami politycznymi, a zainicjowane 11 września nadzieje znowu się rozwijają, jak tyle innych przedwczesnych złudzeń. Przede wszystkim zaś trzeba odblokować proces komunikacji społecznej, wyrażania poglądów, dyskusji i sporu. To powinien być ten następny oczekiwany krok. Nie wystarczy tylko, że inaczej myślący znajdujący się na wolności, muszą mieć szanse wyrażania i publicznej obrony tych myśli. Cenzura przewencyjna i lęk przed pisanym słowem jest dziś wyjątkowo odrażającym anachronizmem, o czym zresztą pisał niedawno na łamach "Odrodzenia" prof. Mikołaj Kozakiewicz i za co - jako ożwoiek pióra - winien mu jestem swoje uznanie. Tylko przez ten proces społecznego porozumiewania się wiedzie droga do społecznego porozumienia, które by nie było dyktatem społecznym, lecz kompromisem świadomych.

- Czy przy tak rozumianych demokratyzacji i porozumieniu opozycja straci rację bytu?

- Każdy system ustrojowy, także socjalistyczny, każde państwo, organizacja, czy nawet zakład pracy, nie może sensownie istnieć i rozwijać się bez opozycji. Obojętne, jak ją nazwiemy: "opozycją jego królewskiej mości", "konstruktywną krytyką", "advocatus diaboli", czy po prostu pluralizmem publicznie wyrażanych poglądów i zaangażowań. Świat platoński, w którym jedna tylko grupa społeczna - czy to z tytułu pochodzenia, czy "praw historii" - ma monopol na rację i na projektowanie urzędnictwa państwa, jest zgubną złądą, bo prowadzi do dewiacji i skostnienia, na co aż nadto przykładów dostarcza historia. A dominujący u nas od czterdziestu paru lat centralizm jest na te dewiacje i skostnienie szczególnie podatny. Dlatego potrzebna jest od dawna postulowana i nigdy rzetelnie nie zrealizowana demokratyzacja polskiego ustroju socjalistycznego, a w nim miejsce dla opozycji. Nie jest to tożsame z anarchią, jak zwykle powiadają ci, którzy boją się śmielszej myśli i publicznej konkurencji poglądów. Demokracja ma dwa ramiona: wolność i odpowiedzialność, bez którego-kolwiek z nich będzie kaleką. Opozycja jawna, mająca prawo do publicznej obrony swych poglądów, krytykująca i sama podlegająca krytyce, będzie także opozycją odpowiedzialną, z troską o państwo. Opozycja podziemia będzie ulegać dewiacjom w nie mniejszym stopniu niż państwo, które potrzebę istnienia opozycji neguje. Polacy nie są narodem anarchistów i warcholów, Polacy są zdolni do wytworzenia i pielęgnowania demokratycznego państwa, a w nim odpowiedzialnej opozycji. Cała wielka sekwencja polskich powstań i zrywów wolnościowych, ciągnąca się od końca XVIII wieku, nie była niczym innym, jak walką o państwo ze wszystkimi jego atrybutami: wojskiem, policją, systemem karnym, parlamentem, urzędami i czym tam jeszcze... Jak mało który naród Polacy dali aż nadto wiele dowodów swego instynktu państwowego i jak mało który naród wysoką zapłacili za to cenę.

- Nie widzi Pan w swojej koncepcji opozycji oczywistego zagrożenia dla pryncypiów ustrojowych i racji stanu?

- Przeciwnie: widzę ratunek. Koncepcje urządzenia państwa socjalistycznego mogą być różne, a przede wszystkim powinny - jak wszelkie inne koncepcje - tworzyć się w sporze i dyskusji. Nikt z klasyków nie określił, na szczęście, jaki ma być zakres nomenklatury, ile wskaźników ma krępować przedsiębiorstwo i jak daleko może się posunąć społeczna samorządność. Tymczasem, od wielu dziesięcioleci to, co jest, uważane bywa za niepodważalną świętość, tak że - jak to trafnie napisał w zupełnie innym ustroju Mikołaj Gogol - "nazwanie jednego złodzieja po imieniu traktuje się jako zamach na państwo". Niestety, ten tak zwany "realny socjalizm" od dawna zakrzepł w nieefektywnych zarówno społecznie, jak i ekonomicznie, strukturach, wywodzących się jeszcze z epoki stalinowskiej, a co najgorsze - niepodatnych, jak dotąd, na głębsze reformy. Wytworzył całkiem liczną i wpływową warstwę aparatu biurokratycznego, związanego z tym właśnie modelem ustrojowym, czerpiącą zeń oczywiste korzyści, gotową go bronić i konserwować, skutecznie przeciwstawiającą się podejmowanym dotąd próbom zmian, łącząc z ostatnią reformą gospodarczą. To dla tej właśnie warstwy opozycja tożsama jest z anarchią, a wolność słowa i stowarzyszeń z kontrrewolucją. Ten - jak to trafnie nazwał jeden z moich przyjaciół - "stalinizm o ludzkim obliczu" jest wprawdzie dla tej warstwy bardzo wygodnym systemem rządzenia państwem i gospodarką, ale jednocześnie tłumi innowacyjność, efektywność i wszelki dynamizm osoby ludzkiej, stąd w miarę upływu lat staje się coraz trudniejszym do zniesienia ciężarem także dla państwa, także dla samych rządzących...

- I niemożność przeciwstawienia się temu zaprowadziła Pana do opozycji?

- Dla jasności: jestem socjalistą. To rodzinne, mój ojciec był warszawskim robotnikiem, także o orientacji socjalistycznej. Dla polskiego plebejusza ustroj wprowadzony w 1944/45 roku oznaczał realizację wielu jego starych nadziei i marzeń, bolesna edukacja kolejnych rozczarowań i rozwianych nadziei przyszła dopiero potem. Już w październiku 1956, jak kraj długi i szeroki, pojawiła się wielka ogólnonarodowa wola demokratycznych reform w obrębie socjalizmu. Swoją edukację polityczną rozpocząłem 30 lat temu, jako student I roku Politechniki Gdańskiej na październikowych wiecach. Jak niewiele zostało z wyrażonej wtedy woli i jak zaprzepaszczone najlepszą chyba okazję do reform, nie trzeba przypominać. Przypomnę jedno: wtedy, 30 lat temu, mówiliśmy o sobie "my, socjaliści" i śpiewaliśmy "Międzynarodówkę" na popierających Władysława Gomułkę wiecach. Ostatni bodajże raz zaśpiewała spontanicznie "Międzynarodówkę" zbuntowana ulica radomska w 1976 roku, potem był już tylko hymn narodowy i "Boże coś Polskę". Historia polskiej pieśni więcej mówi o przemianach świadomości Polaków, o dziejach rozczarowań i rozwianych nadziei - ciągnących się poprzez Październik, Marzec, Grudzień, Czerwiec, Sierpień i znów Grudzień, ożywających i znów zamierających, od kolejnej "odnowy" do nadciągającej w ślad za nią "odmowy" - niż długie opracowania polityczne. Nigdy nie można raz na zawsze stwierdzić, że coś jest niereformowalne, ale zbyt wiele już było daremnych doświadczeń i straconych szans jak na wytrzymałość ludzkich

nadziei i społeczne poczucie sensu.

- Będąc przez 13 lat członkiem partii nie usiłował Pan wpływać na bieg wydarzeń od wewnątrz?

- Gdybym tego nie robił przez 13 lat nie miałbym teraz prawa do krytyki z zewnątrz. Moje pokolenie, pokolenie ludzi wstępujących do partii w latach sześćdziesiątych, nie było już generacją wielkich prokomunistycznych zaangażowań ideowych, było to pokolenie pragmatyczne, dobrze rozumiejące obowiązujące tu ograniczenia, zdające sobie sprawę z tego, jak i dlaczego zaprzepaszczone zostały szanse Października 1956. Dlatego też ci, którzy konsekwentnie opowiadali się za polityką reform, bez wielkiego żalu i przełomów ideowych odeszli z partii, gdy po raz kolejny polityka taka okazała się niemożliwą.

- Odrzucając jedne ograniczenia, musiał Pan zaakceptować nowe - mówiąc delikatnie - niedogodności.

- Cokolwiek złego nie powiedziałyby się o okresie "szesnastu miesięcy" pomiędzy sierpniem 1980 a grudniem 1981 - a dziś wiele formułuje się krytycznych uwag pod adresem tamtych dni, tak po stronie władzy, jak po stronie opozycji - jedno jest niezmiernie ważne, daleko sięgające, a słabo w tych ocenach dostrzegane. Otóż polski pisarz, polski publicysta, polski reporter - jeśli oczywiście chciał skorzystać z tej możliwości - zaczął wtedy pisać bez cenzury, bez ciągłego nadzoru "tych, którzy wiedzą lepiej", a przynajmniej przy minimalnych ograniczeniach tego typu. Gdy ograniczenia te powróciły, wielu z nas - a ja w tej liczbie - nie chciało albo i nie potrafiło włożyć na powrót tego kagańca. To jest to "przekleństwo wolności" raz zaznanej. Tego już nie da się odwrócić, unieważnić, cofnąć. Nigdy w powojennej historii PRL tak wielu piszących nie decydowało się na publikowanie pod własnymi nazwiskami w niecenzurowanym "II obiegu", albo za granicą, i nigdy obieg ten nie był tak rozbudowany i bogaty w merytoryczne dokonania. To wielka przemiana jakościowa. Polski pisarz nie jest już bezbronny wobec ograniczeń wolności słowa, po raz pierwszy bierze udział w wielkiej - choć ograniczonej skromnymi nakładami i utrudnionym kolportażem - dyskusji o Polsce, w której nie ma tematów i poglądów "tabu". Ale decydując się na pisanie bez cenzury narażamy się nie tylko na represje, na epitet i los "wroga", choć ręczę, że przygniatająca większość takich jak ja nie jest wrogami, lecz niezbędnymi dla zdrowia każdego systemu "advocatus diaboli"; niecenzurowany autor bierze na siebie ciężar i ograniczenie jeszcze większe, a jest nim odpowiedzialność za siebie i swoje słowo, której odtąd nie dzieli z nikim i na nikogo nie może odtąd wskazać palcem jako na współwinnego swoim pisarskim upadkom i pomyłkom. To jest właśnie to brzemie najcięższe, ale sądzę, że jest ono immanentną częścią dobrowolnie wybranego losu pisarza, losu publicysty, jako tego, który zabiera głos w sprawach publicznych.

Jestem zresztą pewien, że wcześniej czy później zniknie ten sztuczny podział polskiej kultury i polskiej myśli na

dwa odwrócone od siebie obiegi, będący zresztą dzieckiem nie bojkotu, lecz cenzury. Jestem pewien, że wcześniej czy później to, co w obiegu niecenzurowanym najwartościowsze, stanie się dostępne dla każdego polskiego czytelnika w kioskach czy księgarniach. Ukazanie się tej naszej rozmowy drukiem niech będzie dowodem, że ta nadzieja może nabierze barw żywszych, niż kiedykolwiek od czasu pamiętnych "szesnastu miesięcy".

- Sadzę, że nie chodzi tu tylko o dostrzeżenie tzw. "opozycji intelektualnej", lecz głównie o to, by ludzie ci dołączyli do uczestników życia publicznego.

- Dołączą, gdy tylko publiczne wypowiedzanie swoich poglądów stanie się możliwe. Jak dotąd jednak, nie nastąpiło w tej mierze coś szczególnie zachęcającego.

- Ejże! A wspomniana już amnestia, drugi etap reformy gospodarczej, zapowiedź dalszej demokratyzacji prawa wyborczego, inicjatywa powołania Rady Konsultacyjnej, idea powołania społecznych rzeczników praw obywatelskich? O czym to wszystko świadczy?

- Świadczy o tym, że władza ma już świadomość potrzeby zmian; ale jednocześnie obawia się ich skutków i stąd nadmierną ostrożność w formułowaniu propozycji i we wprowadzaniu ich w życie. Przypomnę, że śladem zapowiedzi owego "II etapu" reformy nie poszły dotąd konkretne działania, przybliżające naszą gospodarkę do modelu w dużym stopniu rynkowego, jaki prezentują uchwalone w 1981 roku przez IX zjazd PZPR i zatwierdzone potem przez Sejm "Kierunki reformy gospodarczej". Podobnie zapowiadana dziś Rada Konsultacyjna może być - zależnie od swego składu i kompetencji - ciałem o przełomowym znaczeniu, jak i fasadowym parawanem. Po wszystkich gorzkich doświadczeniach straconych szans i rozwianych nadziei - o jakich tu była wcześniej mowa - polskie społeczeństwo jest wyjątkowo nieufne i ma dla swej nieufności racjonalne powody. Przez powojennych czterdzieści parę lat Polska nie tylko zastygła w sztywnym, biurokratycznym gorscie "realnego socjalizmu", przez wielu z warstwy rządzącej niesłusznie utożsamianym z socjalizmem w ogóle, ale też rozwija się nasz kraj w sposób dramatyczny, niemożliwy do zaakceptowania: od kryzysu, do kolejnego kryzysu społecznego z interwałem od kilku do kilkunastu lat. Społeczeństwo uzyskuje realny wpływ na politykę rządzących tylko wtedy, gdy w odruchu determinacji wyjdzie na ulice albo ogłosi strajk. Próby dokonania istotniejszych reform, tak przez nacisk wewnątrzpartyjny, jak i - w okresie "Solidarności" - przez presję zewnętrzną, nie powiodły się. Tak dalej być nie może, bo kolejny kryzys oznaczałby jeszcze głębszą destrukcję, i tak mocno naruszonych, państwa i gospodarki. Głębokie i śmiałe reformy są niezbędne nie dlatego, że chce ich taka czy inna część społeczeństwa, ale dlatego, że bez nich znowu powtórzy się ten niszczący cykl, że bez nich gospodarka straci resztki sił witalnych. Mamy dziś akurat - sześć lat po Sierpniu - okres międzykryzysowego uspokojenia, ekipa rządząca jest silna jak nigdy dotąd, a jednocześnie ma świadomość potrzeby pewnych zmian. Nie tylko u nas zresztą: popatrzmy na śmiały kurs w Chinach, na to, co w ZSRR pod kierownictwem Michaiła

Gorbaczowa nazwano "przebudową", na doświadczenia węgierskie wreszcie...

I to jest całe sedno dzisiejszego "polskiego problemu numer jeden": szansa zainicjowania reform "odgórných", kontrolowanych przez władzę, lecz zmierzających w kierunku podobnym, jak poprzednie usiłowania reformatorskie.

- No ale społeczeństwo, któremu - Pana zdaniem - dolega gorset biurokracji nie kwapi się jakoś do poparcia zmian. Utrzymująca się bierność to potwierdza.

- Nie chodzi tu o - jak Pan przed chwilą powiedział - "dostrzeżenie opozycji intelektualnej". Kogo ona dziś tak naprawdę w Polsce obchodzi, choć ma parę ważnych rzeczy do publicznego powiedzenia. Decydujące będzie to, by zwykły, nieufny bo tylekroć gorzko zawiedziony, prosty człowiek zobaczył, że wreszcie coś rzeczywiście od niego zależy, że może wziąć swoje sprawy w swoje ręce, że pozostawiono mu jakieś rzeczywiście istotne pola spraw publicznych do samodzielnego zagospodarowania, bez strachliwych ograniczeń i bez zawodowych "podpowiadaczy", że może te pola objąć w sposób samorządny, sam wybierać na nich swoich przywódców i określać swoje autorytety. Przecież nawet ta tylekroć ostatnio potępiana postawa roszczeniowa, to wołanie "daj!" rozlegające się jak Polska druga i szeroka, a nie wsparte proporcjonalnym nakładem pracy i inicjatywy, ta niesamodzielnosc myślenia, to wszystko są też bękarty biurokratycznego centralizmu, w którym wszechwładząca "góra" podejmuje najlepsze z możliwych decyzje, a "dołom" pozostawiona jest jedynie refleksja o optymalnym wykonaniu gdzie indziej podjętych rozstrzygnięć.

- Deklaracje i apele przywódców przecza Pańskiej tezie.

- Gdyby dziś generał Jaruzelski, a jednocześnie prymas Glemp i Lech Wałęsa - a więc ludzie, którzy dla różnych grup Polaków są czołowymi autorytetami - wyszli razem na trybunę i wołali: "rodacy, wesprzyjcie władzę, która chce waszego dobra, weźcie się do roboty!", to Polacy owszem, wysłuchaliby, a potem każdy ze wzruszeniem ramion poszedłby swoją, tą samą co dotąd ścieżką, do tych samych co dotąd spraw. Niestety. Nie apeli dziś trzeba, ale konkretnych i bardzo odważnych działań, które by pokazały ludziom, że coś w praktyce od nich zależy i do nich należy. Czekaj nas wielki i z konieczności stopniowy proces odbudowy obywatelskości tego społeczeństwa, rozumianej jako współdziałanie z rządem z gwarancją wolności osobistych i ekonomicznych, z prawem do wyrażania i obrony poglądów, stowarzyszenia się, rozwijania niezależnej spółdzielczości i wszelkich form samorządu. Nie ma w tym przecież nic, co by podważało socjalizm i tak zwane "realia", niczego co by było sprzeczne z Konstytucją PRL. A przecież pomimo tych oczywistości, wciąż tracimy szanse na uruchomienie tego procesu, jak choćby w 1984 roku.

- ?

- Myślę o ordynacji wyborczej do Rad Narodowych. Jeśli reaktywowanie "Solidarności" jest - zdaniem władzy - niemoż-

liwe, to trzeba tworzyć szanse samorządnych działań i przez nie odbudowy obywatelskości na innych, może bardziej sprzyjających płaszczyznach. Jakie zagrożenie czyhałoby na socjalizm i Polskę, gdyby rady szczebla podstawowego stały się autentyczną i swobodnie wybieraną reprezentacją obywatelską? Rozumiem konieczność pewnych "zabezpieczeń" w Sejmie, czy w rzeczywistocie decydujących ogniwach władzy politycznej, ale utrzymywanie ich wszędzie: w PRON-ie, w procesie kreowania samorządów lokalnych, w spółdzielczości, w stowarzyszeniach, w zakładach pracy wreszcie, jest takim samym anachronizmem, jak cenzura prewencyjna. Trzeba to teraz będzie stopniowo znosić, ale już w gorszych warunkach i przy silniejszym odium społecznej nieufności, niż byłoby to możliwe kiedyś, kiedy jednak zabrakło odwagi rządzących. Chcę wierzyć, że jeszcze nie jest za późno, ale pamiętajmy, że zawsze może nadejść taki moment i że wówczas - jak historia poucza - reformy są bezsilne. Gdyby Ludwik XVI wcześniej zwołał Stany Generalne, nie doszłoby pewnie do szturm Bastylli, a dzieje Francji bardziej przypominałyby dzieje Anglii, gdzie - mimo wszelkich burz i starć - rozwił się oszczędny proces reform, aż wypełnił monarchistyczną szacowaną fasadę najzupełniej republikańską i demokratyczną treścią.

- Uparcie przypomnę jednak o realiach.

- Wiele mówi się o nich nie od dziś, nie od dziś apeluje się do realizmu, zwłaszcza do realizmu rządzonych: wzywa się ich, by wzięli pod uwagę geopolitykę, pryncypia, ukształtowane realia ustrojowe. To bardzo słuszne, trzeba być realistą. Ale tak, jak drugim po wolności ramieniem demokracji jest odpowiedzialność, tak realizm winien być nie tylko realizmem rządzących, ale i rządzących. A tu, przypominam, Polska jest - obok Anglii - krajem o najstarszych w Europie tradycjach demokracji i praw człowieka. Angielski eksperyment z demokracją powiódł się, polski rozpadł wraz z upadkiem "I Rzeczypospolitej". Ale pozostały tradycje i pozostała świadomość, która stała się niezbywalną częścią kultury ogólnonarodowej. To są właśnie także realia, których nie wolno ignorować; tak ukształtowany naród nie jest w stanie wtłoczyć się w dowolnie narzucone i nie-demokratyczne formy społecznego bytu. Ci, którzy sądzą i postępują inaczej, przypominają szalonego krawca, który zamiast przykrawać garnitur do rozmiarów klienta, kroi jego samego do rozmiarów garnituru.

- Czego jeszcze do tej wspólnej gry o przyszłość Polski potrzeba?

- Współzawodnictwa w dobrym. Niech każdy ma możliwość publicznego powiedzenia, co proponuje, jak pragnie wyprowadzić Polskę z dzisiejszej zapaści, co jej może od siebie zaofiarować. Obojętnie kim jest i za jakimi znakami się opowiada.

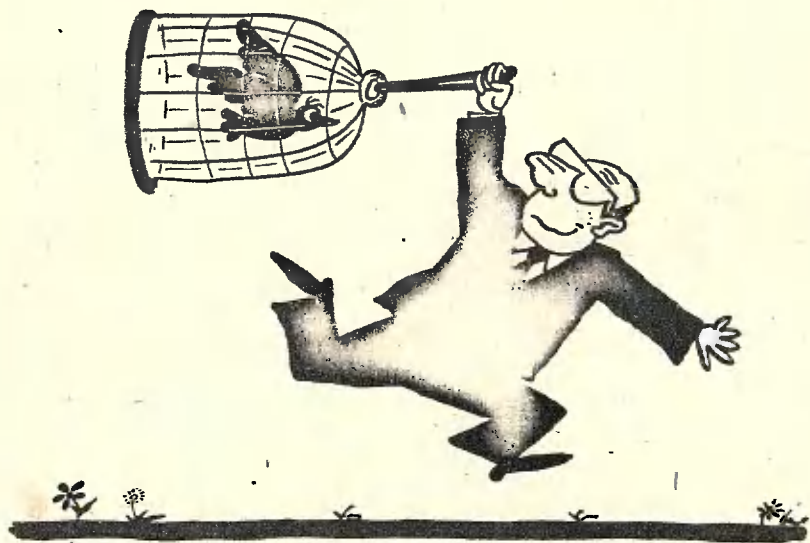
- Widzę, że jest Pan sceptykiem, choć nie pozbawionym pewnej nadziei. Kiedy uwierzy Pan w dobre intencje władz i w ich wolę dalszego prowadzenia reform?

- Tak jak miliony nieufnych i ciężko doświadczonych Polaków, przekonają mnie tylko fakty. Fakty postępujące tą słuszną i dobrze wróżącą na przyszłość drogą, zapoczątkowaną aktem amne-

stycznym z 11 września. Ale prócz tych wielkich spraw mam parę takich swoich małych, prawie prywatnych. A więc jeśli cenzura przestanie zdejmować moje teksty, tak jak to było ostatnio w "Tygodniku Powszechnym" i "Literaturze", jeśli gdzieś publicznie będę mógł uprawiać swój kącik nieszkodliwego "advocatus diaboli", którego kilka miesięcy temu mnie pozbawiono /prowadziłem taki felieton w miesięczniku "Zarządzanie"/, jeśli Maciek Szumowski będzie mógł znów robić swoje znakomite reportaże filmowe, jeśli paru moich przyjaciół z Huty będzie mogło wrócić do pracy w swoim zakładzie, jeśli...

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Stanisław Mierkowski



R. Bos

WALKĄ O NAJWYŻSZĄ WARTOŚĆ
CZYLI HUMANIZM SOCJALISTYCZNY
CZYLI KRÓTKA HISTORIA PRL

wrogowie ludu
faszyści spod znaku
sabotażyści
zaplute karły
tłuste kulactwo
ciemne wstecznictwo
podżegacze wojenni
brudne ręce precz
zdrajcy narodu
sługusy imperializmu
wojujący klerykalizm
plugawi poplecznicy
zachodnie szczekaczki
władza obetnie rękę

ŚLUSZNY PROTEST MAS

marginies społeczny
płatni najemnicy
rewanżyści
syjoniści
rewizjoniści
agenci CIA
nieprzejednani mąciciele
mentalność alfonsów
kultura z rybnostoków

ŚLUSZNY PROTEST MAS

elementy chuligańskie
wichrzyciele
warchoły

ŚLUSZNY PROTEST MAS

judzące piśmidła
anarchiści
syndykaliści
nędzni tchórze kryjący się za
elementy antysocjalistyczne
obce siły
awanturnicy polityczni
cyniczni gracze

.....

Nic za darmo w polityce

Rozmowa z Leszkiem Moczulskim^{x/}

MOST: W ostatnich sześciu latach mniej było słyhać o aktywności KPN, więcej o kolejnych procesach jego członków i przywódców. W jakim obecnie stanie organizacyjnym - w ocenie jej przywódcy - znajduje się Konfederacja Polski Niepodległej?

LESZEK MOCZULSKI: Jest, działa. Ale Konfederacja Polski Niepodległej to dość specyficzna formacja, nie tylko ze względu na jej charakter polityczny, lecz także ze względu na kształt organizacyjny. Jest to struktura wielostopniowa, pracująca w znacznej mierze, choć to może zabrzmie trochę śmiesznie, dla siebie. My wywodzimy się z zupełnie innej tradycji organizacyjnej, niż większość ugrupowań opozycyjnych, działających w Polsce. Działania spektakularne, obliczone na masową publiczność, tradycyjnie nie są silną stroną takiego ruchu, jakim jesteśmy, a mianowicie piłsudczykowski. Wystarczy chociażby spojrzeć na początek naszego wieku, żeby przekonać się o tym, jak w obliczu ogromnej liczby klubów, kursów, gazet Narodowej Demokracji słabo wypadali piłsudczycy. Najważniejszą dla nas sprawą jest tworzenie dość specyficznych, zorientowanych wewnętrznie struktur na różnych szczeblach działania. To, co się widzi z Konfederacji, to tylko tzw. patelnia, czyli ludzie manifestujący swą przynależność do KPN, całkiem spaleny. Na ogół tylko ludzie z patelni są znani, a jeżeli jeszcze mają procesy polityczne, jest też o nich głośno. O reszcie mało wiadomo.

Jak wygląda stan organizacyjny Konfederacji? Statut KPN przewiduje 5 stopni członkowskich, czyli jak kto chce - wta-
jemniczenia, a naprawdę 5 stopni aktywności, przy czym w ramach każdego stopnia mamy członków czynnych i nie-czynnych, tzw. uspiionych. Trzeba dodać, że ogromna większość członków KPN jest w tej chwili w stanie nieczynnym. Nie mamy dla nich zajęcia. To znaczy, oni wykonują jakieś prace, w rodzaju kolportażu prasy czy udziału w dyskusjach wewnętrznych, nieraz działają w "Solidarności" czy innych grupach. Natomiast właściwa organizacja konfederacka - struktury czynne, też po-

^{x/} Fragmenty tej dyskusji ukazały się w końcu ub. roku na łamach "CDN - Głos Wolnego Robotnika". /red./

dzielone na pięć stopni organizacyjnych - zajmuje się konkretną robotą, ale jest to przede wszystkim robota strukturalna. Konfederacja jest tak zbudowana, że skupia w istocie, mówiąc językiem wojskowym, oficerów, podoficerów i specjalistów. Przynajmniej do tego dążymy, bo do doskonałości jesteśmy bardzo daleko.

MOST: Wokół jakiego programu skupiają się członkowie Konfederacji?

L. MOCZULSKI: Nasz program jest wariantowy. Jednak najchętniej myślimy, że wydarzenia w Polsce potoczą się drogą serii eksplozji społecznych. Już trochę tego przeżyliśmy. Będziemy jeszcze przeżywać. Przede wszystkim do tych wydarzeń przygotowujemy się organizacyjnie /nie jesteśmy na pewno strukturą, która cierpi na nadmiar refleksji i dyskusji ideowych/. Szykujemy się przede wszystkim do walki politycznej otwartej, a teraz głównie zajmujemy pozycje. Jak to wygląda w konkretnie? Nie chciałbym podawać żadnych liczb, bo ich nie ujawniamy. Tylko w ramach patelni działają ujawnione obszary /w tej chwili sześć/. Teoretycznie obszar jest odpowiednikiem regionu "Solidarności" i teoretycznie te obszary obejmują cały kraj.

Najsilniejszy jesteśmy na południu Polski, zwłaszcza na Górnym Śląsku, w Krakowskiem, na terenach dawnej Galicji. I nic dziwnego. Tam jest nasza bezpośrednia genealogia - piłsudczykowska - jak ruch związków strzeleckich, legiony itd. Stąd te tradycje, nawet rodzinne, które u nas działają. Na Górnym Śląsku natomiast jesteśmy liczni, ale chyba z innych powodów. Może dlatego, że działania w strukturach robotniczych muszą być bardzo konkretne. Młodzież robotnicza nie przepada za dyskusjami, zwłaszcza o charakterze ideologicznym.

Oczywiście cel, istnienie i struktura Konfederacji jest jawna. Nasz statut jest opublikowany. Wszystkie dane, dotyczące naszej organizacji wewnętrznej, są ogłaszane w takim samym zakresie, jak - przynajmniej kiedyś - w publikacjach PZPR na temat ich własnej struktury wewnętrznej. Tak jak PZPR czy ZSL nie podajemy listy członków itd., bo nie ma takiego obowiązku prawnego. Istnienie organizacji, zgodnie z wymaganiami prawa, jest jawne. W przedostatnim naszym procesie sąd zgodził się z takim stanowiskiem, ale już w ostatnim - nie, i skazał nas za spiskowanie, co jest oczywistą nieprawdą. Żadnych tajemnic strukturalnych nie mamy. Wszystko można przeczytać w ogłoszonym statucie. A że nie manifestujemy naszego składu członkowskiego? Raz jeszcze powtarzam, że nie ma takiego obowiązku prawnego.

MOST: Siedział Pan w więzieniu nawet w okresie legalnego istnienia "Solidarności" przed 13 grudnia i mimo prób nie udało się stamtąd Pana wydobyć. Co Pana zdaniem jest powodem, że władze zwalczają KPN z tak wielką gorliwością - komunikatywność i oczywistość haseł, czy fakt, że określacie się jako partia polityczna?

L. MOCZULSKI: Sądzę, że są dwa czynniki. Pierwszy działał zawsze. Jesteśmy wśród bardziej znanych grup politycznych w Polsce najbardziej radykalni. Znajdujemy się w totalnej opozycji

cji do dominacji radzieckiej, do ustroju, do partii, która rządzi, do ekipy, do stylu sprawowania władzy. A że, będąc w totalnej opozycji, prowadzimy walkę polityczną w granicach przepisów prawnych, obowiązujących na obszarze naszego działania, to oczywiście wywołuje to znacznie silniejszą reakcję. Poza tym działa jeszcze pewien szczególny czynnik. Przytomne, że aresztowania członków Konfederacji zaczęły się na przełomie lata i jesieni 1980 r. Ja byłem aresztowany 21 sierpnia i od tego czasu miałem tylko kilka przerw w siedzeniu - 3 tygodnie we wrześniu 1980 r., 5 tygodni w czerwcu i na początku lipca 1981 r. i pół roku na przełomie lat 1984/1985, chyba jeszcze dwie przepustki losowe - jedna 3 dni, druga 2 dni - na pogrzeb ojca. Czyli ostatnie 6 lat prawie całe przesiedziałem w więzieniu. Dlaczego? W 1979 r. wydałem taki tekstik, opublikowany w "Drodze", pt. "Rewolucja bez rewolucji". Tam w sposób dość szczegółowy opisałem m.in. co należy robić podczas najbliższej eksplozji społecznej, której wybuch przewidywaliśmy wtedy na jesień 1980 r. Proponowałem przekształcić eksplozję w strajki powszechne, których głównym celem będzie samoorganizacja strajkujących aż do powołania wolnych związków zawodowych itd. Jeszcze rok wcześniej ani władzy, ani większej części opozycji nie przychodziło do głowy, że kilka milionów Polaków może zastrajkować - a z tego wyrośnie Związek. W momencie, kiedy to nastąpiło, sytuacja się zmieniła. To, co władze wcześniej uważały za fantasmagorię, za majaczenia Moczulskiego, stało się faktem. Wtedy władza inaczej na nas spojrzała. Okazało się, że nasz program działania, jeszcze nie w części dotyczącej celów ostatecznych, ale w bliskiej perspektywie, sprawdził się.

Sprawdzał się zresztą wielokrotnie. KPN była jesienią 1980 r. chyba jedynym ze znanych ugrupowań, które uważało, że liczenie na dotrzymanie przez władzę porozumień nie ma sensu. Oczywiście, porozumienia należy wykorzystywać, ale jako rozwiązanie czasowe, i należy z miejsca przygotowywać się do walki. Gdy tak stwierdziliśmy głośno, wtedy władza rozpoczęła prawdziwą nagonkę na KPN. To są mniej znane sprawy z historii okresu "Solidarności". W tym samym czasie, kiedy w kraju panowała dość duża euforia, wywołana poczuciem wolności, gdy ludzie czuli się swobodnie - liczni działacze patelni konfederackiej tropieni byli po Polsce jak dzikie psy. Nie dostawali znikąd pomocy. Jesienią i zimą 1980/1981 wielu z nas aresztowano, kilku się załamało i uciekło za granicę. Władza wiedziała, co robi. Uważała, że tak samo, jak trafnie przewidzieliśmy Sierpień i to, co należało wówczas zrobić, to jesteśmy w stanie wprowadzić element niepokoju i ostrzeżenia przed jej, jak się potem okazało, rzeczywistymi zamiarami. Dlatego ich wściekłe uderzenie na KPN.

W drugiej połowie 1981 r. do Konfederacji przyszło wielu nowych członków, tylko w październiku i listopadzie ok. 60-80 tys. ludzi. Ale cóż to było w porównaniu z dziesięciomilionową "Solidarnością"? Mogliśmy apelować, ostrzegać i to wszystko. Kolejne nasze inicjatywy nie udawały się, np. inicjatywa marszu gwiazdzistego z sierpnia 1981 r. Być może zaostały przez to przyspieszony stan wojenny, ale w warunkach

znacznie mniej korzystnych dla władzy, a być może do stanu wojennego w ogóle już by nie doszło. Nie mogliśmy zorganizować marszu wbrew "Solidarności", a "Solidarność" w owym czasie nawet nie chciała zająć w tej sprawie stanowiska. Najważniejszą rzeczą, która wtedy nastąpiła, był nasz, zresztą bardzo rozpaczyliwy, apel, o ile pamiętam z 2 czy 4 grudnia, z ostrzeżeniem, że uderzenie władz nastąpi w nocy z soboty na niedzielę, 13 albo 20 grudnia. Uderzenie to, według nas, mogło być sparaliżowane tylko strajkiem wyprzedzającym. Po uderzeniu władzy strajk już nie miał żadnej szansy, to było dla nas oczywiste. Pierwszy cios się liczy, przynajmniej w takiej sytuacji. Apelowaliśmy więc o strajk na 8 grudnia. Apel poszedł całą siecią dalekopisową, czyli dotarł wszędzie. Nie miał żadnego oddźwięku. Wszyscy byli przekonani, że "Solidarność" jest mocna i bez trudu sobie poradzi.

Przewidując zawczasu, ostrzegając, proponując metody działania - staliśmy się w jakiś sposób różni. Widocznie nasze programy działania zbyt przeszkadzały rządowym programom działania, a nasze metody oceny rzeczywistości zbyt są zbliżone do ocen rzeczywistości władzy. Dlatego nas, także mnie, zamykali. I może znów zamkną.

MOST: Czy ogłoszenie stanu wojennego spowodowało jakieś przewartościowanie w programie i taktyce działania KPN?

L. MOCZULSKI: Stan wojenny - jak już stwierdziłem - nie był dla nas niczym szczególnym. Nie mieliśmy nigdy złudzeń, co do naszych przeciwników politycznych i ich zamiarów. Ogłoszenie stanu wojennego tylko potwierdziło naszą diagnozę. Uważamy się za bezpośrednią kontynuację Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, które zostało dość krwawo rozbite w latach czterdziestych. Mamy u siebie grupę ludzi, znacznie starszych ode mnie, którzy tamte czasy pamiętają. Oni byli wręcz zdziwieni łagodnością tego stanu. Byli przygotowani, przez swoje życie, na najgorsze. Wielu z nich miało więcej niż jeden wyrok śmierci i cudem uszli przed ich wykonaniem. Tak więc żadnego zaskoczenia, żadnych przewartościowań.

MOST: Jak Pan z tego punktu widzenia ocenia poglądy tzw. "nowych realistów", zgromadzonych m.in. wokół "Polityki Polskiej"?

L. MOCZULSKI: Sądzę, że przez swoje patrzenie bez złudzeń jesteśmy bardziej realistyczni od innych ugrupowań. Doceniam natomiast potrzebę ich istnienia z wielu względów. Dlatego patrzę z sympatią, mimo że ci nowi realisci, jak niektórzy mówią o nich złośliwie, mają program sekularny - w ciągu najbliższych kilku stuleci można go zrealizować. To już oczywiście nie mieści się w kategoriach działania politycznego.

Dlaczego jednak uważam to za pożyteczne? Dlatego, że im więcej jest - choćby odległych od siebie - programów, tym szerzej aktywizuje się całe społeczeństwo. Nie ma takiego programu, który by kogoś za sobą nie pociągnął. A Polsce jest potrzebny pezeń wachlarz postaw politycznych, peken wachlarz programów politycznych. Dla KPN jest to tym lepsze, że my lubimy takie tło. Sądzę, że na nim będziemy lepiej wyglądać. Gdyby

wszyscy byli radykalni, ostrzy, nieprzejednani, gotowi iść do więzień, no to "image" Konfederacji byłby po prostu inny niż jest. Nie ważne, czy my godzimy się z innymi programami politycznymi, czy nie. Wszystkie powinny się rozwijać. Jeszcze nie nadszedł czas bardzo ostrych konkurencji. Taki czas dopiero nadejdzie. Teraz my, ludzie o dość różnych przekonaniach, ale połączeni chęcią zmiany tej rzeczywistości, różnymi drogami, różnymi metodami, mając swoje cele bliżej i dalej - powinniśmy sobie pomagać i tworzyć jeden szeroki front.

MOST: Jaki jest Pana pogląd na ideę tzw. porozumienia narodowego /z władzą/. Czy względy taktyczne nie mogą być argumentem przemawiającym za takim właśnie porozumieniem?

L. MOCZULSKI: Należy rozróżnić między postawą a polityką, albo między ideologią a polityką, albo między głoszeniem haseł a polityką. Niestety, w Polsce, w znacznej mierze, zamiast prowadzić politykę, dba się o postawę, albo ogranicza się do głoszenia haseł, do ideologicznych dyskusji, które same przez się jeszcze nie są polityką. Uprawianie polityki, które musi mieścić się w granicach pewnych norm moralnych, równocześnie jest działaniem, które dąży do osiągnięcia konkretnych celów. Sama postawa na "nie" nigdy nie będzie polityką. To jest może bardzo piękna postawa, może w pewnym momencie bardzo wygodna...

Nasze cele są tak ustawione, że dla większości ludzi w Polsce wydają się nierealne. Określane są jako romantyczne. Nam to nie przeszkadza. Chcemy natomiast, żeby nasza polityka, zmierzająca do realizacji tych celów, była pragmatyczna. Musi mieć najprzeróżniejsze formy działania. Mamy tu do czynienia zarówno z walką, jak z porozumieniem. Moim zdaniem, jedno i drugie jest równoprawnione. Może nasz temperament, tradycja, powodują, że mamy większą skłonność do walki, ale to tylko pozornie.

Jeśli porozumienie, to jakie? Mamy swoje spojrzenie na rzeczywistość. Wiemy, że nie ma w PRL możliwości trwałego porozumienia między władzą a opozycją, albo inaczej, między władzą a społeczeństwem. A to dlatego, że władza jest narzucona, że od ponad czterdziestu lat śmiertelnie się boi społeczeństwa. A ktoś, kto się boi śmiertelnie drugiej strony, oczywiście nie pójdzie z nią na żaden trwały kompromis. Władza ma jeden główny cel - uzyskać całkowitą dominację nad społeczeństwem. Na drodze porozumienia cel ten jest nie do osiągnięcia. Natomiast zadaniem opozycji jest zwrot społeczeństwu podmiotowości. Nie ma możliwości trwałego porozumienia między rzecznikami tak przeciwstawnych dążeń. Fikcją jest myśleć o tym. Jest to myślenie nierealistyczne. Zresztą nasi przeciwnicy to wiedzą i wielokrotnie o tym mówili. Natomiast porozumienia, które są jakby chwilowym uregulowaniem sytuacji, dają zawsze duże korzyści. I teraz, jeżeli jest tylko szansa, a sądzę, że jest, zawarcia jakiegóż kompromisu z władzą, to można zawrzeć takie zawieszenie broni - ale z pełną świadomością, że kompromis nie będzie trwały, że władza porzucimiewa się tylko po to, żeby wyjść z trudnej situa-

cji, że gdy już sobie poradzi, to oczywiście nie będzie chcia-
ła dłużej o tym pamiętać i zechce odebrać to, co ustąpiła.

Należy się jednak dogadywać, jeżeli polepszymy w ten spo-
sób naszą sytuację. A polepszymy na pewno, ponieważ jest to
możliwe również drogą jakiegoś kompromisu. Oczywiście, chodzi
o doprowadzenie do ustalenia jak najkorzystniejszych dla nas. Co
do Konfederacji, jest gotowa uczestniczyć w porozumieniach.
Wolelibyśmy raczej bezpośrednio nie brać w nich udziału, ale
gdy będzie taka potrzeba, jesteśmy gotowi usiąść przy stole do
rozmów z każdym, pod warunkiem, że będzie to samodzielnie de-
cydująca o sobie siła polityczna, a nie cudzy funkcjonariusz.
Mogą to być przedstawiciele rządzącej partii, ale naprawdę nie
wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać z jakimiś panami z niesamo-
dzielnych organizacji w rodzaju, na przykład, PRON. PRON nie
jest dla nas partnerem, natomiast niektórzy ludzie - tak, tyl-
ko dlatego, że reprezentują samodzielne siły polityczne.

Czy więc porozumienie? Tak, bardzo dobrze, proszę bardzo.
Tak samo dobra forma, jak walka. W danym okresie lepsza. Lep-
sza, ponieważ działają jeszcze inne czynniki, z których cały
czas musimy sobie zdawać sprawę. A mianowicie, trzeba na wszyst-
tko patrzeć w długiej perspektywie czasowej. Polska jest w
bardzo złym stanie. Powstanie niepodległej Trzeciej Rzeczypos-
politej jest niejako celem zerowym. Dopiero potem wszystko się
zaoznie. Tę Polskę trzeba będzie wyciągać z ruiny, zatrucia
środowiska, pijaństwa, złego stosunku do pracy i miliardowych
długów. Komu może zależeć, żeby przedtem jak najwięcej spraw
było sprowadzonych do dna? Może umierającej starej władzy, nam
na pewno nie. A jest jeszcze coś znacznie ważniejszego. Po co
my to wszystko robimy? Nie dla własnej satysfakcji ani po to,
żeby w podręcznikach historii, po latach, ktoś tam o nas napi-
sał. Celem naszego działania jest interes społeczeństwa pols-
kiego. Musimy cały czas patrzeć na koszty, na społeczne kosz-
ty, które są przez walkę powodowane. A koszt walki jest znacz-
nie większy niż koszt porozumienia. Może droga porozumień jest
mniej efektywna, może trochę bardziej długotrwała, choć nie
jest to powiedziane, ale na pewno szczerzejsza. I teraz, w
naszej sytuacji, kiedy władza nie osiągnęła swoich celów, do
których dążyła przez ostatnich 5 lat, celów polegających mniej
więcej na tym, żeby zmusić do poskuszeństwa społeczeństwo
przez zniszczenie opozycji, kiedy władza jest w impasie, są-
dzą, że porozumienia trzeba zawierać. Na pewno będą one czę-
stokwe. Być może dojdzie do nich między władzą a częścią opozy-
cji. Dobrze by było w takim wypadku, żeby niejako cała opozyc-
ja mogła je zaakceptować, żeby ta część, która zawrze porozu-
mienie, działała niejako z jej mandatu. I od razu trzeba bę-
dzie ostrzegać, że to tylko czasowe, i od razu trzeba szykować
następny okres - może walki, może innych porozumień, zalszy od
rozwoju konkretnej sytuacji.

MOST: Prognozowanie w polityce to rzecz ryzykowna, niemniej
ciekawa. Czy, Pana zdaniem, obecna sytuacja - mam na myśli
przejście do jawnego kierownictwa "Solidarności" - jest wyzna-
cznikiem przyszłych zmian, korzystnych dla społeczeństwa?

L. MOCZULSKI: Prognozowanie w polityce jest absolutnie nie-

zbędne. W jakiejś mierze od prognozy zależy wszystko, a przede wszystkim konkretne, realne cele. Ugrupowania polityczne z reguły różnią się między sobą zakresem wyobraźni politycznej. Posłużę się analogią historyczną. W roku pańskim 1895 trzeba było mieć ogromną wyobraźnię polityczną, żeby przewidzieć, że w ciągu najbliższych 25 lat powstanie Polska niepodległa. Ilu było wtedy takich ludzi? No, jeden na pewno, Józef Piłsudski, może jeszcze kilkunastu, może nie. Nic też dziwnego, że ludzie, którzy byli w stanie stworzyć tego rodzaju prognozę polityczną, realistyczną prognozę, mogli od samego początku właściwie skierować swoje działania. I jakkolwiek całymi latami wydawało się, że Piłsudski walczy z wiatrakami, to po iluś latach okazało się, że te walki zaczęły się kumulować, nakładać na siebie, aż cel w jakimś wielospełnieniu został osiągnięty.

Inaczej było ze Stronnictwem Polityki Realnej, które trwało w przekonaniu, że carat jest wieczny, że w ogóle Europa się nie zmieni, a świat jest tak nowoczesny, a uzbrojenie tak doskonałe i groźne, że nikt na wojnę sobie już nie pozwoli. W związku z czym środowisko Polityki Realnej nastawiało się ciągle na brak zmian. Dzisiaj tylko historycy przechowują je w pamięci, a byli tam przecież bardzo wybitni ludzie. Tak więc prognoza jest podstawą działania.

Jaka jest nasza prognoza współczesna? Znajduje ona wyraz w naszych programach. Jednym z elementów naszego programu, zresztą publikowanego, choć rzeczywiście poza Konfederacją słabo znanego, jest występowanie tzw. trzech horyzontów, które określają naszą optykę. Są to trzy kolejne etapy walki politycznej o osiągnięcie tych horyzontów. Pierwszy horyzont - dojsście, najkrócej mówiąc, do pluralizmu związkowego, drugi - do pluralizmu politycznego, trzeci - do niepodległości, utworzenie Trzeciej Rzeczypospolitej. Nasza prognoza zakłada więc, że wydarzenia w Polsce toczyć się będą w ten sposób, że społeczeństwo, czy też opozycja, podejmie walkę najpierw o pluralizm związkowy, potem polityczny, potem o niepodległość. Przekonani jesteśmy, że to wszystko nastąpi, choć trudno precyzyjnie określić, jak to przebiegnie w czasie - szybciej czy wolniej. Trzeci etap jest tym, do którego my, KPN, się przede wszystkim przygotowujemy. Wtedy będziemy najsilniejsi, wtedy będziemy na czele. Taka jest ostateczna prognoza, a w jej ramach mieszczą się oczywiście przewidywania na dziś i na jutro.

Jaką szansę powodzenia ma to, co się teraz robi? Muszę powiedzieć, że znacznie trudniej jest prognozować krótkie okresy niż długie. Narzędzia, którymi możemy się posługiwać przy przewidywaniu długich dystansów, w jakiś sposób istnieją, natomiast przy krótkich bardzo często jest to wrócenie z fusów. Na przebieg najbliższych wydarzeń działają niesłychanie silnie czynniki przypadkowe, np. zwykły błąd drugiej strony. Każdy z nas popełnia błędy. Mogą one całkowicie przewrócić porządek przewidywanych wydarzeń. Potem, po dłuższej perspektywie, wszystko się jakoś wyrównuje.

MOST: No dobrze, ale jak Pan ocenia sytuację aktualną, w tej krótkiej perspektywie?

L. MCCZULSKI: Otóż władza podjęła próbę zniszczenia opozycji i w ten sposób wymuszenia posłuchu na społeczeństwie. Był to pierwszy cel, jawnie podany przez Jaruzelskiego w jego przemówieniu z 13 grudnia 1981 r. Drugim celem było przeprowadzenie reformy gospodarki, tak, żeby zaczęły działać mechanizmy ekonomiczne, a trzecim - odzyskanie wiarygodności międzynarodowej PRL. Przy czym przez odzyskanie tej wiarygodności należy rozumieć dwie kwestie. Obóz, przede wszystkim Moskwa, powinna nabrać zaufania do ekipy rządzącej w PRL, że sobie poradzi ze społeczeństwem; natomiast to, co się dzieje w Polsce, nie powinno odbijać się ujemnie na potrzebach polityki międzynarodowej Związku Radzieckiego. Otóż na realizację tych przedstawionych przez Jaruzelskiego celów był wyznaczony jakiś czas, ale żaden z nich w tym czasie nie został zrealizowany. Chciano zniszczyć opozycję - nasza choćby rozmowa dowodzi, że jej nie zniszczono. Tysiące takich rozmów toczą się dzisiaj w tysiącu miejsc w Polsce. Gospodarka jest w stanie straszliwym. Nie dlatego, że jest kryzys. Ja nie wiem, czy w ogóle w Polsce jest kryzys. Według mnie jest to agonia z wyczerpania. Ta gospodarka zjada własną substancję i zbliża się punkt krytyczny, o czym rząd doskonale wie. Znacznie lepiej niż opozycja. Czyli to się też nie powiodło. I w następstwie nie mogli się powieść cel trzeci - wiarygodność PRL.

Rosjanie muszą sobie zadawać pytanie - po pięciu latach wysiłków zniszczenie opozycji nie udało się, to czy się w ogóle uda? Po drugie, jakiegokolwiek dramatyczne wydarzenia w Polsce, a za dramatyczne wydarzenia można uznać fakt, że kilkadziesiąt osób siedzi w więzieniu, w sposób bezpośredni oskarżają politykę radziecką. Ofensywie politycznej Gorbaczowa bardziej przeszkadzają dzisiaj, niż kiedyś, wszelkie ostre działania władz PRL.

Tak więc, cele proklamowane przez Jaruzelskiego 13 grudnia do dzisiaj nie zostały osiągnięte, a czas na ich wypełnienie mija, może już minął. Czym była długość tego czasu określona? Przede wszystkim dwoma czynnikami, jeśli na to patrzymy od strony władz PRL. Pierwszy z tych czynników, to wydolność gospodarki. Doszło już do krytycznej sytuacji: jeżeli ta gospodarka nie dostanie bardzo silnej pomocy z zewnątrz, to może nastąpić straszliwy krach. Taki, o którym nie mamy wyobrażenia. Drugim czynnikiem jest próba radzieckiej wytrzymałości. Wydarzenia w Polsce utrudniają w jakimś stopniu politykę międzynarodową Związku Radzieckiego, a Rosjanom bardzo się spieszy. Reykjavik jest kolejnym dowodem, że nie zamierzają oni zrezygnować z próby znalezienia jakiegoś modus vivendi z Zachodem, aby zrzucić z siebie ciężar zbrojeń, dostać pomoc, zwłaszcza technologiczną, ale także kapitałową. Nie mogą sobie po prostu pozwolić na to, żeby ich polityka była obciążana jakimiś wydarzeniami, które się dzieją w Polsce. Działalność opozycji w naszym kraju jest w tej chwili kłopotem dla Jaruzelskiego, a nie dla Gorbaczowa. Natomiast zastosowanie przez Jaruzelskiego ostrych środków przeciwko opozycji, może zmniejszyć kłopoty Jaruzelskiego, ale obciąży bardzo poważnie politykę zagraniczną Gorbaczowa.

Rosjanie już kilka razy, wbrew oficjalnie głoszonemu poparciu, dali wyraz solidnemu zniecierpliwieniu. Fakt, że przy znanej rosyjskiej skłonności do protokołu dyplomatycznego, artykuł "Frawdy", oceniający X Zjazd PZPR, zrobiony zresztą zupełnie prawidłowo, wszystkie akcenty należycie rozłożone, co należało pochwalić, pochwalono, co należało wskazać, że jest trudne, wskazano, otóż ten artykuł pominał jedną rzecz: a mianowicie, jak się nazywa przywódca PZPR. Zabrakło tego nazwiska, a według rytuału powinno pojawić się dwa razy - na początku i na końcu artykułu. Jest to fakt znamienny.

Tak więc władza nie ma już czasu lub on się kończy. Nie można już rozwiązywać problemów siłą. Wobec tego trzeba je rozwiązywać sposobem. Zaczyna się inny okres. Odnoszę wrażenie, że już raz, w 1984 roku, władza usiłowała przejść od okresu rozwiązań siłowych do okresu rozwiązań negocjacyjnych. Z jakichś powodów, po dość krótkim czasie, wycofała się i wykonała coś, co my nazywamy drugim uderzeniem. Pierwsze trwało od 13 grudnia do 1983-84 roku. Drugie nastąpiło w 1985 r. Nie wiem, czy władza nie zrobi trzeciego uderzenia. Może np. dojdź do przekonania, że jeszcze ma troszeczkę czasu, że za trzecim razem, gdy zamknie iluś tam ludzi, to złamanie struktury, złamanie opozycję, że nareszcie jej się powiedzie. Jest to mało prawdopodobny wariant, ale wykluczyć go nie możemy. Natomiast bardziej prawdopodobny, potwierdzany przez wydarzenia obecnej chwili, jest taki, że rządzący będą szukać rozwiązań negocjacyjnych, oczywiście korzystnych dla siebie. Wyruszą więc na poszukiwanie partnerów wyłącznie sobie dogodnych, licząc, dość zresztą naiwnie, a jest to naiwność nie wynikająca z braku rozumu, tylko z niesłuchanie ciężkiej sytuacji - że dojdzie do porozumienia z najniższej radykalną częścią opozycji. I w ten sposób władza załatwi swoje problemy, a mianowicie przywróci w Polsce dyscyplinę i spokój, ludzie zaczną pracować, Amerykanie dadzą kredyty, Rosjanie też pogłaszczą - i może zapomną, że Jaruzelski był pupilem marszałka Ustinowa, tego samego, który do śmierci był główną zaporą dla objęcia przez Gorbaczowa posady sekretarza generalnego. Gdyby władza mogła takie porozumienie zawrzeć np. z grupą "Republiki", byłaby szczęśliwa. Oczywiście, zdaje sobie sprawę, że to jej się nie uda - bo grupa mniejsza od nazwy. Musi więc się porozumieć z jakąś częścią opozycji.

Z jaką? Można z grubsza przyjąć, że w samym politycznym środku polskiej opozycji, w równej odległości od skrzydła radykalnego i nieradykalnego, jest Wałęsa. Sądzę, że ekipa Jaruzelskiego nie chciałaby obecnie iść na dalsze ustępstwa, niż porozumienie z wszystkimi, którzy są między nią a Wałęsą. W tym układzie z porozumienia wykluczono by Wałęsę. Oczywiście, najlepiej by było nie z całą połową, tylko z jedną trzecią lub jedną piątą. Im mniej, tym lepiej. Tylko, że władza zdaje sobie sprawę, że gdyby porozumienie nastąpiło ze zbyt wąską grupą to tak, jakby go w ogóle nie było. Ugoda musi obejmować na tyle szeroką grupę, żeby ci z opozycji, którzy nie będą w niej uczestniczyć, nie byli jej w stanie

zagrozić. W każdym razie porozumienie musiałoby zostać zawarte z częścią opozycji dostatecznie wpływową. Inaczej władza nie osiągnie swych celów. Dlatego sądzę, że ewentualnie, może już w niezbyt odległej przyszłości, władza pomyśli konkretnie o porozumieniu, sięgającym aż po Wałęsę.

Z tej oceny sytuacji wynika kilka wniosków. Pierwszy - należy być ostrożnym w porozumiewaniu. Nie spieszyć się. Im się spieszy, nie nam. Dużo więcej można wytargować, niż się zdaje. Po drugie - ponieważ mamy, jak się wydaje, jakąś gwarancję bezpieczeństwa, trzeba podjąć bardziej ryzykowne działania i metodą faktów dokonanych tworzyć nową rzeczywistość. Taką nową rzeczywistość powstała chociażby przez powołanie Tymczasowej Rady "Solidarności", tworzą ją wszystkie jawne struktury. Ryzyko jest duże. Władza nie ma patentu ani na głupotę, ani na rozum. Jest w niej wielu myślących ludzi i wielu specjalistów, robiących polirykę w miarę spokojnie i starających się unikać największych błędów. Jakość ich kierowania politycznego, niesłusznie, jest bezprzeczenie wyższa od jakości kierowania politycznego opozycją, rozumianą jako całość. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że nagle strach ich nie zżapie za gardło, że zaczną działać jak szaleńcy w malignie. Tak działając, mogą wtedy oczywiście uderzyć. Na zasadzie - wszystkich mamy, bo się ujawnili, to ich zamknijemy i może nareszcie zniszczymy. Cena, jaką władza mogłaby, wcale nie musi, ale mogłaby, za to zapłacić, chyba jest bardzo wysoka - przyspieszenie krachu ekonomicznego, wiszący ciągle w powietrzu wybuch społeczny. Sytuacja może się wyrwać spod kontroli. Wreszcie Rosjanom może się to znużyć. Dlatego bardziej prawdopodobne jest prowadzenie polityki ustępstw, ale jak najmniejszych. To nie znaczy, że jest wyznaczona ich granica. Tę granicę wyznacza realność oporu władzy i siła naszego nacisku, ponieważ rządzący muszą w tej chwili doprowadzić do jakiejś stabilizacji sytuacji w Polsce. Trzeba więc działać równocześnie metodą negocjacji i faktów dokonanych. Bardzo dobrą metodą byłoby, jeśli to się uda, zrobić tak, aby część opozycji rozmawiała, jeszcze mniejsza część zawieriała porozumienia, jedna część była ostra, inna łagodna, a jeszcze inna stwarzała fakty dokonane. To pozwoliłoby osiągać najlepsze efekty. Jeżeli udałoby się jeszcze skorelować działania, czy też, jeszcze konkretniej, skoordynować!

Przed chwilą wspominałem o ryzyku bardziej ostrych działań. Pytanie - jaką cenę możemy zapłacić? W gorszej ewentualności dość wysoką, ale bez przesady - pięćset czy tysiąc ludzi zamkniętych na jakiś czas, względnie krótki, kilkanaście tygodni, kilka miesięcy, rok, niewiele dłużej. Siedzenie w więzieniu nie jest przyjemne, ale ciągle jeszcze popycha sprawę do przodu, jest politycznie opłacalne. Oczywiście, narazimy przy tym iluś ludzi, ileś rodzin będzie płakać - nie za darmo w polityce, nic za darmo w życiu. Tysiąc rodzin, może więcej. Ale w Polsce są miliony rodzin - i to o ich przyszłość chodzi.

A teraz końcowy wniosek. Tam, gdzie nawet nie ma bezpośredniego współdziałania, patrząc z szerszej perspektywy, samo życie koordynuje i współzależnia posunięcia całej opozycji. Lepiej jednak, gdy ma się do czynienia nie z żywiołową, a z wyrozumowaną, planową, rzeczywistą koordynacją. Sądzę, że sytuacja

cja dojrzewa do tego, na co od dawna wskazywaliśmy, co postulowaliśmy, raczej teoretycznie, w latach siedemdziesiątych w "Rewolucji bez rewolucji", a potem bardziej praktycznie, żeby w Polsce powstało jakieś obszerne gremium, które połączyłoby wszystkich ludzi, coś znaczących w opozycji. To znaczy, wszystkich tych, którzy mają wystarczający autorytet, zarówno z "Solidarności" jak i spoza, bo już dzisiaj bardzo często nie wiemy, czy ktoś jest jeszcze w "Solidarności", czy jest już grupą polityczną, nawet jeżeli posługuje się tą nazwą. Wiemy, że człowiekiem typowym dla "Solidarności" jest Lech Wałęsa, ale Andrzej Gwiazda? Może on już jest bardziej działaczem politycznym niż związkowym? A inni może są jeszcze bardziej związkowi niż kiedykolwiek byli? Chodzi o stworzenie jakiegoś wspólnego ciała, wspólnego zgromadzenia kilkudziesięciu osób najbardziej znanych w opozycji, które na początku zajęłoby się tylko jednym - próbowało dokonywać oceny rzeczywistości i to, co należy robić. W tych granicach formowałyby się wspólna opinia i wytwarzałyby się pewna większość. A wytwarzając większość i dążąc do wspólnych ocen, dokonujemy pierwszej fazy koordynacji działań. Może po tym poszlibyśmy dalej. Mamy przeciwko sobie zintegrowaną władzę i znacznie lepiej będzie, jeżeli my równie dobrze się zintegrujemy, jak nasi przeciwnicy.

MOST: Dziękujemy za rozmowę.

Listopad 1986

Rozmawiała:
Eleonora Małecka



Tomasz Jerz

Rachunek sumienia

W jednej ze scen filmu "Zezowate szczęście" bohater obrazu - pechowiec i niedorajda - odtwarzany przez pamiętnego Bogumiła Kobięłę, uczestnicząc w przedwojennej, nacjonalistycznej demonstracji, wykrzykuje hasło: "Żydzi na Madagaskar!". Film Andrzeja Munka jest komedią, tak więc rasistowskie wezwanie, użyte w przyjętej przez reżysera konwencji, miało śmieszyć i śmieszyło widza.

Niestety, wielokroć w historii naszego kraju zawołanie "Żydzi na Madagaskar" traktowane było nader dosłownie i to, niesłusznie, przez znaczną większość naszego społeczeństwa. Nawet hitlerowska orgia i wszechobecność śmierci nie ostudziła uczuć antyżydowskich. Jeszcze w czasie wojny niedobitki ludu Izraela w dalszym ciągu stanowiły polski problem, czy może polską fobię narodową, która w latach powojennych osiągnęła swoje apogeum w marcu 1968 roku. Naczelnym wyznacznikiem wydarzeń marcowych była bowiem rozpętana przez władze, a poparta skwapliwym piórem licznej grupy zawsze wiernych i usłużnych żurnalistów, kampania antysemicka. Ona to właśnie określała w decydującym stopniu zasięg i skalę represji, nadawała ton atakom na środowisko akademickie, literatów, naukowców, niektórych działaczy partyjnych i zwykłych, szarych ludzi, stając się bezpośrednio przyczyną jednostkowych tragedii i ogromnych zniszczeń społecznych. Co więcej, była to jedyna - po czasach stalinowskich - zorganizowana represyjna akcja władz, uwieńczona prawie pełnym sukcesem. Resztki polskich Żydów zmuszono do emigracji - dziś w gminie żydowskiej zarejestrowanych jest około 6-7 tysięcy osób - uderzono w żydowską, a przecież i polską, kulturę, naukę, wychowanie, splamiono imię Polski poza granicami kraju. Marzec '68 był pierwszym i jak na razie ostatnim momentem w naszej historii, kiedy to udało się zrealizować program wojującego antysemityzmu polskiego - Żydzi opuszczający nasz kraj nie wyjeżdżali stąd dobrowolnie, lecz zostali z niego de facto wyszczuci, wyrzuceni. Przy czym o przynależności do grona emigrantów nie decydował fakt samookreślenia się jako Żyd, lecz opinia zewnętrzna - ktoś komuś powiedział, że X jest obrezany i to w zupełności wystarczyło, było początkiem szykan, pomówień, towarzyskiego bojkotu. Z reguły dotknęły one ludzi zasymilowanych z polskoetnicznym otoczeniem, uważających się za Polaków z krwi i kości, choć noszących czasami brzmiące z żydowska nazwiska lub mających "niearyjski" wygląd.

Emigracja po Marcu '68 była trzecią w dziejach PRL falą masowego wychodźstwa Żydów. Z pozostałych po II wojnie światowej około 90 tysięcy^{x/} /źródła amerykańskie mówią o 150 tysiącach/ w latach 1948-49 wyjechało kilkanaście tysięcy, przede wszystkim do Izraela. Pierwsza powojenna emigracja była jawnie popierana przez władze - w Polsce istniały w o-wym czasie specjalne obozy grupujące wyjeżdżających, jak się wówczas mówiło, do Palestyny - i prychylnie, niekiedy nawet z ulgą, przyjmowana przez społeczeństwo. Trzeba bowiem pamiętać, iż pogrom kielecki nie był jedynym w tamtych latach przykładem antysemickich wyskoków. Wokół zdarzeń w Kielcach toczy się po dziś dzień historyczny spór, czy był to mord sprowokowany przez NKWD, UB, czy też efekt spontanicznego zachowania antyżydowsko nastawionego tłumu, czy działalność skrajnie nacjonalistycznego podziemia, a może wszystko na raz. Wersje te przyjmują za pewnik jedną sprawę - mordujący mi byli Polacy, którzy na własne oczy oglądali Holocaust, mimo to pozostali żydożercami.

Nie wie się jednak, że na około 400 uratowanych z hitlerowskiej rzezi Żydów z Białostoczczyzny 10 procent /40 osób!/ zostało zamordowanych po wojnie. Na przykład we wsi Sokoły pozbawiono życia 7-osobową rodzinę, w tym 4-letnią dziewczynkę. Trudno przypuszczać, by bandyci we wszystkich przypadkach zupełnie nie kierowali się antysemickimi przekonaniem, lecz względami "pozaideologicznymi", bandycką chęcią wzbogacenia się, choć zapewne bywało i tak. A przecież Białostoczczyzna to tylko jeden rejon Polski. Dlaczego gdzie indziej miałyby być inaczej?

Znane są również przypadki ludzi, którzy zacierali ślady swej okupacyjnej pomocy Żydom, by nie narazić się sąsiadom...

Czasy stalinowskie na głucho zamknęły polskie granice. Wraz z popaździernikową odwilżą nastąpiła druga fala żydowskiej emigracji. W latach 1956-60 opuściło Polskę 55-60 tysięcy Żydów, kierując się ponownie przede wszystkim do Izraela. Szczyt wyjazdów nastąpił w 1957 roku, kiedy wydano 31 tysięcy paszportów.

Zarówno pierwszą, jak i drugą falę powojennego wychodźstwa można nazwać emigracją syjonistyczną. Wtedy bowiem wyjeżdżali z Polski Żydzi głęboko przywiązani do własnych tradycji narodowych i religijnych, urzeczony idea kształtowania własnego, młodego państwa.

W tym samym okresie, w ramach umów repatriacyjnych z ZSRR, do kraju powróciło około 25 tysięcy przedwojennych obywateli polskich żydowskiego pochodzenia^{x/}. Statystyki nie podają, ilu z nich traktowało Polskę jako etap przejściowy w podróży do Palestyny.

Emigracja do Izraela po 1956 roku nie spotykała się ze sprzeciwem ze strony władz, a w jej ostatnim okresie dało się odczuć narastające akcenty antysemickie.

^{x/} Dane liczbowe wg "Encyclopedia Judaica", Jerusalem 1972

I wreszcie rok 1968, otwierający następny okres emigracji Żydów z Polski, a właściwie Polaków, słusznie czy niesłusznie posadzonych o żydostwo. Trudno w dokładnych liczbach określić ilość wyjeżdżających. Szacunkowe dane wahają się od 16 do 30 tysięcy; ludzi całkowicie zasymilowanych, w większości nie znających niemal słowa w jidisz, katolików od wielu pokoleń. Na przykład we Wrocławiu przed Marcem '68 mieszkało około 1200 rodzin żydowskich - dziś pozostało zaledwie 1000 osób. Dania i Szwecja udzieliły azylu ponad trzem tysiącom emigrantów, kilka tysięcy znalazło się w Stanach Zjednoczonych. Według danych izraelskich największe grupy wyjechały do Australii i Kanady, najmniejsza zaś // do Izraela. Wyjeżdżano na tak zwane dokumenty podróży, automatycznie pozbawiające polskiego obywatelstwa - aby uzyskać paszport emigracyjny lub konsularny, umożliwiający w przyszłości bezproblemowe odwiedzić kraju, trzeba było wręczać wysokie łapówki.

Emigranci wyjeżdżali w ściśle określonym czasie, z dokładnie wyznaczoną wielkością mienia przemieszczalnego. Tym, którzy nie doświadczyli na własnej skórze przymusowego wychodźstwa, trudno wyobrazić sobie, jak wielką tragedią dla ludzi, z dnia na dzień pozbawionych pracy, mieszkania, ojczyzny, było rozstanie się z książkami, meblami, różnymi bibelotami, których po prostu nie wolno im było zabrać. Nad pakowaniem dobytku z reguły czuwał przysyłany do domu celnik, nadzorujący ilość zabieranych rzeczy.

Wokół ludzi posadzonych o żydostwo tworzyła się specyficzna pustka. Byli bojkotowani w miejscu pracy i zamieszkania, szykanowani przez jeszcze wczorajszych znajomych. Często kroć znajdowali w drzwiach domów kartki z pogrozkami, odbierali ubliżające telefony, pośrednio grożono ich dzieciom.

Staranną czystką objęto Żydów zatrudnionych w wojsku, nawet lekarzy i farmaceutów. Wiele komitetów dzielnicowych PZPR żądało od dyrektorów przedsiębiorstw, usytuowanych na ich terenie, dokładnych spisów wszystkich pracujących u nich Żydów, później zaś zwalniania lub przesuwania na gorsze stanowiska tych, którzy jeszcze coś znaczyli.

Rzecz jasna, istniały również środowiska, a nawet całe - choć z reguły niewielkie - instytucje, gdzie pozostawiono Żydów w spokoju, a co więcej, dodawano im otuchy, moralnego wsparcia, gdzie po prostu mogli względnie normalnie żyć. Były to - niestety - niezbyt liczne wyspy sprawiedliwości, tolerancji i zwyczajnej ludzkiej życzliwości na odgórnie rozbuchiwanym morzu szowinizmu i głupoty.

Przy charakteryzowaniu antysemitkiej nagonki trudno też nie brać pod uwagę powszechnego strachu, sterroryzowania szarego człowieka przez szalejącą masę media, "robotniczy aktyw" pałujący studentów oraz wężącą "syjonistów" i ich "popleczników" bezpiekę. Kilkanaście lat temu stopień samoświadomości społecznej, a także mechanizmy samoobrony, były znacznie słabsze niż dzisiaj, toteż nakazy władzy, poparte mniej lub bardziej zawołowanymi groźbami, w dużej mierze spełniały swoje zadanie. Jednak nawet powszechny strach nie tłumaczy do końca ska-

li i skuteczności kampanii "antysyjonistycznej". Na Węgrzech ekipa partyjna, odpowiedzialna za zbrodnie stalinizmu, w dużej części składała się z Żydów, osadzonych na najwyższych stanowiskach, a mimo to październikowe powstanie w Budapeszcie nie wypływało na swoich sztandarach antysemitycznych ha-seł.

Po marcu 1968 r. emigrowały całe rodziny, lecz w przeważającej części byli to ludzie młodzi, energiczni, ze średnim lub wyższym wykształceniem. Znane są jednak przypadki szukan i wyrzucania z Polski zwyczajnych robotników czy rzemieślników. Casus kilkunastu profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, choć bardzo znaczący i wymowny, należy raczej do wyjątków.

Antyżydowskich represji nie zakończyło zmuszenie do emigracji i ciągnąca się wiele miesięcy fala wychodźstwa. Bardzo silne ataki spadły na Żydowski Instytut Historyczny, a Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce zostało zredukowane do papierowego istnienia. Restrykcje dotknęły żydowską kulturę i naukę, skupiły się również na języku jidisz, którym mówiono w Polsce od XI wieku, czyli niemal tak długo, jak po polsku. Jidisz został oficjalnie zadeklarowany jako język obcy, zagraniczny, tak więc wszystkie wychodzące w tym języku publikacje musiały być wcześniej wydawane po polsku. Oznaczało to w praktyce likwidację żydowskojęzycznego wydawnictwa "Yidish Bukh" i pisma literackiego "Yidishe Shriften". Wychodząca co drugi dzień gazeta "Folks Sztyme" została zredukowana do rozmiarów niskonakładowego tygodnika.

Zamknięto szkoły i kluby żydowskie, zakazano organizowania obozów młodzieżowych, zniszczono drobną wytwórczość. Władze zabroniły działania na terenie Polski takich organizacji, jak Joint i Organizacja Rozwoju Twórczości, szczególnie zasłużonych w latach powojennych w zawodowej aktywizacji mniejszości żydowskiej, materialnej pomocy dla potrzebujących, budowie domu starców, wspieraniu działalności tworzących się żydowskich instytucji kulturalnych.

Wszystko to działo się przy braku powszechnego, głośniego sprzeciwu, a nawet przy milczącej akceptacji większości społeczeństwa. Podczas sesji poświęconej Marcowi '68, która odbyła się na Uniwersytecie Warszawskim w 1981 roku, w trakcie jednej z prelekcji, Zbigniew Bujak powiedział:

"Jakie czynniki odgrywały rolę przy odbiorze wystąpień antysemitycznych? Otóż, na podstawie rozmów z ludźmi w różnym wieku mogłem znowu podzielić moich rozmówców na trzy grupy. Pierwsza, to ludzie starsi, którym okres międzywojenny bardzo żywo rysował się w pamięci - i do tej grupy hasła antysemityczne dosyć łatwo trafiały, znajdowały podatny grunt. Druga grupa, to ludzie w średnim wieku, którzy pamiętali okres wojny, martyrologię żydowską, powstanie w Getcie; ci hasła antysemityczne nie przyjmowali. Wreszcie trzecia grupa, młodzi robotnicy, których pewna część żyła w atmosferze rodzinnej, nasyconej niekiedy antysemityzmem; niemniej jednak, ogólnie rzecz

biorąc, u większości przedstawicieli tej grupy hasła antysemitki również nie znajdowały posłuchu. Na ten akurat temat najmniej można z ludzi wydobyć odnośnie okresu Marca, po prostu nie pamiętają owego szczególnego tła wydarzeń, co wskazuje na to, że hasła antysemitki nie wryły się zbyt mocno w ich pamięci i co oznacza również, że nie znalazły one jakiegóż mocniejszego oparcia w środowisku robotniczym tamtych lat".

Owa niepamięć wstydlwego tła wydarzeń marcowych może być jednak całkowicie inaczej interpretowana. Antyżydowski, podskórny kompleks był tak obecny w polskiej świadomości, silniejszy od realiów, czyli faktycznego braku żydowskiej mniejszości narodowej, iż prasowe ataki, szczególnie te bardziej wyrafinowane i mniej napastliwe, trafiały licznym do przekonania, stając się uzewnętrznieniem opinii - jeżeli się biją w partii o stołki, to dobrze jak wyrzucą Żydów, zawsze Polak lepszy niż przybłęda; jeżeli wyjadą inni Żydzi, to drugie dobrze, lepiej bowiem być samemu u siebie, niż przygarniać i bronić obcych. Po prostu znaczna część społeczeństwa dawała wiarę szeptanej propagandzie i gazetowym insynuacjom, iż usunięcie obcej, ponoć zawsze szkodzącej Polakom grupy, zwłaszcza z mniej lub bardziej eksponowanych stanowisk w aparacie władzy, wpłynie na poprawę sytuacji. I gdy to wszystko jeszcze podlano hurrapatriotycznym sosem, odgrzebując i zawłaszczając obce komunistom tradycje, szczególnie mit Armii Krajowej i spuściznę walki podziemnej podczas II wojny światowej, cała potrawa była więcej niż strawna; zaś dla sporej grupy nawet bardzo smaczna. Raz jeszcze trzeba przypomnieć, iż Żydzi po Marcu '68 byli pozostawieni właściwie samym sobie, bez istotniejszych prób pomocy ze strony większości społeczeństwa. Po wtóre, nagonka przygotowywana była znacznie wcześniej niż bezpośredni marcowy atak - swastyki na grobach żydowskich malowano już niemal rok wcześniej, bo w czerwcu 1967 roku, podczas wojny sześciodniowej. Wtedy to również z najwyższych peerelowskich trybun posypały się pierwsze oskarżenia, Żydom zaproponowano swoisty test na prawomyślność, czyli potępienie Izraela i współrodaków, przy moralnym wsparciu dla strony egipskiej. W prasie pojawiło się pojęcie "syjonizmu" jako uosobienia wszelkiego zła, hitleryzmu oznaczonego tarczą Dawida. Wszystko to stanowiło sprytnie przemyślaną przygrzywkę do późniejszych wydarzeń.

Najprawdopodobniej w nastrojach społecznych, uzewnętrznionych w Marcu '68, wzięł górę ten fragment kompleksu, który wiodzi się przede wszystkim z okresu stalinowskiego, a częściowo nawet bierze swój rodowód z czasów, gdy część ziem polskich znajdowała się pod sowiecką okupacją, zwłaszcza na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow. Wówczas to bowiem spory odłam polskich Żydów otwarcie wspierał czerwonych okupantów, był mocno aktywny w antypolskich akcjach pacyfikacyjnych, nie bacząc na własne zagrożenie oraz fakt, iż wywózkom na Sybir podlegali również Żydzi. Postępowanie takie - choć ze wszelkich miar godne potępienia - można tłumaczyć potrzebą swoistego rewanżu, zemsty nawet. Sowiecki komunizm był dla Żydów czymś nowym, a przede wszystkim wprowadzał specyficzny rodzaj egalitaryzmu, zrównywał ludzi do poziomu potencjalnych więźniów Gułagu, forsował

więc równe dla wszystkich bezprawie. W syberyjskich obozach nie było jawnego antysemityzmu - byli tylko więźniowie. Sprawca pogromu zrównywał się z ofiarą, tak więc satysfakcja - aczkolwiek mizerna i wątpliwa - jednak pozostała. Po drugie, Żydzi entuzjastycznie witali Armię Czerwoną również dlatego, iż w ten sposób manifestowali swoją obcość w kraju, z którym ZSRR prowadził wojnę. I taka postawa może być także zrozumiała. Przedwojenne państwo polskie nie było kochane przez żadną z mniejszości narodowych, i tylko sobie samo to zawdzięcza.

Lata pięćdziesiąte i obecność Żydów na samym szczycie aparatu władzy, także w szczególnie zniechęcającym Urzędzie Bezpieczeństwa, zastąpiła stereotypowy w Polsce obraz semity - wyzyskiwacza, oszusta, lichwiarza, wizerunkiem semity policjanta, ubeka, partyjnego karierowicza. Opinia publiczna nie dostrzegła prostego faktu, iż współsprawiający władzę Żydzi musieli wyrzec się swojego żydostwa, polonizować imiona i nazwiska, być przede wszystkim wiernymi komunistami, później zaś dopiero członkami jakiegokolwiek narodu. Antysemityzm sprawił, iż w opowieściach traktujących o okrucieństwie aparatu bezpieczeństwa częściej wymieniano Żydów lub ludzi pochodzących o żydostwo niż Polaków, na przykład reemigrantów z Francji, którzy w znacznej części pracowali w UB. Nikt nie powinien wybielać tak obrzydliwych postaci, jak Świątko, Fejgin, Radkiewicz, Berman czy Różański, lecz z drugiej strony nie wolno zapominać o głównym animatorze antysemickiej kampanii 1968 roku, Mieczysławie Moczarsze, który w czasach stalinowskich był szefem Łódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, stosującego podobne metody co przedstawicielstwa tej samej instytucji w innych częściach Polski.

Takie właśnie postrzeganie roli Żydów w najnowszej historii Polski w znacznej mierze sprawiło, iż tak duża część społeczeństwa dała się uwieść państwowej wersji antysemityzmu. "Żołnierz Wolności", "Walka Młodych", "Prawo i Życie" i inne sztandarowe tytuły, którym często sekundowała i "Trybuna Ludu", kształtowały obraz Żydów, zgodny z wizją zawartą w "Protokołach Mędrców Syjonu", jako wszechwładnych manipulatorów, sięgających lub też próbujących powrócić do władzy po październikowej odwilży. Z tego też tytułu tylko niewielu represjonowanych mogło liczyć w momencie zagrożenia na autentyczną pomoc - pomówienie kogoś o żydostwo oznaczało w podtekście pomówienie o zbrodnie okresu stalinowskiego. Częściowo nie z własnej woli, lecz także z wyboru, w Polsce powojennej Żydzi stanęli niejako poza społeczeństwem - przyznający się do żydostwa, autentyczni syjoniści, wyjechali najpóźniej po 1956 roku, zaś na całą resztę spadło odium wy czynów niewielkiej grupki zbrodniarzy, usankcjonowanych "prawem" lat pięćdziesiątych.

Znamienne jest tutaj stanowisko Kościoła. Wprawdzie Prymas Wyszyński potępił antyżydowską nagonkę podczas kazania wygłoszonego w Katedrze św. Jana 11 kwietnia 1968 roku w Wielki Czwartek, mówiąc: "żeby na nas nie padł oień potworny jakiegos odnowionego rasizmu, w imie ktorego rzekomo bronimy naszej kultury. Nie ta droga! Nie droga nienawisci!", lecz

uczynił to z opóźnieniem w stosunku do początku wydarzeń i bardzo oględnie, niemal delikatnie. Mimo wszystko jest to reakcja nader gwałtowna w porównaniu do zachowania się Kościoła po pogromie kieleckim - wtedy bowiem kardynał Hlond, ówczesny Prymas Polski, nie potępił publicznie antyżydowskiej przemocy - a jednak temperatura słów i ostrość sformułowań znacznie od opinii całego świata, dla którego każdy przejaw antysemityzmu był niemal preludium do kolejnego Oświęcimia. Kościół w Polsce był zawsze mocno niezależny w sądach od władzy państwowej, a i czasami wystąpienia jego dostojników nie zawsze zgadzały się z oczekiwaniami społeczeństwa. Tak czy inaczej, zachęta do pomocy prześladowanym Żydom z pewnością w znacznym stopniu odmieniłaby nastroje. Samo ostrzeżenie to było stanowczo za mało.

Wstyd powiedzieć, lecz o Żydów - nie licząc, rzecz jasna, garstki sprawiedliwych - zatroszczyły się wyłącznie kraje, które tuż po rozpętaniu w Polsce antysemickiej nagonki udzieliły emigrantom azylu. Spotkali się tam oni z bardzo życzliwym przyjęciem, doświadczyli szerokiej pomocy w zdobyciu mieszkania, nauce języków, podniesieniu poziomu wykształcenia czy uzyskania pracy. Fakt faktem, iż szczęśliwie dla wychodźców z Polski, pomarcowa fala emigracyjna trafiała na Zachodzie na czasy koniunktury gospodarczej, kiedy nikt nie przeczuwał jeszcze kryzysu ekonomicznego państw dobrobytu w połowie lat siedemdziesiątych. Jednak z drugiej strony, Zachód po dziś dzień nie może otrząsnąć się z szoku wojennego Holocaustu, tak więc pomoc uchodźcom żydowskiego pochodzenia prawdopodobnie zawsze będzie traktowana jako pomoc odciętemu od stryczka. Pomarcowa emigracja nie doświadczyła niepewności solidarnościowej emigracji lat osiemdziesiątych, otaaczała ich atmosfera i sympatia dla niesłusznie prześladowanych i wypędzonych.

Czy życzliwość obcych, w gruncie rzeczy, ludzi wyrównała krzywdy i straty, jakie Polacy żydowskiego pochodzenia ponieśli w rodzinnym kraju? Chyba nie, tym bardziej, że istnieją uzasadnione obawy, że antysemicki straszak można jeszcze w Polsce reanimować i że czynić to może niekoniecznie wyłącznie władza. Przykładem nich będzie wypowiedź Bogdana Borusewicza, zamieszczona w książce "Konspira":

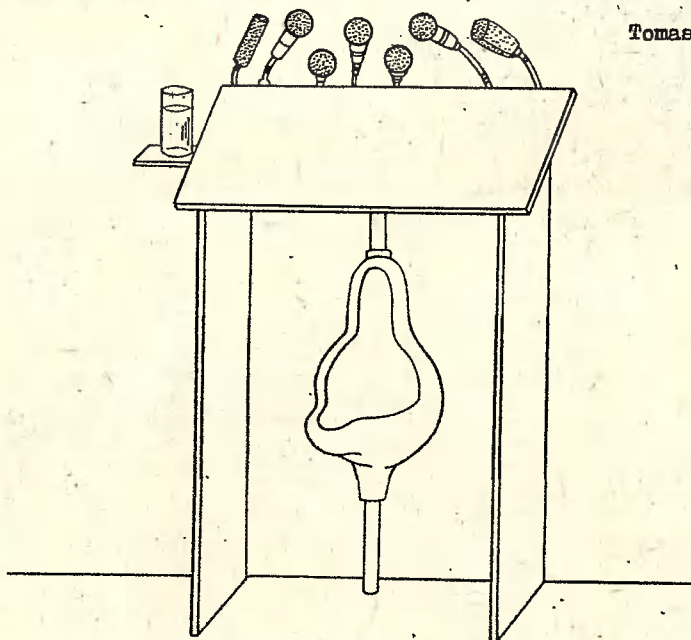
"Powstało w "Solidarności" skrzydło porównywalne tylko z "Grunwaldem" czy "Rzeczywistością". Różnicę widziałem jedną - w stosunku do komunizmu. "Prawdziwi Polacy" z "Solidarności" też reprezentowali ideologię totalitarną, tylko w kolorze innym niż czerwony. Co dziwniejsze /wcale nie tak dziwne, jeśli uważnie przeanalizujemy historię Polski i polski antysemityzm - przyp. aut./, skrzydło to uzyskało duże wpływy wśród robotników."

Wielokrotnie na związkowych zebraniach, w szczególności przy politycznych polemikach, szermowano argumentami antysemickimi w atakach na, przykładowo, korowski odłam opozycji. Pojawiły się nielicencjonowane pisma, choćby to sygnowane przez Niezależną Grupę Polityczną, których żydożerca treść w niczym nie odbiegała od tonu artykułów zamieszczanych w gazetach przedwojennej Falangi, zaś ostrością sformułowań znacznie przewyższa-

za marcowe komentarze pióra Machejka, Kura, Gontarzy czy Ba-
reckiego. Znane jest też wystąpienie Mariana Jurczyka, w
którym atakował Żydów w polskim rządzie. Na dobrą sprawę ka-
żdy z nas, jeżeli uczciwie przyjrzy się swoim znajomym, zna-
jdzie wśród nich mniej lub bardziej zawaalowanych antysemitów,
mimo iż coś, co zostało u nas ochrzczone "problemem ży-
dowskim" już dawno realnie w Polsce nie istnieje, pozostało
zaś tylko w ludzkiej świadomości i kulawej pamięci. Szyder-
cze uwagi, wypowiedziane pod adresem rzecznika rządu, Jerzego
Urbana, w pierwszym rządzie mówią o jego uszach, po wtóre o
żydowskim pochodzeniu, na koniec zaś o tym, iż widzi on po-
lityczny realizm jako konieczność opowiedzenia się po stro-
nie bijących, nigdy zaś bitych.

Na zakrętach naszej narodowej historii z łatwością doszu-
kamy się chwil wzniosłych i pięknych. Pamiętajmy, iż izraels-
kim medalem "Sprawiedliwy wśród narodów świata" uhonorowano
najwięcej Polaków, ludzi niosących nadzieję i wiarę w czło-
wieczeństwo bastialsko mordowanym przez hitlerowców Żydom.
Niestety - a dowódk tego właśnie Marzec '68 - naszej histo-
rii możemy też przypieać myśl autorstwa Ksawerego Pruszyń-
skiego, iż "w Polsce umiejętnie organizowane są tylko nagon-
ki". Warto o tym pamiętać tym bardziej, że dziś, gdy społe-
czność żydowska jako zwarta grupa już wśród nas nie istnieje,
je, obiektem sterowanego ataku w każdej chwili może stać się
każdy z nas - warchołów, ekstremistów, agentów CIA, każdy na-
kogo przodująca siła skieruje swój oskarżycielski palec. I
co zresztą od czasu do czasu, z większym lub mniejszym powo-
dzeniem, robi.

Tomasz Jerz



R. BosBUDOWANIE USTROJU MIEUJACEGO POKÓJ

wódz partii
front jednósci
batalia o chleb
bitwa o jakość
nalot stonki
walka klasowa
atak zimy
okopy kontrrewolucji
natarcie ideowe
rokowania pracow
bój o czytość
dyktatura proletariatu
wojna propagandowa
ofensywa kulturalna
odwrót powodzi
wrogowie mas
takyka partii
armia ludzi pracy
sztab wyborczy
strategiczny cel
obrony zdobyczy
kampania buraczana
szeregi związków zawodowych
przyczółki antykomunizmu
oficerowie produkcji
operacyjne grupy
agresja ideologiczna
obóz socjalistyczny
marsz postępu
odwoły zaangażowania
WOJENNEGO STANU JEZYK SUROWY

SUBWENCJE

Subwencionowanie żywności
subwencionowanie zdrowia
subwencionowanie szkolnictwa
subwencionowanie stanowisk pracy
subwencionowanie komunikacji
subwencionowanie kultury

•
•
•
SUBWENCJONOWANIE CZŁOWIEKA

Marian Garden

Zdjęte krzyże

W Zespole Szkół Odzieżowych nr 2 w Nowej Hucie krzyże zawisły w 1981 roku. Przyniosły je same uczennice. Przed wprowadzeniem krzyża do pokoju nauczycielskiego odbyło się demokratyczne głosowanie. Spośród 70-osobowego grona nauczycielskiego pięć osób wstrzymało się, reszta była za.

Po 13 grudnia władze oświatowe i czynniki polityczne o-rzekły, że krzyże w szkole przeszkadzają. Należy je usunąć - tak powtarzano przy każdej okazji. Na zebraniach Rady Pedagogicznej nauczyciele nie dopuszczali jednak do dyskusji na ten temat. Z powodu krzyży wizytacja frontalna szkoły wypadła tylko na ocenę dostateczną.

W roku szkolnym 1984/85 dyrektorem naczelnym "Odzieżówki" została energiczna, szalenie ambitna, partyjna nauczycielka Ewa Bątkowska. Za punkt honoru wzięła sobie załatwienie kłopotliwej kwestii. Dążenia dyrektorki były zbieżne z oczekiwaniami władz oświatowych.

Dyrektorka zaczęła od przygotowywania gruntu. Podczas weryfikacji nauczycieli, w indywidualnych rozmowach głównym tematem stała się tzw. świeckość szkoły. Były ostrzeżenia, próby nacisku. Jednocześnie do szkoły przyszło kilku nowych nauczycieli - dobieranych już pod kątem światopoglądu. Solidarność grona nauczycielskiego zaczęła się kruszyć.

Zdecydowany atak na krzyże jednak jeszcze nie nastąpi. Trzeba działać delikatnie, bez rozgłosu, zwłaszcza że na jesieni wybory do sejmiku. Pani dyrektor wybiera metodę wypróbowaną w wielu szkołach: m a l o w a n i e. Tuż przed końcem roku oświadcza nauczycielom, że w czasie wakacji wejdą do szkoły malarze.

Zwolennicy krzyży przeczuwają, jaka jest intencja dyrekcji. Przed malowaniem krzyże zostają zapakowane w worki nylonowe i zostawione na ścianach wraz z kartką do malarzy, aby ich nie zdejmowali i uszanowali świętość.

Publikowany tekst otrzymaliśmy od kolegów z Krakowa.
Dziękujemy! /red./

Malowanie przeciągnęło się do pierwszych dni nowego - 1985/86 - roku szkolnego. Dyr. Bątkowska na konto krzyży zdobyła dodatkowe fundusze i udało się pomalować całą szkołę, a nie tylko sale lekcyjne na pietrze. Krzyże, godła narodowe i obrazy zostały ze ścian zdjęte i złożone w szafie, w sekretariacie szkoły.

Malowanie się skończyło, lecz krzyże już nie wrócą na ściany sal lekcyjnych. Nadal pozostaną w szafie.

Z początkiem października 1985 odbywają się zebrania z rodzicami. W kilku klasach upomniano się: a co z naszymi krzyżami? Przecież nawst w Hucie Lenina nikt religijnych symboli nie zdjął, spokojnie wiszą w halach produkcyjnych...

Dyrekcja chce sprawę zbagatelizować, a przede wszystkim odwlec - przecież za kilka dni mają się odbyć wybory do sejmiku. Nie czas na awantury. Rodzice dowiadują się, że trzeba będzie rozstrzygnąć tę kwestię na specjalnych zebraniach.

Samorząd szkolny, bez wiedzy opiekunów, zaczyna zbierać podpisy pod wezwaniem: - Prosimy o zwrot krzyży!

Niemal wszystkie spośród 700 uczennic podpisują. Odmawia niewielka grupka świadków Jehowy. Listy trzyma u siebie przewodnicząca samorządu szkolnego i na razie nie podaje do publicznej wiadomości.

"Afera z listami" wypłynęła na zebraniu trójek klasowych, we czwartek 10 października. Dyrektorka zagadnięta o krzyże przekonywała, że to uczniowie nie życzą sobie, aby wisiały w klasach, bo nie zawsze właściwie i godnie się zachowują w tych pomieszczeniach i ponadto śmieć - a to wobec krzyży nie przystoi.

- Jak to nie chcą? - huknęli rodzice. - Przecież młodzież listy zrobiła!

Zdezorientowana dyrekcja ustala termin ogólnego zebrania rodziców dla omówienia sprawy krzyży. Za tydzień, 17 października.

Od tego dnia zaczyna się urabianie. Zakulisowe gry i podchody. Telefony do dyrekcji i komitetów zakładowych przedsiębiorstw, w których pracują rodzice z trójek klasowych. Ostrzeżenia i groźby. Tylko trójki klasowe są zawiadomione, że termin zebrania zostaje przesunięty na poniedziałek 21 października.

W szkole rezyduje w tych dniach inspektor oświaty i wychowania, Jerzy Szymański. Wzywa na rozmowę samorząd uczniowski: przewodniczącą Anię Świerczek i jej zastępczynię, Anie Szyller i Jolę Pafarę.

- Dziewczynki, jakie macie problemy w samorządzie? - dopytuje się uprzejmie inspektor.

- Problemów nie mamy, jesteśmy w samorządzie od niedawna, dopiero się wciągamy.

- No dobrze, a co wy sądzicie o krzyżach?
- Rzeczywiście - to jest problem...
- Podobno macie jakieś listy?!
- Ja mam, w domu - mówi Ania Świerczek.
- A to co?! Czemu my się dowiadujemy o tym pocztą pantoflową?
- Chciałyśmy wręczyć te listy na zebraniu rodziców...

Wizytator nie wytrzymuje, krzyczy:

- To działalność polityczna! Co one sobie myślą! Czy ta trójka dziewcząt to wymyśliła, czy działa jakaś większa grupa? Zaraz mają mówić, kto nosił listę, kto pierwszy zaczął, w jaki sposób zbierały podpisy itp. A przede wszystkim: kto za tym stoi?

Rozmowa zmienia się w przesłuchanie. Mocno już przestraszone i zdenerwowane dziewczyny tłumaczą, że tak postanowiły na zebraniu samorządu. Postanowiły same. Dwie opiekunki samorządu o listach nic nie wiedziały.

Ania Świerczek ma iść natychmiast do domu i przynieść listy. Co z tego, że ma akurat ważne lekcje? Zostanie z nich zwolniona. Ma natychmiast iść!

W dyrekcji szkoły z niedowierzaniem liczą podpisy. Niemożliwe, żeby tyle dziewcząt mogło podpisać. To na pewno jakaś zorganizowana akcja. Wykluczone, żeby młodzież mogła sama to zrobić. Później władze wycofują się z takich podejrzeń.

Przewodnicząca samorządu domaga się pokwitowania na piśmie ze szczegółowym podaniem ilości list i jak dużo nazwisk jest na każdej.

- Co, nam, pedagogom, nie wierzycie?...

Niechętnie, ale dają wreszcie potwierdzenie odebrania list.

W piątek, 18 października, w trybie nadzwyczajnym zwołana zostaje Rada Pedagogiczna. Nie wszyscy nauczyciele są obecni. Przyszedł natomiast wicekurator Banaś i od razu z góry na nauczycieli. Jakie mieli prawo nie wiedzieć o tych listach?! Co z nich za pedagodzy. W szkole organizuje się tak a sprawa, a oni nic nie wiedzą! W polskich szkołach nie ma miejsca dla krzyży. Szkoła ma być świecka.

Kuratora popiera dwoje młodych nauczycieli: zaciekle ateista, fanatyczny zwolennik PZPR, Andrzej Młynarski oraz założycielka koła przyjaciół PRON, rusycystka Jadwiga Brzóska. Większość nauczycieli milczy. Zdecydowanie polemizują z Banaśchem tylko trzy nauczycielki: Janina Bartusik, Anna Michańków i Zofia Piasecka - była przewodnicząca "Solidarności". Popierają stanowisko uczniów, podnosząc kwestię niewłaściwego postępowania dyrekcji szkoły. To trzeba uzgodnić z uczniami i ich rodzicami.

Owe trzy nauczycielki są przed zebraniem rodziców ostentacyjnie pilnowane przez zaufane osoby pani dyrektor. Żeby, broń Boże, nie rozmawiały tego dnia z uczennicami, żeby nie porozumiewały się ze sobą. Wzywa je również pojedynczo wicekurator Banach. Przy rozmowie zkwieszczo macha arkuszem weryfikacyjnym.

Zofia Piasecka podczas tej rozmowy ostro kontruje Banacha:
- Przecież głęboka wiara Polaków to specjalność, odmiennosc polskiego socjalizmu, dawno zaakceptowana przez partię. Czego pan chce w tej sytuacji? Po co ta sprawa z krzyżami? Komu one szkoda?!

Annę Michańków wicekurator pyta:

- Czy krzyże - pani zdaniem - powinny być w szkole?

- Tak. O tym mają zdecydować rodzice, a o krzyżu w pokoju nauczycielskim sami pedagodzy. Tak, jak to się odbyło w 1981 roku - w demokratycznym głosowaniu.

- O! Z takimi poglądami, to ja nie widzę pani w tej szkole...

- Czy to znaczy, że mam być w najbliższym czasie zwolniona?

- Ale skąd, ja tego nie powiedziałem - kończy rozmowę wicekurator.

Nauczycielki te będą potem wzywane przed oblicze samego kursora Noworyty, przekonywane i straszone. Nagle z ich teczek osobowych zaczną ginać pozytywne opinie, a na lekcjach bardzo często będą pojawiały się kontrole, wizytacje, hospitaacje...

Kuratorium i dyrekcja szkoły przygotowują się do poniedziałkowego zebrania metodycznie. Sytuację ułatwia im fakt, że Zespół Szkół Odzieżowych gromadzi uczennice z całego Krakowa, a także z sąsiednich miejscowości. Rodzice nie znają się ze sobą. To utrudnia lub wręcz uniemożliwia porozumienie się, przedyskutowanie wspólnego stanowiska. W podstawówkach nowohuckich, gdzie uczą się dzieci z jednego osiedla, nikt nie ośmiela się ruszyć krzyży - wiszą do dziś.

Dyrekcja stara się, aby wiadomość o zebraniu przybrała jak najmniejszy zasięg. Nie pozwala na ogłoszenie terminu na tablicy samorządu uczniowskiego. Prowadzone są za to rozmowy z rodzicami należącymi do partii, członkami ORMO i innymi funkcyjnymi. Są oni gorąco zapraszani na zebranie. Do akcji wyszukiwania "swoich" ludzi włącza się Komitet Dzielnicowy PZPR.

Kościół zachowuje dyplomatyczny dystans. Tylko w niedzielę, podczas mszy w "Arce", ksiądz wspomina, że dopominanie się krzyży w szkołach nie jest sprawą polityczną i nie należy się obawiać represji.

Władze za wszelką cenę nie chcą mieć drugiej Włoszczowej. W dniu zebrania dyr. Bątkowska wraz z którymś z nauczycieli zanośsi krzyże do kościoła. Wcześniej ładnie je zapakuje w biały papier, przewiąże wstążeczką, doda nawet do tego kwiatek. Zaskoczony ksiądz przyjmuje protokolarnie ów dziwny pakunek.

Pani dyrektor oddycha z ulgą. Gdy rodzice przyjdą na zebranie, już przynajmniej krzyży nie będzie na terenie szkoły. Resztę jakoś się zamataczy. Przyjdą jej przecież z pomocą liczne i autorytatywne władze.

Tymczasem o godzinie 16.45, na kwadrans przed terminem zebrania, pojawia się w szkole proboszcz kościoła "Arka" Pana wraz z drugim księdzem. Dyrektorka błędnie, kurator Banach mocno zdenerwowany. Ci księża gotowi popsuć im plany.

Duchowni oddają paczkę z krzyżami. Nie mogą ich przyjąć, bo to byłoby świętokradztwo: te krzyże należą do rodziców uczennic i tylko oni, z własnej woli, mogą je zwrócić do kościoła. Nikt inny.

Dyr. Bątkowska i wicekurator Banach nie znajdują argumentów. Krzyże przyjmują z powrotem. Były tylko księża jak najszybciej opuścili budynek.

Przed szkołą zebrało się wielu rodziców. Dyżurni nauczyciele otrzymują polecenie, aby wpuścić jedynie trójki klasowe. Ludzie szumią, więc następuje zmiana decyzji. Mogą wejść także inni rodzice, ale wyłącznie za okazaniem dowodów osobistych i po wpisaniu na specjalną listę.

Nie każdy dowód osobisty miał przy sobie, a niektórzy po prostu zaczęli się bać. Po co mają być gdzieś zanotowani. Zwłaszcza, że cały czas przed szkołą dyżuruje milicyjny wóz. Wielu rodziców odchodzi. Dają miejsce tym, których uprzednio zaprosiła dyrekcja.

Na sali jest około 50 osób. Przybył kurator Noworyta, wicekurator Banach, naczelnik dzielnicy Zaręba oraz urzędnik wydziału ds. wyznań, Lorenc. Przy telefonie - zdając komus meldunki - cały czas dyżuruje inspektor Szymański.

Mówią najpierw rodzice. Zdecydowana większość jest za pozostawieniem krzyży w szkole. Mniej liczna grupa jest przeciwnego zdania.

Władza pozwala ludziom wygadać się. Władza czeka. Ostatnie zdanie i tak ma do niej należeć. Tak sobie przed zebraniem ustalili. Już orientują się, że rodzice nie mają jakiegoś lidera, że nie tworzą jednolitej grupy. Na szczęście też tak mało osób znajduje się na sali. A uczennice? Uczennic w ogóle nie zaproszono na zebranie. Nawet przedstawicielka samorządu uczniowskiego. Smarkacze głosu nie mają!

- Po rodzicach mówią nauczyciele wytypowani przez dyrekcję. Potem kurator Noworyta rozpytywa się, jaka to władza jest dobra dla Kościoła.

Wicekurator Banach uderza mocniej: - Jak się komus nie podoba, nie musi chodzić do tej szkoły. Mogą zabrać swoje córki. Są przecież szkoły wyznaniowe! Ale czy wszystkich ro-

dziców będzie na nie stać? Tam się drogo płaci za naukę!

Naczelnik dzielnicy ma do sprawy stosunek ojcowski, zasadniczy. Dość już burzenia, potrzeba nam wszystkim spokoju, trzeba się zabrać do pracy, tyle ważnych problemów ma nasz kraj...

Przedstawiciel wydziału ds. wyznań formułuje fachową opinię: szkoła jest i będzie świecka - bez krzyży. Żadnych ustaleń w tej kwestii władza z Kościołem nie czyniła.

Finał jest jednoznaczny. Rodzice już nie będą dopuszczeni do głosu. Przedstawiciele władzy oświadczają, że kwestia nie podlega dyskusji - plebiscytu na temat krzyży nie będzie! W Zespole Szkół Odzieżowych nr 2 w Nowej Hucie nie ma miejsca dla "religijnych emblematów", znaczy krzyży.

Nikt nie ma odwagi zaprotestować...

Następnego dnia odbędzie się Rada Pedagogiczna. Dyr. Bątkowska informuje o przebiegu zebrania z rodzicami: - Nie było jednności w opiniach rodziców, więc krzyży nie można powiesić.

Taka jest interpretacja pani dyrektor.

Konkretne polecenia wyda nauczycielom inspektor Szymański. Nauczyciele muszą się jednoznacznie opowiedzieć podczas specjalnych lekcji wychowawczych, których tematem będzie świeckość szkoły. Takie wykłady odbędą się w każdej klasie. Obowiązkowo. Za wszelką cenę mają uspokoić młodzież. Te lekcje o świeckości szkoły będą hospitowane.

- Wszystko jasne? Są uwagi?... Co ma oznaczać to milczenie grona pedagogicznego?... A tak, rozumiem - wszyscy akceptują! - W ten sposób zamyka kwestię inspektor Szymański.

Głos zabierze tylko jedna, starsza już nauczycielka, Maria Czyszczoń. Mówi, że jest katoliczką i nie wyobraża sobie lekcji nakazanych przez inspektora Szymańskiego. Byłoby to wbrew jej przekonaniom i uczyło młodzież dwulicowości: przecież w każdą niedzielę uczennice widzą ją w kościele!

Lekcje o świeckości odbyły się jednak. Nauczyciele wywalczyli tylko, żeby nie były hospitowane. Lekcje te wyglądały różnie - w zależności od postawy nauczycieli. Dyskusji żadnej nie było. Uczennice pospuszczały głowy. Nic nie mówiły. A co myślały...

Na zebraniu samorządu stwierdziły oficjalnie, że są za świeckością szkoły. Tak wypadało stwierdzić. Tego domagała się od nich dyrektorka.

Następnego dnia dziewczyny przyszły do szkoły ze skórzanymi "oazowymi" krzyżykami. I znów nic nie mówiły. Po prostu zaczęły nosić osobiste krzyżyki do szkoły. Nic więcej.

Było kilka klas, w których wszystkie nosiły krzyżyki. W pozostałych klasach tylko po kilka.

Niemal wszystkie poszły też na mszę do "Arki", gdzie na widocznym miejscu umieszczone zostały krzyże zdjęte ze ścian ich szkoły. 10 listopada odbyła się w "Arce" msza ekspiacyjna. Władze oświatowe ogłosiły w tym dniu stan gotowości. W Zespole Szkół Odzieżowych nr 2 nauczyciele i jacyś cywile pełnili dyżury. Władze obawiały się, że uczennice gotowe są demonstracyjnie zanieść krzyże z kościoła do szkoły. Nic takiego nie nastąpiło.

Dziewczeta nadal wyrażały swe zdanie w jeden tylko sposób. Przychodziły do szkoły z własnymi krzyżykami. Nosiły je na widocznym miejscu: zawieszona na szyi lub przypięte do ubrania. Nosiły je przez wiele miesięcy. Może noszą jeszcze do dzisiaj...

Marian Garden

P.S. "Wszystkiemu winni są nauczyciele". Tak orzekły władze oświatowe i postanowiły pedagogów z "Odzieżówki" wychować. Założono Koło Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, wzrosły szeregi ZNP. Nauczyciele przycichli, spokojnieli. Na posiedzeniach Rady Pedagogicznej nikt nie zgłasza sprzeciwów. Tylko krzyż z pokoju nauczycielskiego co miesiąc jest w innym nauczycielskim domu. Naturalnie przekazywany w sposób bardzo dyskretny.

Józef Kuśmierek

Suwerenność i ... kartofle

Czekamy więc na finał incydentu siedleckiego, jakim będzie werdykt Trybunału Konstytucyjnego.

Oczywiście, gdyby chodziło o cud w Nowym Dworze, albo pojawienie się Matki Boskiej na działkach w Oławie, albo o jakiegokolwiek inne cudowne zdarzenie, wszyscy byśmy wiedzieli o co chodzi, czym jest i czym mogłoby się stać "incydent siedlecki". Nie o cud tu jednak chodzi, więc muszę parę szczegółów wyjaśnić.

Incydent siedlecki polega na tym, że nie mała, bo licząca ponad sto osób grupa rolników, nie znajdująca zbytu na swe produkty rolne, w tym konkretnie wypadku kartofle, postanowiła zorganizować spółdzielnię przetwarzającą te kartofle na produkt rynkowy. Postanowiła tę swoją spółdzielnię, a raczej zamiar jej założenia, zalegalizować w sądzie.

Sąd PRL, działając w ochronie monopolistycznych interesów organizacji skupu, przetwórstwa i dystrybucji artykułów rolnych, odmówił rejestracji. Oto w wielkim skrócie istota incydentu siedleckiego.

Czy cała? Władza wie doskonale, iż swoimi monopolistycznymi strukturami zaopatrzenia i zbytu mocniej trzyma za mordę całe społeczeństwo, niż by to mógł uczynić najsprawniejszy aparat terroru i policji.

Sąd, broniący interesów władzy, odrzucił wniosek siedleckich chłopów.

Cały ten incydent rozgrywa się przy zupełnie biernej postawie siedleckich konsumentów, a także i konsumentów stołecznych, jako że ziemia siedlecka jest najbliższym rejonem zaopatrzenia Warszawy w kartofle.

W czasach przedgierkowskich państwowy monopol na skup podlaskich kartofli łamany był setkami i tysiącami chłopskich furmanek, sunącymi każdej jesieni wszystkimi drogami w kierunku Warszawy. Kto pamięta te czasy, kto z warszawiaków wie, skąd się biorą kartofle, ten pamiętać musi na ulicach Warszawy te charakterystyczne podlaskie zaprzęgi konne "z hołoblami", zamiast klasycznego mazowieckiego chomąta.

Za Gierka, po podziale administracyjnym, kiedy to Siedlce i Podlasie "odpadły" od województwa stołecznego, ruch furmanek z kartoflami powoli zamierał. Ekipa Gierka przyzwyczała konsumentów Siedlec, iż państwo "daje" kartofle, a w jaki to sposób robi, to konsumenta nic a nic nie obchodziło.

Na każde województwo Gierka nałożył kontyngent skupu i każde województwo pilnowało, aby produktów rolnych nie przemycano do województw sąsiednich.

Pierwszym wojewodą siedleckim był były ambasador PRL w Indiach, nazwiska nie pamiętam^{x/}. Nie znał się ani na kartoflach, ani na skupie. Miał za to dynamicznego, znającego się na rzeczy wicewojewodę. Był to chłop spod Łowicza o nazwisku Gnat - imienia też już nie pamiętam. Jak każdy renegat wleździł on dobrze, jak uderzył w swoich współbraci-chłopów. Na szosach, wiodących z Podlasia ku stolicy, ustawił znak "zakazu wjazdu" pojazdów konnych, a gdy wieś zaczęła się traktoryzować, uzupełnił to znakiem zakazu wjazdu traktorem. Stołeczne województwo, którego granice kończyły się teraz tuż za Starą Miłosną i Rembertowem, zostało odcięte od swojego kartoflanego, podlaskiego zagłębia.

Chłop podlaski stracił swój naturalny, stołeczny rynek zbytu. Za czasów Gierka obydwie te zjawiska były groźne, ale nie zabójcze. Państwo, dzierżąc aparat skupu i zbytu ziemniaków,

x/
Chodzi o Wiktora Kineckiego, b. naczelnika ZHP i późniejszego ambasadora PRL w Jugosławii i w Indiach. /red./

dzierżyło jednocześnie państwowy monopol spirytusowy, który za czasów Gierka wspaniale rozkwitł. Wysyłaliśmy wódkę do Meksyku i do ZSRR, sami piliśmy niemało. Państwo dbało o rynek producenta, płacąc mało za kartofle, ale za to skupując wszystko.

Gdzieś od 1978 roku coś się zaczęło psuć w tej kartoflanej idei. Coraz częściej rolnik na punktach skupu musiał płacić zapówki, aby państwo nabyło od niego kartofle. Teraz i to się skończyło. Od chłopca nikt kartofli nie chce kupować. Ograniczenia z węglem i brak koncentratów paszowych doprowadziły do sytuacji, w której nie opłaca się kartoflany tucz świń. Chłop nie ma co robić z kartoflami, nie ma co robić z wyprodukowanym przez siebie t o w a r e m. Taka jest prawda.

Słabość narodu polega nie tylko na niedostatkach w uprzemysłowieniu, w uzbrojeniu armii, w złej infrastrukturze dróg bitych i kolei żelaznej. Słabość narodu w tym jest najgroźniejsza, iż jego obywatele nie zdają sobie sprawy z tej słabości, ani ze stopnia zagrożenia, jaką ona ze sobą niesie. A my nie zdajemy sobie sprawy z naszych słabości.

Produkcja żywności w Polsce opiera się na zasadach wolnorynkowych. Trudno mi tłumaczyć młodemu, czy w średnim wieku, roboto-mieszczuchowi co to są zasady "wolnorynkowe", ale niech popyta się starszych, to mu wyjaśnią.

Wszystkie instytucje obsługujące rolnictwo i stykające się z rolnictwem m u s z ą dostosować się do tej wolnorynkowej gry, na jakiej opiera się produkcja rolna. Rolnik musi mieć możliwość wyboru zbytu swoich produktów rolnych, albo sam sobie stwarzać możliwości wyboru... uprawy ziemi. Walka o to prawo wyboru, to nie incydent.

Władzy być może zależy, by incydent siedlecki trafił na wokandę najwyższych trybunałów. Jest to najprostszy sposób, by zamulić tę wokandę sprawami /z pozoru/ błahymi, sprawami lokalnymi. Z drugiej zaś strony, zamulić świadomość społeczną pozorną miękkością tych spraw, ona da się łatwo wywieść w pole, bo jest przyzwyczajona do lekkiego życia. Państwo jest generalnym dostawcą... kartofli.

Incydent siedlecki!

Gdyby do sądów wpłynęło j e d n o c z e ś n i e 500 takich wniosków, gdyby w naszych gminach, zawałonych niezwykłymi płodami rolnymi, powstało tysiąc takich inicjatyw, nie mielibyśmy do czynienia z "siedleckim incydem", a z olbrzymim ruchem społecznym, któremu żadne, najbardziej totalne i monopolistycznie nastawione państwo nie dałoby rady. Rolnictwo musi szukać rynków czy sposobów zbytu i zagospodarowania swoich produktów.

Incydent siedlecki to coś więcej niż konflikt między sądowno-partyjną nomenklaturą Siedlec, a grupą siedleckich chłopów i ich interesami gospodarczymi.

Przy całym celebrowaniu prawa, konstytucji i teoretycznej niezawisłości sądów obowiązuje w Polsce kilka "ukazów", zawieszających na kołku wszystkie przywileje tej demokracji z urzędu.

Istnieje w Polsce taki mały, maleńki, mało ważny "ukaz" - dlatego łatwo go przeoczyć - iż każda nowo zakładana spółdzielnia musi się zarejestrować w Centralnym Związku Spółdzielni, uzyskać zgodę na swoją działalność, a potem dopiero dopełnić reszty formalności konstytucyjnych i prawnych. Taki Związek stoi ponad sądami, radami wojewódzkimi, ponad administracją terenową. Nie ma miejsca na pluralizm w spółdzielczości!!!

Jeżeli w naszym scentralizowanym kraju mogą istnieć związki zawodowe, a nawet federacje, "niezrzeszone" w OPZZ, jeżeli nawet mogą istnieć i tworzyć literaci nie należący do Związku Literatów, to może przecież istnieć chłopska spółdzielnia przetwórstwa kartofli, niezależna od Centralnego Związku Spółdzielni.

Gdyby Rada Narodowa województwa siedleckiego miała tyle odwagi, co Rada we Wrocławiu i upomniała się przed Trybunałem Konstytucyjnym o swoje prawa do decydowania o lokalnych sprawach gospodarczych, to musiałaby taki proces wygrać, tak jak swój precedensowy proces w sprawie sprzedanych mieszkań wygrał Wrocław.

Rolników wciągniętych w incydent siedlecki zgubiła pozorna zaściankowość tej lokalnej sprawy i parafianśczyzna argumentów w jej obronie.

"Na sprawę trzeba spojrzeć szerzej" - jak to mówi Jerzy Urban. Polska została przyjęta do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, którego głównym zadaniem jest nie dawanie pieniędzy rządowi, a popieranie wszelkich inicjatyw gospodarczych kraju. Rząd, który walczy z dyskryminacyjnymi zarządzeniami Reagana, nie może dyskryminować inicjatyw gospodarczych Podlasia.

Gdyby społeczeństwo nasze zdawało sobie sprawę z ważności tych spraw i udzielało im chociaż trochę zainteresowania, to nie wiem, czy na 500 takich wniosków do pięciuset sądów 50, a może i więcej, by nie "przeszło", jak to się popularnie mówi. Byłby to sukces zdrowego rozsądku, sukces interesów społecznych, zwycięstwo nad zmurszałymi i przeżartymi korupcją strukturami monopolistycznymi, jakie opanowały dwie najważniejsze dziedziiny życia - zaopatrzenie w żywność i dotarcie z usługami do producenta żywności. Nie ma dziś w Polsce spraw ważniejszych.

Ostrzegano mnie, bym nie posługiwał się cytatami, które jakoby osłabiają argumentację. Niestety, obojętność polskiej inteligencji i mieszczaństwa dla spraw i problemów popularnie nazywanych sprawami chłopskimi, jest starsza w naszym społeczeństwie od realnego socjalizmu.

Bolesław Prus pisał 22 lutego 1885 r. w jednej ze swoich "Kronik": "Musimy dziś walczyć z zaspami obojętności /.../ Francuzi przegrali wojnę /oczywiście tę w 1870 roku/ podobno z braku map. My bankrutujemy z powodu niezajomości tego, co się u nas dzieje. Czas otrząsnąć się z tej choroby i - z a m i a s t w i e c z n i e s t a w i a ć ż ą d a n i a /podkr. J.K./, których wiecznie ktoś nie uwzględnia, odpowiadać po prostu na punkta zawarte w kwestionariuszach.

Z tych odpowiedzi wypłył obraz położenia kraju: jego bogactw, jego potrzeb, jego błędów, jakie popełnił. Te zaś wiadomości /.../ zażegnają niejedne niebezpieczeństwo".

Trzeba wyjaśnić, że Prus pisał o inicjatywie - powstałego rok wcześniej - Towarzystwa Popierania Przemysłu, które rozesałało siedem tysięcy kwestionariuszy do "liczących się" obywateli byłego Królestwa Kongresowego. Ankietowani mieli się wypowiedzieć na temat sytuacji gospodarczej w swoich powiatach, miastach, najbliższej okolicy. "A jak się wobec tego zachowała inteligencja kraju?" - zapytuje Bolesław Prus i odpowiada sam sobie: "Odesłano zaledwie 34 ankiety".

My bankrutujemy z powodu niezajomości tego, co się u nas dzieje - powtórzmy za Bolesławem Prusem dokładnie w 102 lata później. Nasze głupkowane "jakoś to będzie", nasza ignorancja, która umiła nam chwilę bieżącą, jest przerażająca, gdy chodzi o przyszłość, pozwala manipulować naszym nieświadomym społeczeństwem każdemu tak, jak mu jest wygodnie. Czy kogoś w Polsce interesuje, skąd biorą się kartofle i w jaki sposób trafiają na nasz talerz? Bocian je przynosi!

Przykład ignorancji mieliśmy przy "incydencie" z Fundacją Rolną. Rzecznicy strony kościelnej, tak jak i rzecznicy strony rządowej, byli idealnie niedoinformowani o aktualnej sytuacji naszego rolnictwa, o jego potrzebach na dziś i perspektywach na jutro. O ile niedoinformowanie strony rządowej jest wynikiem polityki systemu, to ignorancja strony kościelnej jest czymś więcej niż błędem, jest symptomem śmiertelnej choroby.

Trudno, czy hierarchia kościelna chce czy nie chce, czy się przed tym broni, czy się stara tego nie zauważyć, w kościołach schroniły się ostatnie nadzieje społeczeństwa na sprostanie wezwaniom współczesności. Wszystkie nasze oficjalne organizacje, jak Akademia Nauk, Naczelna Organizacja Techniczna i inne zawiody nas totalnie.

Kościół, jako instytucja, mógł zebrać informacje o sytuacji w kraju, opracować je i rzucić na stół konferencyjny jako argument nie do odparcia. Nie do odparcia, bo byłaby to jedyna wiarygodna informacja, wokół której mogłyby się toczyć realne pertraktacje, a nie majaczenia równorzędnych sobie ignorantów.

Słyszałem już głosy, aby nie wracać do tego, co się nie udało Bolesławowi Prusowi przed stu laty.

Przed stu laty problemem numer jeden ziem byłego Królestwa Kongresowego było - jak pokonać bariery celne, by wyeksportować nadwyżki produktów rolnych na Zachód. Dziś problemem jest od kogo wyłudzić kredyty, by kupić na Zachodzie zboże i mięso.

Trzeba wysłać w kraj kilkaset 3-4-osobowych grup, wysłać do gmin, do wsi - niech "przeankietują", co na tej wsi należy zrobić n a t y c h m i a s t, co jest możliwe do osiągnięcia d z i ś, jakim sposobem, przy jakiej pomocy i poparciu.

My bankrutujemy z powodu nieznamości tego, co się u nas dzieje - krzyczał Bolesław Prus.

Naszyc współczesnych informacji o położeniu wsi nie można opierać na plotkach i "wnikliwych spostrzeżeniach", przywożonych ze wsi z okazji zbierania grzybów. Nie można opierać nadziei na poprawę w rolnictwie na spostrzeżeniach urlopowych czy informacjach zbieranych w ogonkach po mięso.

Może te kilkaset grup ludzi nie zaślepionych, "nie nawiedzonych", z zapasem inwencji w szarych komórkach mózgu, będzie załączkiem kilkuset takich inicjatyw, jaką samotnie - a przez to z góry skazując się na niepowodzenie - podjęła grupa chłopów siedliskich.

Wiem, co sądzą nasi wspaniali intelektualiści-opiniotwórcy: "najpierw zdobyć wolność, suwerenność, a potem organizować racjonalny skup i przetwórstwo kartofli". Wiem, co głoszą prorocy opozycji: "najpierw przypieprzyć komuchowi tak, żeby się przewrócił, a potem wszystko samo się ułoży".

Ale wiem też swoje - rolnik po to sadi wiosną kartofle, po to je pielęgnuje, walczy ze stonką, by je na jesieni zbierać, sprzedać i przetrwać do następnej wiosny, kiedy znów trzeba będzie sadzić, pielęgnować... Gdy to ciasne kółko ścisłych zależności pęknie w którymś miejscu, nie będziemy mieli czasu ani na reformy systemowe, ani sił na niezależność.

I na zakończenie jedno osobiste wyznanie. Tych informacji nie dostarczy Wam jeden stary, schorowany i zmęczony życiem reporter. Nie dostarczy chociażby z tego powodu, iż jest po cichu bojkotowany przez wszystkich tych, którym wygodniejsze jest twierdzenie: "Kuśmierek przesadza". Bojkotowany jest przede wszystkim przez to, iż przed takimi hasłami, jak "wolność", "suwerenność", walczy o realizację tak przyziemnych spraw, jak skup kartofli. Kartofle to nie problem dla naszych intelektualistów.

Józef Kuśmierek

Poniższy tekst napisany został po jesie-
nnym impasie negocjacji państwo-Kościół
w sprawie Fundacji Rolniczej. Dziś wisie
wskazuje na to, że sprawa ta znów będzie
aktualna, jako że z rozmaitych przeciw-
ków wynika, że była ona jednym z tematów
rozmów Jana Pawła II z Jaruzelskim, pod-
czas jego styczniowej wizyty w Rzymie.
Niezależnie od tego, jak się ostatecznie
zakończy ta sprawa, wszystkie zasadnicze
tezy publikowanego przez nas artykułu
pozostają jak najbardziej aktualne.

/red./

Marian Świątlik

O czym wiadomo na pewno

Komunikat Sekretariatu Prymasa Polski o zaniechaniu dzia-
łań na rzecz Fundacji Rolniczej oficjalne środki masowego
przekazu zbyły szyderstwami w stylu Urbala-Rema. W odpowie-
dzi "Przegląd Katolicki" nr 40/120/ zrekapitulował czterole-
tni przebieg rozmów Komitetu Organizacyjnego Fundacji z
przedstawicielami rządu, z którego ewidentnie wynika, że
władze od początku nie przejawiały dobrej woli wobec repre-
zentowanej przez Komitet inicjatywy i uporczywie zmierzały
do podporządkowania jej ewentualnej działalności swojemu dy-
ktatowi, czyli do zaprzeczenia autonomii, głównej idei Fun-
dacji. O osobliwej taktyce wobec Fundacji i szczególnie jas-
krawych wymuszeniach władz donosiły też opozycyjne wydawnic-
twa i polskojęzyczne, zagraniczne rozgłoszenie radiowe. Te os-
tatnie informacje o komunikacie kościelnym opatrywały różne-
go rodzaju interpretacjami, spekulacjami dotyczącymi stanu
stosunków wzajemnych Kościół-państwo i niekiedy uciekały się
do przypuszczeń, jakoby rezygnacja Episkopatu z Fundacji by-
ła ceną za "akt łaski" władzy z 11 września lub za różne ko-
ncesje na rzecz Kościoła.

Co prawda, kościelne i opozycyjne wyjaśnienia dowiodły
niezłicie pozaekonomicznych i pozaspołecznych, a więc wybit-
nie politycznych motywów sprowokowanego z 3 września komuni-
katu, to jednak rozpatrywały go jako ważne, ale tylko kolej-

^x/ Tekst drukujemy bez wiedzy i zgody Autora. /red./

na zdarzenie w rozwoju stosunków Kościoła z państwem.

Tymczasem data "3 września '86" jest przełomowa dla kształtowania świadomości społecznej co do losu, jaki rodzimej gospodarce rolnej gotuje real socjalizm. Fiasko Fundacji położyło kres utrzymującym się złudzeniom o możliwościach samorządowego rozwoju gospodarki rolnej i samostanowienia wsi pod panującym nam miłościwie systemem władzy. Ponowione po Sierpniu przez partię zapewnienia o zarzuceniu "raz na zawsze" tradycyjnej polityki "błędów i wypaczeń" wobec rodzimej gospodarki rolnej i społeczności wsi straciły wiarygodność. W dobie zagrożenia bytu i rozwoju narodu jałowe okazują się też proponowane przez różne kręgi społeczne, w tym również przez ludzi nauki, pragmatyczne - alternatywne strategie przemian na wsi i w rolnictwie. "3 września" ugruntował w społeczeństwie przekonanie, że partia-państwo traktuje wieś i rolnictwo jako swój wyłączny folwark. Tego faktu nie przesłoni konstytucyjny frazes o trwałości chłopskiej gospodarki rodzinnej.

Wobec tego należy sobie bardziej wnikliwie zdać sprawę, co ta sytuacja wnosi do współczesności i przyszłości wsi i rolnictwa kraju? Uświadomić sobie to, o czym wiadomo na pewno. Otóż odrzucenie inicjatywy udziału społeczności katolickiej w odbudowie gospodarki chłopskiej oznacza, że:

1. O "pryncypiach" globalnej polityki wobec rolnictwa i wsi rozstrzygać będzie nadal tylko kierownictwo PZPR /w oficjalnych dokumentach programowych, w tzw. wytycznych polityki rolnej dodaje się: "i sojusznicze ZSL", chyba gwoli wywołania wesołości!/.

Tak więc program socjalistycznej przebudowy wsi i rolnictwa będzie formować i realizować ta "siła społeczno-polityczna", która ponosi pełną odpowiedzialność za najbardziej w Europie zacofany stan organizacyjny rolnictwa /rozdrobnienie gospodarstw, szachownica gruntów, zamrożenie sytuacji ludności dwuzawodowej, dysproporcje w zasobach siły roboczej, niska podaż materiałów inwestycyjnych, niedobory maszyn i narzędzi rolniczych, deficyty energetyczne, braki środków produkcji/ oraz zaniedbane zaplecze produkcyjne i ogólnocywilizacyjne wsi.

By oszczędzić miejsca na przytoczenie co ważniejszych upośledzeń produkcyjno-usługowych gospodarki rolnej i wsi, wystarczy przypomnieć zamierzone przez Fundację tzw. pilotowe programy działalności, znane pod hasłami: "mleko", "woda", "warsztaty naprawcze", "opony", "przetwórnictwo", "usługi polowe", "budownictwo", "ciągniki i maszyny", "chemia", "dostawy rynkowe". Równie fatalnie jest jeśli chodzi o infrastrukturę socjalną, oświatową, kulturalną itp.

Tak więc o "rozwoju" rolnictwa i "postępie" cywilizacyjnym wsi decydować będą nadal ci, którzy dowiedli w praktyce swej kompletnej ignorancji ekonomicznej, braku poczucia odpowiedzialności, sprawcy bezprzykładnego we współczesnej Europie zastojów społeczno-gospodarczego i cywilizacyjnego kraju.

2. Prawidłowością procesu socjalistycznej przebudowy rolnictwa pozostaje nadal ustanowienie społecznej własności środków produkcji.

Komuniści uznają ją za "podstawę podstaw rozwoju rolnictwa i powstania nowego społeczeństwa wiejskiego. Sprawa ta nigdy nie była kwestią sporów /w partiach komunistycznych - przyp. aut./.. Społeczna własność stanowi bowiem istotę przekształceń ustrojowych i bez niej nie ma socjalizmu na wsi.
/1/

A więc postanowienie wprowadzenia społecznej własności środków produkcji w rolnictwie zostało powzięte "z góry" jako akt polityczny, dla samej zasady, bez liczenia się z racjami ekonomicznymi i psychospołecznymi.

Kolektywizacja w ZSRR i w krajach dominacji sowieckiej dokonana została, z wyjątkiem Polski, metodami terrorystycznymi. W żargonie partyjnym nazywa się ją "forsowną" lub "przyspieszoną". Jest przerażające i groźne, że jeszcze dziś ten największy i najbardziej krwawy w historii gwałt na chłopach usprawiedliwia się przyczynami obiektywnymi:

"Historiografia radziecka stoi dziś na stanowisku, iż szybkie tempo kolektywizacji w Związku Radzieckim wynikało z konkretnej sytuacji politycznej, w jakiej na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych znalazł się Kraj Rad. Wymienia się zwłaszcza realne zagrożenie ze strony zagranicy i konieczność szybkiej politycznej konsolidacji społeczeństwa /! - wykrz. aut./, wewnętrzne trudności gospodarcze, a zwłaszcza nierozwiązany problem zbożowy, bierny opór kułactwa i inne. Były to przyczyny na tyle istotne, iż uzasadniały przebudowę rolnictwa w historycznie krótkim okresie." /2/

To naprawdę przerażające!

W Polsce frontalne natarcie PZPR na rolnictwo i wieś nie powiodło się. Mimo rozpętanej do granic histerii "zaostrzającej się" walki klasowej, chłopci przeciwstawili atakowi partii bierny ale skuteczny opór. Partia nie znalazła sojuszników na wsi, klasa chłopska okazała się solidarna. O chłopskim zwycięstwie w Polsce przesądziły: bogatszy niż gdzie indziej dorobek i wyższy poziom aspiracji społeczno-politycznych ruchu ludowego, szczególnie umocnione podczas wojny poczucie tożsamości społecznej i narodowej /BCh/, a także moralne wsparcie Kościoła katolickiego, udzielone chłopstwu.

Jeśli zaś chodzi o rzeczywistą treść słów "społeczna własność", to dziś, po ponad 40 latach jej wdrażania i funkcyjowania, robotnicy i chłopci znoszą ją jako własność ideokratycznej biurokracji.

Ustanowienie społecznej własności środków produkcji w rolnictwie pozostało naczelną normą partii-państwa również w popaździernikowej "polskiej drodze do socjalizmu". Potrzeby wyżywienia kraju podyktowały pilne podniesienie produktywności gospodarstw chłopskich. Żądaniu temu służyć miało przywrócenie mechanizmów ekonomicznych kierowania produkcją gospodarstw chłopskich, czyli gospodarki rynkowej. Praktyka rychno dowiodła jednak, że dyrektywy ekspansji sektora "społecznego" w drodze przejmowania ziemi chłopskiej przez PGR-y, SKR-y czy spółdzielnie produkcyjne, nie można było

podzielić z wymaganiami jednoczesnej intensyfikacji produkcji rolnej w gospodarstwach chłopskich. Zwyciężyła oczywiście naczelna dyrektywa ekspansji sektora państwowego. I realizacji tej właśnie dyrektywy - przyspieszenia pegeeryzacji, podporządkowane zostało manipulowanie takimi instrumentami polityki rolnej, jak ceny /skupu, zaopatrzenia i usług produkcyjnych/, kredyty, obciążenia finansowe, kontrakty produkcyjne, obrót ziemią itp. W rezultacie "uspołecznia" się chłopskie "pustki". A przecież chłopci misli wchodzić do socjalistycznych form gospodarowania z "rozwinętymi sztandarami".

Globalnej polityce /ekonomicznej, społecznej, kulturalnej/ państwa, dyskryminującej gospodarstwa rodzinne, nie mogły /nie miały tej intencji/ przeciwstawić się reaktywowane po Październiku zrzeszenia chłopskie: kółka rolnicze, spółdzielnie, związki branżowe itp. zrzeszenia, ogólnie uformowane i sterowane przez aparat biurokratyczny. Na rolnictwo i wieś nałożono bowiem rozbudowaną do imponujących rozmiarów sieć różnych form spółdzielczych i społecznych, ale wraz z fikcją! /Analogiczne zjawiska występują - wydaje się, że w jeszcze ostrzejszym stopniu - w środowiskach miejsko-robotniczych: maksymalizowanie centralizacji i gigantomania obiektów przemysłowych skutecznie minimalizują aktywność i wydajność pracy zatrudnionych./

Pozbawienie lokalnych środowisk wiejskich własnych instytucji zbiorowej aktywności, wrznięcie chłopów w system powszechnego upaństwowienia, wprawiły część ludności wiejskiej w stan frustracji, zubożenia i bierności wobec swojej przyśkości.

Fatalistyczny klimat braku perspektyw gospodarstwa rodzinnego, rodziny chłopskiej i społeczności wiejskiej, usiłuje ugruntować w nauce i publicystyce, zwłaszcza wśród inteligencji związanej ze wsią i rolnictwem, jeden z nurtów socjologii wsi i rolnictwa, rozwijany w kręgach "ludowcowych". Według tejże interpretacji "dysparytetowa sytuacja chłopów w zakresie warunków pracy i życia w porównaniu z innymi grupami zawodowymi - oznaczająca nie inność, specyfikę tych warunków, ale gorszość, upośledzenie chłopstwa, wywołująca emocje, niezadowolenie, sytuacja uświadomionej trwałości degradacji - jest immanentną cechą drobnotowarowej gospodarki." /3/ Owe "przekleństwa" towarzyszą gospodarce chłopskiej "we wszystkich czasach", "we wszystkich krajach", "niezależnie od ustroju i poziomu rozwoju gospodarczego danego kraju". "Jedynie fenomen ustroju rolnego w Chinach - powrót do formy drobnotowarowego rolnictwa - wyłamuje się z przedstawionego toku rozumowania, ale w Chinach jest wiele spraw, których pojąć nie jesteśmy w stanie." /4/ Chiny - bagatela!

Dysparytetowej sytuacji chłopci nie mogą zmienić, "gdyż barierą takiej zmiany jest gospodarstwo rodzinne i splot warunków pracy i życia wynikający z tego gospodarstwa i z naturalnych warunków produkcji żywności". /5/ Co więc pozostaje? "Pozostaje takie postępowanie w polityce wobec tej licznej warstwy społecznej i zawodowej, które pozwoliłoby na łagodzenie dysparytetowej sytuacji dochodowej, socjalnej, kulturalnej i społeczno-politycznej, które skutecznie łagodziłyby specyficz-

ne sposoby pracy i życia rodzin chłopskich. Wniosek taki uprawnia do wiary, że w takim procesie pojawiają się samoistne, chłopskie, rodzinne czynniki sprawcze, które odkryją drogę do pełnej egalitaryzacji sposobów pracy i życia rodzin chłopskich i niechłopskich. Będzie to na pewno droga długa, co przewidywali klasycy marksizmu, zwłaszcza Lenin." /6/

Pomińmy niefrasobliwie kategoryczne i jednocześnie wewnętrznie sprzeczne sady o gospodarce rodzinnej. Wstrzymajmy się też od osądzenia drogi, jaką dotychczas przebyli chłopci, a wyznaczonej przez klasyków marksizmu, zwłaszcza Lenina. Warto natomiast zauważyć zawartą wyżej sugestię, że w przyszłości możliwa jest "pełna egalitaryzacja sposobów pracy i życia rodzin chłopskich i niechłopskich", czyli wszystkich dziedzin życia i aktywności ludzkiej. Słowem - arkadyjska sielanka!

Ale odejźmy od marksistowsko-leninowskich wizji szczęśliwej ludzkości wcielanych w życie, gdyby tylko dekretemi... Wróćmy do komunikatu "w sprawie Fundacji Rolniczej". Kończy się słowami: "Ksiądz prymas zalecił Komitetowi organizacyjnemu zbadanie możliwości zrealizowania innych form pomocy polskiej wsi". Zdanie - jak to wynika z formuły komunikatu - lakoniczne, znaczy jednak wyraźnie, że idea Fundacji jest nadal aktualna - w istniejącej sytuacji - tym bardziej żywotna. Jest nią podniesienie produktywności gospodarstw rodzinnych i upodmiotowienie chłopów w życiu wsi i kraju. Dwa nierozdzielne człony tego samego procesu. Inicjatywę zorganizowanej, materialnej pomocy, właśnie chłopskiej gospodarce rodzinnej, uzasadniały racje pragmatyczne, obce dogmatyzmowi. Pomoc materialna i organizacyjna Fundacji miała być kierowana tam, gdzie gwarantowałaby najwyższą efektywność /nie tylko ekonomiczną/ oraz maksymalną i celową aktywność samych zainteresowanych. U podstaw leży założenie, że spośród możliwych form organizacji produkcji żywności jedynie gospodarstwa rodzinne zapewnić może pożądaną w tym zakresie poziom zaspokożenia potrzeb i godziwy chłopskich rodzin sposób życia. Gospodarstwa rodzinne łączą bowiem optymalnie podmiotowość pracy z podmiotowością własności, otwarte są nadto na wzajemne współdziałanie i współpracę z otoczeniem pozarolniczym. Biorąc zaś pod uwagę niezawinione przez chłopów, przede wszystkim techniczno-organizacyjne zacofanie, a zatem potrzeby modernizacji gospodarstw rodzinnych, należy podnieść sprawdzoną przez wieki ich gotowość do ponoszenia kosztów na rzecz postępu i rozwoju. Gospodarstwa rodzinne, to bowiem gospodarstwa dziedziczne, a więc takie, które działają z myślą o przyszłych pokoleniach.

Tymczasem żyjemy w systemie totalitarnym, który w maniackalny sposób usiłuje dekretować wszystkie sfery życia ludzkiego. Pozostaje nam ograniczać te usiłowania przez rozwijanie wszelkich inicjatyw społecznych. Jest zrozumiałe, że główny ciężar obrony suwerenności gospodarki rodzinnej spoczywa na samych chłopach. Chłopci muszą ratować, odnawiać i rozszerzać najbardziej pierwotne, bo rodzinne, sąsiedzkie, wioskowe formy współdziałania jako podstawy do ich późniejszego przerastania w bardziej nowoczesne, sformalizowane /statutowe/ formy

współpracy. Bogate tradycje ruchu ludowego dowodzą tezy, że tylko te działania na wsi odniosły sukcesy, które wyrastały ze spontanicznych, tradycyjnych doświadczeń, uwzględniały chłopską zaradczosć, roztropność, właściwą chłopom poszanowanie pracy, dbałość o wszelkie dobra materialne, a także respektowały intelektualną dojrzałość ludzi wsi nie tylko do zawiadywania swoimi grupowymi sprawami, ale i równoprawnego udziału w kształtowaniu losów całego narodu.

Część spraw, zwłaszcza gospodarczych, które powinny stać się przedmiotem aktywności chłopskiej, uświadomiły prace Fundacji Rolniczej.

Z satysfakcją należy przyjąć, że już od lat, a zwłaszcza od pontyfikatu Jana Pawła II, w naukach społecznych Kościoła katolickiego odnajdujemy wiele z dorobku ruchu ludowego.

Wieś i rolnictwo zdołały się już w pełni "wtopić" w sprawę całego narodu. Wynika stąd dla społeczności dziennikarzy szczególnie funkcja budzenia w całym społeczeństwie należytej wiedzy, zrozumienia i życzliwości. Jest to niepowtarzalna szansa. Trzeba ją wykorzystać.

Listopad 1986

Marian Świątlik

Przypisy:

1/, 2/ A. Woś, "Społeczno-ekonomiczna przebudowa wsi i rolnictwa w Polsce", problem węzkowy 11.3 IPPM-L KC PZPR, Warszawa 1981, s. 11, 25.

3/ K. Duczowska-Małysz, "Dyzmy Gałaja socjologiczna interpretacja kwestii chłopskiej", "Wieś i Rolnictwo" nr 1/46/ 1985, s. 58.

4/ D. Gałaj, "Wieś i rolnictwo - dylematy rozwoju", "Wieś i Rolnictwo" nr 1/50/ 1986, s. 98.

5/, 6/ D. Gałaj, "Kwestia chłopska", "Wieś i Rolnictwo" nr 1/46/ 1985, s. 51.

Andrzej Julicki

Koniec nadziei

"Stanowimy organizację, która łączy w sobie cechy związku zawodowego i wielkiego ruchu społecznego. Zespolenie tych cech stanowi o sile naszej organizacji i o naszej roli w życiu całego narodu. Dzięki powstaniu potężnej organizacji związkowej społeczeństwo polskie przestało być rozdrobnione, zdezorganizowane i zagubione: jednocząc się pod hasłem solidarności odzyskało siły i nadzieje. Powstały warunki dla rzeczywistego odrodzenia narodowego. Związek nasz - najszersza reprezentacją ludzi pracy w Polsce - chce być i będzie siłą sprawczą tego odrodzenia"

- czytamy w części wprowadzającej Uchwały Programowej I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ "Solidarność", której tytuł brzmi "Kim jesteśmy i dokąd dążymy".

Ustosunkowując się wobec aktualnej sytuacji kraju, Uchwała podkreślała, że:

"Dotychczasowy sposób rządzenia krajem, oparty na wszechwładzy centralnych instytucji partyjno-państwowych, prowadził kraj do ruiny /.../ Po drugiej wojnie światowej nigdzie w Europie nie nastąpił tak głęboki upadek gospodarki w warunkach pokojowych. /.../ W obliczu narodowej tragedii "Solidarność" nie może dłużej już ograniczać się do oczekiwania i wywierania nacisku na władze, aby dotrzymały zobowiązań wynikających z porozumień..."

I dalej:

"Odpowiedzialność nakazuje nam dostrzegać układ sił, jaki powstał w Europie po II wojnie światowej. Podjęte przez nas dzieło wielkiej przemiany chcemy prowadzić bez naruszania sojuszków międzynarodowych. Mogą one uzyskać gwarancje rzetelniejsze niż dotąd".

DROGI WYJŚCIA Rozdział III Uchwały Programowej nosił tytuł "Związek wobec kryzysu i reformy gospodarczej". We wstępie tego rozdziału stwierdza się:

"Źródła obecnego kryzysu tkwią głęboko w systemie ekonomicznym i politycznym oraz w polityce gospodarczej, prowadzonej przez władze, które, lekceważąc podstawowe interesy społeczeństwa, blokowały wszelkie próby reformy i zmarłotrwały ogromne pożyczki zagraniczne...".

Składa się ten rozdział z ośmiu zasadniczych tez, które najpierw przedstawię, a następnie omówię bardziej szczegółowo te, które są najważniejsze dla podstawowego tematu niniejszego szkicu.

Teza 1: Domagamy się wprowadzenia reformy samorządowej i demokratycznej na wszystkich szczeblach zarządzania, nowego ładu społeczno-gospodarczego, który skojarzy plan, samorząd i rynek.

Teza 2: Nadchodząca zima wymaga energicznych działań doraźnych - Związek ogłasza stan gotowości ludzi dobrej woli.

Teza 3: Obrona poziomu życia ludzi pracy wymaga zbiorowego przeciwdziałania spadkowi produkcji.

Teza 4: Związek uznaje konieczność przywrócenia równowagi rynkowej w ramach wiarygodnego programu antykryzysowego, zgodnego z docelową reformą i przy ochronie najsłabszych grup ludności.

Teza 5: Walka z kryzysem i reforma ekonomiczna muszą być realizowane pod społecznym nadzorem.

Teza 6: Pamiętając o wszystkich, Związek otoczy szczególną opieką najbiedniejszych.

Teza 7: Zaopatrzenie w żywność jest dziś sprawą najważniejszą; kartki muszą mieć pokrycie, rozdział żywności musi być poddany społecznej kontroli.

Teza 8: Związek przeciwdziałać będzie narastającym różnicom socjalnym między zakładami pracy i między regionami.

Teraz proponuję bardziej szczegółowe przedstawienie niektórych myśli i postulatów, wynikające z tez rozdziału III.

W Tezie 1 Związek domaga się reformy, mającej znieść przywileje biurokracji i przekreślić możliwość ich odrodzenia.

Jednocześnie "musi zostać zniesiony nakazowo-rozdzielczy system kierowania życiem gospodarczym, który uniemożliwia racjonalne gospodarowanie. W systemie tym ogromna władza gospodarcza skupiona jest w rękach aparatu partyjnego i biurokratycznego".

"Należy zbudować nową strukturę organizacyjną gospodarki. Podstawową jednostką /.../ powinno stać się przedsiębiorstwo społeczne, którym zarządza załoga reprezentowana przez radę pracowniczą, a operatywnie kieruje dyrektor, powołany drogą konkursu przez radę i przez nią też odwoływany".

"Biurokratyczne bariery, uniemożliwiające działanie rynku muszą być zniesione. /.../ Dążeniu przedsiębiorstwa do uzyskania uprzywilejowanej pozycji na rynku

winno przeciwdziałać prawu antymonopolowe oraz organizacje konsumenckie".

"Reforma winna uspołecznic planowanie /.../ konieczne są publiczne debaty nad planem centralnym. Powinna zostać zapewniona możliwość przedkładania wszystkich planów w wariantach /.../. Szeroki dostęp do rzetelnej informacji gospodarczej /.../ wymaga ustanowienia społecznej kontroli nad Głównym Urzędem Statystycznym".

A n e k s do rozdziału III, teza 1, zawiera trzy propozycje rozwiązań: nr 1 - Wariant motywacyjny; nr 2 - Ocena rządowego programu wyjścia z kryzysu /Program Alternatywny/; nr 3 - Wariant realistyczny.

Wariant motywacyjny powstał na Dolnym Śląsku. Akcentował on ze szczególną siłą o ż y w i e n i e p r z e d s i ę - b i o r c z o ś c i l u d z i i z e s p o ł ó w i o d - b l o k o w a n i e w s z y s t k i c h h a m u l c ó w n a t e j d r o d z e .

Natomiast system zarządzania - zdaniem autorów tego wariantu - wymaga: demokratyzacji zarządzania; ekonomizacji funkcjonowania gospodarki; aktywizacji ludzi przez silne motywacje płacowe; decentralizacji decyzji i struktur.

Omawiane propozycje zakładały m.in.:

- stworzenie warunków i praktyki dla rzeczywistego pełnienia przez sejm funkcji kontrolnych wobec administracji wszystkich szczebli;

- instytucjonalne włączenie związków zawodowych do konsultowania i nadzoru wszystkich spraw związanych z życiem gospodarczym.

"Należy przyjąć realne podstawy dla kształtowania wielkości odpowiadających takim kategoriom ekonomicznym, jak: ceny, podatki, kredyty, kursy walutowe; należy przywrócić treść ekonomiczną takim kategoriom, jak koszt i zysk..."

"...w dyspozycji przedsiębiorstwa pozostać muszą środki wystarczające na prowadzenie reprodukcji rozszerzonej; część zysku przeznaczona do podziału wśród załogi /.../ musi stanowić zachętę do lepszej, wydajniejszej pracy; należy stanowczo przeciwdziałać egalitarystycznym tendencjom w zakresie polityki płac..."

"...niezbędne jest zlikwidowanie zbędnych z punktu widzenia logiki systemu resortów branżowych i zjednoczeń. /.../ niezbędne jest dokonanie zasadniczych zmian w zakresie funkcji centralnych organów gospodarczych oraz dokonanie redukcji i wymiany kadry /.../, przyjęcie zasady swobodnego kształtowania przez przedsiębiorstwa ich wewnętrznych i zewnętrznych układów organizacyjnych..."

Program Alternatywny - Konwersja gospodarki był autorstwa Stefana Kurowskiego, Grzegorza Palki, Wacława Adamczaka i Zbigniewa Karwowskiego.

O propozycjach prof. Stefana Kurowskiego była mowa w trzecim odcinku niniejszego szkicu. Tutaj zapoznajmy się jedynie z poglądami autorów na problemy wymiany towarowej z zagranicą.

"Należy uzyskać poważną poprawę efektów naszej wymiany z zagranicą. W tym celu trzeba poddać rewizji nasze umowy handlowe z kontrahentami zagranicznymi pod kątem ich rzeczywistej opłacalności i w oparciu o tę analizę wynegocjować lepsze warunki umów. Dla poprawy efektywności w tej dziedzinie konieczne jest także ograniczenie państwowego monopolu handlu zagranicznego /podkreślenie - A.J./ przez dopuszczenie poszczególnych przedsiębiorstw do rynków zagranicznych. Należy poddać handel zagraniczny społecznej kontroli z udziałem związku. Należy dążyć do odroczenia terminów naszych płatności wobec zagranicy i poprawy warunków spłat, co będzie ułatwione przy realizacji Programu Alternatywnego i w powiązaniu z tym należy rozważyć wejście Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Należy odczuć opieką rosnącą grupę emigrantów zarobkowych w celu poprawy ich sytuacji materialnej w krajach zarobkowania i dla włączenia ich dochodów w krajowy obrót gospodarczy..."

"...Należy przesunąć przejściowo część czynników produkcji z przemysłu zbrojeniowego na pilne potrzeby rekonwersji gospodarki. Może to być dokonane przez okresową redukcję niektórych pozycji wydatków zbrojeniowych."

Wariant realistyczny powstał w zespole: Ryszard Bugaj, Zbigniew Janas, Wincenty Kazańczuk, Andrzej Krajewski, Waldemar Kuczyński.

Zwracając uwagę, że podstawową sprawą jest zahamowanie spadku produkcji, co zależy od naszych partnerów tak ze Wschodu, jak i z Zachodu, gdyż decydujące znaczenie ma w tym przypadku import, autorzy postulowali zarazem **m a k s y m a l n e** **w y k o r z y s t a n i e** **z a s o b ó w** **k r a j o w y c h**.

W tym kontekście wezwali oni rząd do **z a s a d n i c z e** **g o** **z w i ę k s z e n i a** **u d z i a ła** **g o s p o d a r k i** **c h ł c p s k i e j** w przydziałach środków produkcji oraz do energicznego zagospodarowania maszyn i urządzeń przeznaczonych do inwestycji wstrzymanych.

W propozycji podkreślano również znaczenie wydobycia węgla, w związku z czym autorzy apelowali do rządu o pewne preferencje dla górnictwa i górników.

Podkreślano tam także konieczność niedopuszczenia do całkowitego rozkładu rynku:

"Podwyżki cen podstawowych towarów nie mogą prowadzić do istotnego ograniczenia zasobów pieniężnych ludności..."

"Wprowadzenie decydującego pakietu reformy gospodarczej musi nastąpić w 1981 r. /.../ Nie zgodzimy się na podwyżki cen, nie mając gwarancji, że równocześnie nie zostanie zrealizowany program socjalny lub nie podjęte będzie wprowadzenie reformy."

"Zwracamy się do rządu o zbadanie możliwości powrotu naszego kraju do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i przedstawienie opinii publicznej warunków jakie postawi MFW."

"Związek proponuje utworzenie przy sejmie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej /podkreślenie - AJ/ /.../ Do jej kompetencji powinna należeć ocena polityki gospodarczej rządu, ocena sytuacji gospodarczej i gospodarczych aktów prawnych oraz inicjowanie niezbędnych posunięć w tych dziedzinach. Radą powinna mieć prawo przedkładania projektów ustaw".

Dalej autorzy postulowali jawność działania Rady i możliwość jej szerokiego korzystania ze środków informacji masowej. W skład Rady powinni wchodzić reprezentanci głównych sił społecznych oraz posłowie i przedstawiciele związków zawodowych, a także Episkopatu i organizacji społecznych...

W PODZIEMIU Pozwolę sobie jeszcze na jedną retrospekcję, która, jak się wydaje, pomoże lepiej zrozumieć sobie ów szczególny klimat polityczny i układ sił, jaki istniał w naszym kraju przy końcu 1981 roku. Przybliżyć nam raz jeszcze n a d z i e j e P o l a k ó w, wyartykułowane przez najwyższy autorytet moralny, jakim jest Kościół w Polsce i jego Prymas.

Kardynał Józef Glemp w kazaniu dnia 5 września 1981 r., z okazji rozpoczęcia I Zjazdu NSZZ "Solidarność", powiedział w Gdańsku:

"Podejmujecie się, Najmilsi, dziś historycznego dzieła. Ma ono kształtować sytuację ludzi pracy, a także przyszłość naszej Ojczyzny /.../ Całe społeczeństwo oczekuje, że Wasz Zjazd będzie negocjowaniem /tego/ pokoju, który rozpoczął się w ubiegłym roku w Stoczni Gdańskiej, a który jest potrzebny i krajowi i Europie. /.../ W imię Chrystusa i Jego Matki życzę "Solidarności", aby Zjazd przyniósł oczekiwane i upragnione owoce pokoju i ładu w Polsce..."

Potem był Zjazd, Uchwała Programowa, gwałtownie atakowana przez środki masowego przekazu, pozostające pod całkowitą kontrolą biurokracji partyjnej, która /być może, jak nigdy dotychczas/ usłyszała podzwonne dla swego niczym nie ograniczonego panowania. Kompletny rozkład gospodarki był faktem materialnym - obiektywnym i niewątpliwym. Paraliż administracji i aparatu partyjnego był również widocznym gołym okiem. Tymczasem trzeba było wprowadzać reformę całościową, której istotnym elementem była r e f o r m a c e n. A bez aprobaty społecznej, bez zgody "Solidarności", nikt nie był w

stanie przeprowadzić tej operacji. **W s z y s t k i e**
k r y z y s y w historii PRL świadczyły o tym aż nadto wymo-
wnie.

Obserwowaliśmy więc jeszcze jeden **m a p e w r** władz: spo-
tkanie Głomp-Jaruzelski-Wałęsa, które nie przyniosło żadnych
efektów, bo też i nie miało przynieść. Gra na czas wchodziła w
swą finałową fazę.

"Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. W tej
sytuacji bezczynność byłaby wobec narodu przestępst-
wem. Trzeba powiedzieć: dość!

Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się
Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego.

Rada Państwa, zgodnie z postanowieniami Konstytu-
cji, wprowadziła dziś c północy stan wojenny na obsza-
rze całego kraju..." - oświadczył przed mikrofonami
generał armii Wojciech Jaruzelski, premier rządu i I
sekretarz KC PZPR.

Pewna uwaga w kwestii formalnej. Otóż Konstytucja PRL w o-
góle nie przewiduje stanu wojennego w czasie pokoju. W tym mo-
mencie trwała sesja sejmiku PRL, który mógł ogłosić **j e d y -**
n i e "stan wyjątkowy", ale generałowie nie zapytali posłów o
zdanie. Obwieszczenie Rady Państwa /wydrukowane zresztą poza
granicami Polski/ nie miało ani podpisu przewodniczącego Rady,
ani też daty /!/, innymi słowy, z punktu widzenia prawa, nie
stanowiło **d o k u m e n t u**. Lecz w tym momencie **n i k t**
nie mówił o prawie: siłę argumentów zastąpiono argumentem siły.

W chwili puczu wojskowego trwały obrady Krajowej Komisji
NSZZ "Solidarność" w Gdańsku. Mimo napływających z różnych
stron sygnałów alarmowych o ruchach wojsk i koncentracji od-
działów specjalnych ZOMO na całym obszarze kraju, delegaci i
ich doradcy jawnie nie docenili powagi chwili. Poza nielicznymi
wyjątkami zostali pojmani i osadzeni w więzieniach i obo-
zach koncentracyjnych, stworzonych w celu "przyjęcia" **t y -**
s i ę c y aktywistów "Solidarności" oraz ludzi wprowadzających
mających z "Solidarnością" wiele wspólnego, lecz pozostających
na pozycjach krytycznych wobec aparatu władzy.

Z prasy oficjalnej:

"W całym kraju godzina milicyjna. Wyłącznie telefo-
ny. Komunikacja między miastami za specjalnymi przepu-
stkami. Wiele zakładów zmilitaryzowanych. Na ulicach
opancerzone wozy bojowe, liczne patrole wojskowe i mi-
licyjne. Internowano 5906 osób..."

Mimo surowych dekretów stanu wojennego doszło do
akcji strajkowych. Tak było m.in. na Śląsku i na Wyb-
rzeżu..."

Kraj doznał kolejnego wstrząsu, kiedy opublikowano oficjal-
ny komunikat o tragedii w kopalni "Wujek", gdzie specjalne od-
działy ZOMO otworzyły ogień do strajkujących górników. Według
oficjalnej wersji zginęło 7 górników. Prawdziwe dane o zabi-
tych i rannych - podobnie jak w Grudniu 1970 - czekają na uja-
wnienie.

Gwałtowne starcia uliczne miały miejsce w Gdańsku, we Wrocławiu i w innych miastach Polski.

Nie ulega jednak wątpliwości, że mimo licznych sygnałów ostrzegawczych, zaskoczenie było pełne. Niemniej, niemal natychmiast zaczęły powstawać podziemne struktury "Solidarności". Zaczęły ukazywać się biuletyny o sytuacji w kraju i reakcji zagranicą. Początkowo powielano je na maszynach do pisania, gdyż nie od razu można było uruchomić własną bazę poligraficzną, co nastąpiło na nie znaną w realnym socjalizmie skalę nieco później.

1 marca 1982 r. Jaruzelski, na czele delegacji partyjno-rządowej, przybył do Moskwy na spotkanie z Leonidem Breżniewem.

Aleksander Zinowiew - matematyk, logik, pisarz, autor przetłumaczonego niemal na wszystkie języki cywilizowanego świata bezlitosnego pamfletu na system sowiecki pt. "Przepastne wyżyny" /"Zijajuszczizje wysoty"/, powie później:

"Nie należy zbytnio demonizować "ręki Kremla" w wydarzeniach polskich. /.../ Niemniej, odpowiadało to intencjom przywódców radzieckich, a przede wszystkim być po myśli elity rządzącej w Polsce. /.../ "Solidarność" nie miała żadnych szans! Ale to, co się stało, stało się we właściwym miejscu i we właściwym czasie..."

MISTYFIKACJA REFORMY Od 1 stycznia 1982 r. wprowadzone zostały nowe ceny zaopatrzeniowe. Od 1 lutego 1982 r. podwyższono ceny podstawowych artykułów żywnościowych, używek, opału i energii.

Tym razem "w Polsce panował spokój", którego gwarantem były wozy opancerzone w pobliżu wielkich zakładów przemysłowych, patrole ZOMO i wojska na ulicach oraz tajniacy wszędzie. Sejm posłusznie uchwalił ustawy: o planowaniu społeczno-gospodarczym, o cenach, o gospodarce finansowej przedsiębiorstw państwowych, o opodatkowaniu jednostek gospodarki uspołecznionej.

Związki zawodowe, a przede wszystkim "Solidarność", która liczyła 10 mln członków na 12 mln zatrudnionych w gospodarce narodowej, jak również samorządy pracownicze - zostały zawieszane, a następnie zlikwidowane. W ich miejsce z czasem powołano /na mocy ustawy sejmowej/ tworzyć "nowe" związki zawodowe w poszczególnych zakładach pracy, a dopiero w późniejszym terminie umożliwiono zrzeszanie się w federacje na zasadzie branżowej, nie zaś regionalnej i pod kontrolą aparatu partyjnego.

Tzw. reforma gospodarcza również zaczęła się "pod auspicjami" aparatu partyjnego i wojska. O ile, o czym mowa była wyżej, dotychczas istniała dualna struktura zarządzania, czyli administracja i aparat partyjny, to po wprowadzeniu stanu wojennego /a nawet później, po

jego formalnym zawieszeniu/ na tę monstrualną strukturę nałożona została tr z e c i a - w postaci komisarycznego zarządzania gospodarką i przedsiębiorstwem.

Przed wszystkim jednak "reformą" n i e o b j ę ł a "c e n t r u m"! Zmniejszono nieco, co prawda, liczbę ministerstw i zlikwidowano pośrednie ogniwo - zjednoczenie, ale w miejsce "zlikwidowanych zjednoczeń" powołano do życia /życia biurokratycznego, oczywiście!/ "dobrowolne zrzeszenia przedsiębiorstw". Była to tzw. propozycja nie do odrzucenia i rzekome "samodzielne" przedsiębiorstwa "dobrowolnie" łączyły się z n o w u n a z a s a d z i e b r a n ż o w e j, czyli pionowej. Tam, gdzie /z tych czy innych względów/ nie powołano zrzeszeń, utworzono "urzędy pełnomocników ministra ds. ...". Wszędzie byli to c i s a m i l u d z i e - biurokraci z centralnego szczebla. Natomiast z przedsiębiorstw w y r z u c o n o 70-80 proc. menedżerów ze stażem, doświadczeniem, z odpowiednimi kwalifikacjami zawodowymi, milcząco realizując zasadę z czasów "rewolucji kulturalnej" w Chinach: "Czerwone przed fachowym!"

Z trzech "S": Samodzielność - Samorządność - Samofinansowanie, które miały być filarami nośnymi reformy gospodarczej, pozostało praktycznie "samofinansowanie się", ale w postaci szcątkowej, ułomnej, bo przecież n i e d z i a ł a j ą m e c h a n i z m y r y n k o w e...

Reforma gospodarcza, jeśli przyjmemy, że coś takiego istnieje, rozpoczęła swój marsz znikąd do nikąd od... modyfikacji narzuconych przez "centrum" i niechętnie przyjmowanych przez "samodzielne" przedsiębiorstwa, o których "Życie Gospodarcze" pisało na początku 1984 r., że "tesknia one za stabilizacją reguły gry", że w przedsiębiorstwach "nie ma zrozumienia dla braku spójności poszczególnych rozwiązań z polityką gospodarczą i ze zwalaniem rozmaitych niepowodzeń tej polityki na przedsiębiorstwa".

Rząd apeluje m.in. o zwiększenie produkcji artykułów rynkowych, jednocześnie zapewniając społeczeństwo, że jest to jego, rządu, jedyną troską, natomiast... "90 proc. zaangażowania w inwestycjach kontynuowanych w przemyśle dotyczy grupy A, nie B. Przedsiębiorstwom pracującym na potrzeby rynku bank z reguły zaś odmawia kredytów inwestycyjnych, a nawet nie brak przykła-dów, gdy w razie prób inwestowania z własnych środków zmniejsza się kredyty obrotowe, zmuszając do uzupełnienia środków o-brotowych z funduszu rozwoju".

Niektórzy dyrektorzy przedsiębiorstw - według "Życia Gospo-darczego" - utrzymują, że "w skuteczność mechanizmów reformy nie wierzy chyba samo centrum".

IMPAS Według w pełni miarodajnych opinii p o l i t y k a g o s p o d a r c z a i d z i e s w o j ą d r o-g a, p r a k t y k a b a n k o w a s w o j ą, a m e-c h a n i z m y r e f o r m y s w o j ą. Osobiście niezup-ełnie zgadzam się z tego rodzaju opinią. Po pierwsze - nie ma

żadnej polityki gospodarczej, lecz gra pczorów; po drugie, co można powiedzieć o "praktyce bankowej", jeżeli znane są przypadki, kiedy lokalni sekretarze partyjni ingerowali w tę praktykę, wymuszając decyzje niezgodne nawet z tymi ukłonnymi regułami gry ekonomicznej; po trzecie, nie sposób mówić poważnie o "mechanizmach reformy" w warunkach istnienia s t a r e g o systemu nakazowo-rozdziałczego. Nie podoba mi się mówić poważnie, jeżeli po półtorarocznym okresie od wprowadzenia "reformy", na mocy 8 ustaw sejmowych w 5 z nich dokonano bardzo istotnych zmian. Występując w sejmie, poseł Tadeusz Lubijawski mówił z troską o ograniczaniu samodzielności przedsiębiorstw, m.in. w kontekście coraz to nowych "modyfikacji", stanowiących stopniowo zaprzeczenie jeśli nie litery /jeszcze/, to na pewno ducha ustaw o reformie.

To już nawet nie impas, lecz ruch w odwrótnym kierunku.

"... Sytuacja w handlu zagranicznym stać się może, a nawet już się staje źródłem podstawowych zagrożeń" - stwierdza się w studium Konsultacyjnej Rady Gospodarczej pt. "Tendencje i zagrożenia rozwoju".

Co można powiedzieć o gospodarce, której przemysł wykorzystuje swój potencjał w 50-60 procentach?

Co można powiedzieć o gospodarce, którą miał "rozruszać" przemysł węglowy, sam poruszający się na dotacjach?

Co można powiedzieć o gospodarce, gdzie dotacje w hutnictwie wynoszą 32 mld zł, zaś wartość "zamrożonych" maszyn i urządzeń /w tym z importu, w tym na kredyt, w tym nie zapłaconych/ sięga 37 mld zł?

Co można powiedzieć o kraju, który 1/3 swojego zapotrzebowania na zboże i pasze musi zaspokajać z importu, na który nie ma środków?

Nie da się obecnie powtórzyć "manewru", polegającego na zmniejszeniu importu i zmianie jego struktury na rzecz surowców i materiałów zaopatrzeniowych kosztem pasz, dóbr inwestycyjnych i towarów rynkowych...

Hasło "Export First!" jest hasłem pustym. Po pierwsze, nie ma towarów na eksport; po drugie, pogarszają się "terms of trade" tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Jak wiadomo, nastąpiła dekonjunktura na rynku węglowym na świecie. Poza tym nikt w przemyśle nie chce eksportować, chyba że każą, ale i tak - jak się rzekło - "nie ma towarów i nie będzie".

W wywiadzie prasowym w początkach lutego 1984 r. prof. dr hab. Roman Ney, członek Polskiej Akademii Nauk /były członek Biura Politycznego KC PZPR/, stwierdził wprost: "Polska gospodarka zjada się sama". I następnie wyjaśnił:

"Jest to sprawa modelu gospodarczego. Nasz został ukształtowany w pierwszym powojennym planie 3-letnim,

później nieco zmodyfikowany w 6-letnim. I tak już zostało /.../ Zbyt jednostronnie postawiono na rozwój przemysłów surowcowych i ciężkich /.../ centrum było słabe, bez koncepcji, żadnego docelowego modelu gospodarki nie określono..."

Ostatni passus dotyczył lat siedemdziesiątych. O obecnych czasach profesor mówi:

"... Tymczasem zaczyna się to, co było nagminne w latach siedemdziesiątych, że poszczególne branże albo resorty tworzą plany rozwoju każde dla siebie. Przy czym nie jest to plan optymalny w stosunku do warunków i potrzeb kraju, tylko - powiedziałbym - pochodna stereotypów i wygodnictwa danego resortu. Może się znowu okazać w trakcie realizacji, że plan wymagał wprowadzenia wielu inwestycji, ale dla innych dziedzin gospodarki i dla kraju wynikać z tego stosunkowo niewiele".

• • •

"Solidarność", ta instytucjonalna emanacja aspiracji społeczeństwa polskiego, chciała zmian, domagała się reformy gospodarczej i przemian politycznych, stosownych do aktualnego etapu rozwoju kraju, zgodnie z jego najlepszymi tradycjami.

"Solidarność" popełniła niejedną błąd. Podstawowy jednak polegał na tym, że nie doceniono siły oporu spetryfikowanych struktur państwa dyktatury nad proletariatem, państwa totalitarnego, którego ekonomika jest niereformowalna, gdyż k a ż - d a r a d y k a l n a r e f o r m a p o d c i n a k o r z e n i e i r a c j e b y t u p a r t y j n e j b i u r o k r a c j i.

Na tym etapie "Solidarność" poniosła porażkę. Lecz nie została ostatecznie pokonana.

Warszawa, luty 1984

Andrzej Julicki

Michał Łożeński

Era Pacyfiku

Adamowi Michnikowi

Historycy, politolodzy, ekonomiści, a przede wszystkim futurologi, epatują świat powstającą na naszych oczach wizją Wspólnoty Pacyfiku - największej potęgi gospodarczej i politycznej ery nowożytnej. Robert Guillain /"Japonia - Trzecie Mocarstwo"/ - w latach sześćdziesiątych, Herman Kahn i Edwin O. Reischauer /"Trans-Pacific Relation"/ - koniec lat sześćdziesiątych i wczesne lata siedemdziesiąte, Arnold Toynbee i Mike Mansfield - w obecnej dekadzie, że przypomniemy jedynie najbardziej znane postaci. Wszyscy oni, wyjątkowo zgodnie, głosili i głoszą na d e j ę c i e E r y P a c y f i k u, powstanie wspólnoty gospodarczej, na której strukturach nośnych oparte zostanie nieznanne w dziejach ludzkości wyzwanie wobec przyszlósćci. Gwoli sprawiedliwości, wymieńmy również amerykańskiego dyplomatę Johna Hay a /przełom XIX i XX wieku/ oraz... polskiego publicystę Witolda Bronowskiego /początek lat trzydziestych naszego wieku/, którzy twierdzili już wówczas, iż e p i c e n t r u m wydarzeń światowych przesunęła się w naszych czasach w kierunku Pacyfiku.

Dziś już nikt nie odważy się poddawać w wątpliwość tej tezy. W ciągu ostatnich dziesięcioleci w strefie Pacyfiku kształtował się skomplikowany i w pewnym sensie niepowtarzalny proces, wykraczający swym zasięgiem poza granice tego obszaru; proces o szczególnie silnej dynamice i wyraźnym ukierunkowaniu. Nigdzie indziej rozwój wydarzeń nie postępował z tak zadziwiającą prawidłowością /mimo pozornej paradoksalności zjawisk/, jak to miało i ma miejsce nad brzegami największego oceanu na naszym globie. Nigdy dotąd zarazem świat nie znajdował się w obliczu tak złożonych dylematów, jakie ów proces wywołuje.

Teoria doniosłej roli mórz i oceanów w dziejach ludzkości znalazła raz jeszcze swoje wymowne potwierdzenie.

W basenie Morza Śródziemnego powstały i rozwinęły się wspaniałe cywilizacje świata antycznego. P a x R o m a -

na... a daleko na Wschodzie Pa x S i n i o a. Obie w przybliżeniu w tym samym czasie, za pierwszych cesarzy i za panowania dynastii Han /202 p.n.e. - 220 n.e./. Dwa ośrodki na naszej planecie o najwyższym poziomie kultury duchowej i materialnej. Tak podobne do siebie i tak zarazem różniące się, zwłaszcza pod względem istoty i kształtu myśli państwowej. Rzym - to ekspansjonistyczna potęga militarna, Chiny zaś - to przede wszystkim filozofia harmonii wewnątrz kraju i ekspansjonizm cywilizacyjny na zewnątrz.

Następnie - era atlantycka z jej fascynującymi podróżami i podbojami na obszernych obszarach planety, od Atlantyku do Pacyfiku. To potęga państw kolonialnych: Hiszpanii, Portugalii, Anglii, Francji, Holandii, a także Rosji i Japonii, państw, które reprezentowały "ekspansjonizm grabieżczy" pod szyldem misji cywilizacyjno-religijnej w stosunku do ludów kolorowych. Była to konfrontacja r a s o w a. Były to ponure karty w historii ludzkości.

Lecz paradoksem historycznym jest to, że epoka kolonializmu i imperializmu n a d a ła s i l n e i m p u l s y procesowi emancypacji narodów zacofanych i zniewolonych; przyspieszyła m.in. przemiany w strefie Pacyfiku, nadejście "ery azjatyckiej", która niewiele, bądź zgoła nic nie ma wspólnego z osławionym "żółtym niebezpieczeństwem" - straszakiem dla europejskiego drobnomieszczactwa, wygodnym parawanem dla konwiktadorów ery nowożytniej.

Wszystko na tym obszarze jest dość zwykłe. Trudno nawet określić jego granice. Przyjmuje się przeto umownie, że od Cieśniny Beringa do Antarktydy /Północ-Południe/ jest ok. 16.000 km; od wybrzeży Panamy do Malakki /Wschód-Zachód/ jest prawie 20.000 km; 45 proc. ludności świata, 40 państw, 10 tysięcy wysp; wszystkie surowce, cała tablica Mendelejewa; dziesiątki narodów mówiących setkami języków i dialektów, wyznających wszystkie możliwe religie świata /!/ i, co szczególnie ważne, tu, w strefie Pacyfiku, wytwarza się p o n a d p o łoża światowego G P N b r u t t o. Po obu stronach Oceanu Spokojnego znajdują się też dwa supermocarstwa - USA i Rosja Sowiecka. W tej strefie leży kraj "cudu gospodarczego", Japonia, która w roku 1986 wyprzedziła USA pod względem GPN per capita, oraz Chiny, których ludność liczy przeszło i miliard /!/. Na tym obszarze, ściśle - w Azji Południowo-Wschodniej, leżą też n o w o i n d u s t r i a l n e k r a j e, jak Korea Południowa, Tajwan, Singapur i Hongkong, których dynamika rozwoju i przemiany do złudzenia przypominają obraz, powstającej z ruin i zgliszcz, Japonii z początków jej marszu ku wielkości.

Osobnym rozdziałem jest Rosja Sowiecka - mocarstwo euroazjatyckie, potęga militarna, a zarazem kraj, który od lat cechuje gasnąca dynamika rozwojowa, liczne dysproporcje ekonomiczne, narastające napięcie społeczne i konflikty narodowościowe. T o o s t a t n i e i m p e r i u m nie tylko w strefie Pacyfiku, lecz w ogóle na naszym globie, znalazło się w o t w a r t e j k o n f r o n t a c j i tak z USA, jak i z Chinami; ma nie uregulowane kwestie graniczne zarówno z Chinami,

jak i Japonią; nie potrafi ono niczego zaoferować narodom i państwom Pacyfiku, oprócz zmurszałej doktryny ideologicznej i nieefektywnego modelu ekonomicznego.

Lata siedemdziesiąte ostatecznie nadały kierunek obecnym i przyszłym wydarzeniom. Dokonał się rozpad systemu kolonialnego, powstałego w przeszłości za sprawą ekspansjonizmu "białej" rasy. USA zdołały wycofać się z beznadziejnej wojny w Wietnamie i dokonać bolesnej, ale koniecznej, rewizji swojej polityki w strefie Oceanu Spokojnego. Nastąpiło historyczne pojednanie Chin i Japonii, którego znaczenia, nawet po upływie 15 lat od tej chwili, niepodobna w pełni ogarnąć. Kraje Azji Południowo-Wschodniej uporały się z nędzą /"ostatnią szansą" Moskwy na tym obszarze/ i zdecydowanie wkroczyły na drogę dynamicznego rozwoju gospodarczego, tworzenia nowych struktur nośnych pod przyszły ład Pacyfiku, którego kontury wyłaniają się na horyzoncie naszych czasów, będąc w zasięgu wzroku żyjących pokoleń.

Spróbujmy więc dokonać pewnego /siłą rzeczy wielce skrótego/ przeglądu układów funkcjonalnych, bardzo umownych i - mimo wszystko - płynnych, z których składają się realia i imponderabilia rozległej panoramy strefy Pacyfiku. Dla lepszego zrozumienia stanu obecnego i bardziej przekonującej zasadności kreślonych perspektyw, będziemy musieli odbyć niekiedy ekskurs w głąb dziejów, sięgnąć po metodę glosy historycznej.

W OBREBIE CYWILIZACJI CHIŃSKIEJ

Kronikarze dynastii Han stwierdzili, iż w roku 57 n.e. do stolicy Loyang przybyło poselstwo Yamato, czyli kraju "Wa" - "górzystej wyspy pośród oceanu, podzielonej na 100 prowincji...". Chińczycy, zgodnie z koncepcją "Chunkuo", stosownie do tradycji sinocentrycznego postrzegania świata, wszystkie kraje poza płynnymi granicami Państwa Środka zaliczali do jego "kresów", mieszkańców zaś do "Wa Ren", czyli barbarzyńców. Jeżeli chodzi o posłów Yamato, kronikarze chińscy podkreślali z pogardą "mały wzrost", "nędzne dary", jak łuk i strzały, co było właściwie symbolem uznania wyższości kontynentalnej.

Japończycy otrzymali z Chin w s z y s t k o: religię /buddyzm/, pismo /hieroglify/, rzemiosło, sztukę i filozoficzny system organizacji życia zbiorowego, jakim jest konfucjanizm. Wyspy Japońskie stanowią klasyczny przykład chińskiej ekspansji cywilizacyjnej i kulturowej. Na podkreślenie wszakże zasługuje złożony proces transformacji cywilizacji i kultury chińskiej na gruncie japońskim, gdyż n i g d y nie było to tzw. ślepe naśladownictwo. Szczególne nasilenie ekspansji kontynentalnej przypada na okres panowania w Chinach dynastii Tang /618-907 w. n.e./ - Złotego Wieku w dziejach Państwa Środka.

Mimo pokojowego charakteru tej ekspansji, w pewnym memo-

riale złożonym u stóp tronu cesarza w 89.⁴ r. czytamy:

"Nie mamy czego się uczyć od Chin. Powinniśmy porozić kres wędrownikom do nas także kupców koreańskich. O ile nie uczynimy tego obecnie, dowiedzą się oni niechybnie, iż ludowi naszemu brakuje jedzenia, że nie mamy dość siły do odparcia najazdu z zewnątrz. a przeto mogą najeżdżać nasz kraj przez Koreę".

Owszem, za panowania w Chinach mongolskiej dynastii Juan, Wyspy Japońskie zostały poważnie zagrożone inwazją wojowników Kubraja-chana /w 1274 r. i w 1281 r./, lecz, jak wiadomo, podbój Japonii nie powiódł się i od tego czasu, aż do września 1945 roku, żaden obcy żołnierz nie znalazł się w tym kraju.

Pod rządami bezwzględnych shogunów /shogun - głównodowodzący/, sprawujących faktyczną władzę w imieniu cesarza, nastąpiła konsolidacja kraju, likwidacja tendencji odśrodkowych; proklamowana została polityka izolacji /rok 1639/, która trwała aż do "rewolucji Meiji" w 1868 r. i "otwarcia" Japonii. Wyraziło się to nie tylko w przyspieszonej modernizacji państwa; przemysłu, przebudowie struktur społecznych, lecz i w bardzo ostrożnej, właściwie powierchownej, ale również w ekspansjonistycznej i agresywnej, postawie kraju wobec swoich "azjatyckich braci", przede wszystkim Chińczyków i Koreańczyków.

"...Otrzymali z tego kraju /z Chin - przyp. M.L./ wszystko /.../ pismo, filozofię, kulturę i rzemiosło /.../, a potem napadli i spalili dom swego mistrza..." - jak określano w Chinach i w Azji politykę Japonii ery nowożytnej.

Jeżeli chodzi o Chiny, to przez całe wieki panowały tam "barbarzyńskie dynastie" - Kitanów, Dżurdzeńów, Mongołów i wreszcie Mandżurów, którzy obalili ostatnią narodową dynastię Ming. Lecz "barbarzyńcy" niezmiennie ulegali sinizacji, wyższości kulturowej i cywilizacyjnej Chińczyków. W istocie zawsze rządzili urzędnicy chińscy, przynajmniej w kwestiach polityki wewnętrznej, na zewnątrz zaś obcy władcy narzucali niekiedy krajowi aktywną politykę zagraniczną, która już to nakładała się na zakodowany ekspansjonizm cywilizacyjny Chińczyków, już to stanowiła obronę przed zakusami mocarstw kolonialnych, jak Francja, Anglia i Rosja, z którą konfrontacje /w tym militarne/ zaczęły się głównie na "ziemi nicyjnej", czyli w Mandżurii, wraz z pojawieniem się na tych obszarach rosyjskich konkwistadorów-kozaków w XVII wieku. Mandżuria tradycyjnie była uważana za "własność koronną" dynastii Tsing /Mandżurskiej/. Drugi cesarz tej dynastii, Kangxi /1662-1722/, mimo bardzo młodego wieku, przestrzegał dworzan przed "barbarzyńcami Północy": "Ci ludzie wcale nie są tacy głupi, lecz są ograniczeni i bardzo uparci /.../ Jeżeli nie będziemy silni, to za kilka pokoleń możemy mieć z nimi poważne kłopoty..."

Po upływie 300 lat /!/ ta prosta prawda z trudem toruje sobie drogę do umysłów mężów stanu na Zachodzie, którzy nie pierwszy raz Chińczycy ostrzegają przed ekspansjonizmem i hegemonizmem Rosjan, przed ich

zakodowanym pragnieniem permanentnego narzucania innym swoich rządów, religii, ideologii, swego stylu, powstałego w obrębie cywilizacji stepowo-bizantyjskiej.

Słabnące Chiny stopniowo stawały się obiektem imperialistycznej polityki starych i nowych agresorów, szukając ratunku w izolacjonizmie. "...Chiny są wielkie. /.../ Nie mamy powodu, by martwić się brakiem w naszym kraju talentów. Cudzoziemcy nie są nam potrzebni. /.../ Czemu mamy się od nich uczyć?" - twierdził uparcie, wbrew faktom, dworzanin Wo Ren w memoriale do cesarzowej Cy-si.

Japończyków zaś raził i m m o b i l i z m c h i Ń s k i, ale nie zamierzali bynajmniej pomóc swemu Mistrzowi. Przeciwnie. Przestają mówić o wspólnocie duchowej, kulturowej, wreszcie rasowej. Wyraźnie przechodzą na pozycje "białych", realizujących wobec Azji i Chin politykę zaborów i agresji. Korzystają więc z pewnego osłabienia impetu ekspansjonizmu rosyjskiego na Pacyfiku i w ślad za USA, które nabyły od Rosji w 1867 r. Alaskę, pozyskują, jakbyśmy dziś powiedzieli, na mocy Traktatu Petersburskiego z 1878 r. - Wyspy Kurylskie. Następnie uzyskują coraz większe wpływy na Półwyspie Koreańskim, tradycyjnie traktowanym jako domena interesów chińskich. Wygrywają kolejno wojnę z Chinami /1894-95/ i z Rosją /1904-1905/, stając się prawdziwą potęgą militarną /choć o słabej ekonomice/ w tej części świata.

Obolała duma narodowa Chińczyków, świadomość źródeł upadku wielkości kraju o jednej z najstarszych na świecie cywilizacji, pragnienie unowocześnień państwa - stają się zaczątkiem ruchu "reform 100 dni". Słynny mąż stanu, Kang Ju-wei pisał w memoriale do cesarza w 1898 r.:

"Usilnie proszę Waszą Cesarską Mość, aby przyjął On cele Piotra Wielkiego w Rosji za nasze własne i wziął restaurację Meiji w Japonii za model naszej reformy..."

Pisze też w notatce pt. "Uwagi o rozbiorach i upadku Polski":

"Nie potrafię czytać spokojnie dziejów Polski i zmuszony jestem przerwać lekturę, gdyż żyzy zalewają mi oczy... Przeważałem tragiczne losy narodu polskiego i jego króla, a myślałem o przyszłości Chin..."

Na podkreślenie zasługuje fakt przychylnego stanowiska Japonii wobec reform zamierzonych w Chinach. Natomiast dwór cesarza Ce-si, klika książąt mandżurskich, w swojej zachowawczej postawie inspirowane były przez Rosjan, którzy już wdziedzieli siebie panami Mandżurii.

Reformy trwały zaledwie 100 dni. Przewrót pałacowy pozbawił cesarza władzy. Reformatorzy musieli uchodzić do Japonii. Na następne reformy przyjdzie czekać... 70 lat, w c a ł k i e m już innym świecie, gdy polityczna mapa Pacyfiku w niczym nie będzie przypominać mapy z końca XIX i początków XX wieku. Jeszcze kilka razy Japończycy dotkliwie upokorzą Chińczyków, a następnie sami poniosą pierwszą i najdotkliwszą w swych dziejach klęskę militarną. Doznają bez-

miaru nieszczęść i upokorzeń. Baz buntu zastosują się do słów swego cesarza, który w orędziu o kapitulacji z sierpnia 1945 roku nawoływał do wytrwałej pracy dla przyszłych pokoleń: "Nawet, gdyby przyszło przetrzymać to, co przekracza ludzką wytrzymałość i znieść to, co jest nie do zniesienia...". Po przegranej wojnie i dramatycznych, pełnych wyrzeczeń i poświęcenia pierwszych latach odbudowy i przebudowa kraju, a przede wszystkim mimo mentalności butnych potomków samurajów, Japończycy w y g r a j ą p o k ó j!

Chiny natomiast przechodzą równie burzliwe koleje losu, aczkolwiek tak w pierwszej, jak i w drugiej wojnie światowej znajdują się po stronie zwycięskiej koalicji. Wygrywają więc wojny, ale przegrywają pokój. Rewolucja 1911 roku, walki regionalnych militarystów, za którymi stoją już to Japończycy, już to Rosjanie, już to inni, oczekujący rychłego zejścia z areny dziejów "chorego człowieka Azji"... Rewolucja, a właściwie zwycięstwo komunistów w wojnie domowej w 1949 roku, obsesyjne pomysły doświadczenia krajów wysoko rozwiniętych za sprawą "wielkiego skoku" bądź "umieszczenia pierwszego człowieka na Ziemi", czyli realizacji radykalnych i bałamutnych haseł "rewolucji kulturalnej". Sojusz z Rosją Sowiecką i otwarte konfrontacje /m.in. w Korei w latach 1950-53/ z USA; następnie rozłam w ruchu komunistycznym i robotniczym w drugiej połowie lat pięćdziesiątych - narastająca wrogość wobec Rosjan i wytrwała praca nad normalizacją stosunków z Amerykanami, w myśl filozofii i dyplomacji wybitnego męża stanu końca XIX w., Li Hun-czanga, tego chińskiego Talleyranda, która nakazywała "wygrywanie jednego silnego rywala przeciwko drugiemu", aby - jak to ujmuje się w Chinach - "...siedząc na szczycie góry obserwować walkę tygrysów...".

Godne jest odnotowania, że po wojnie "reprezentant reakcyjnej burżuazji", jak określano Czang Kai-szeka na obszarach opartych przez komunistów, zgodził się na powrót Rosjan do Mandżurii i przekazanie im w dzierżawę bazy morskiej Port Arthur oraz portu handlowego Dalnij /Talen lub Dairen/; natomiast komunista Mao, po zwycięstwie nad Czangiem, w toku niezwykle trudnych i dramatycznych rokowań w Moskwie w roku 1950, wymusił na Stalinie zgodę na uznanie umowy z Czangiem za niebyłą i przywrócenie pełnej jurysdykcji Chin Ludowych na całym obszarze Chin. Ów s t y l negocjacji można "polecić" również dzisiejszym negocjatorom zachodnim, poszukującym wciąż najrozmaitszych sposobów, aby "zadowolić" swoich rozmówców moskiewskich.

Po rozmaitych wstrząsach i meandrach, tak w polityce wewnętrznej, jak i zewnętrznej, zdumiony świat dowiedział się pewnego dnia o tajnej misji Henry Kissingera w lipcu 1971 r., która stworzyła ramy historycznego zbliżenia ChRL i USA, zapoczątkowanego wizytą prezydenta Richarda Nixona w Pekinie.

W tym momencie Japończycy poczuli się oszukani i zawiedzeni jako "najwierniejsi sojusznicy USA na Pacyfiku". A Japonia była już w tym czasie trzecim mocarstwem przemysłowym świata, aspirującym do dalszej poprawy swojej pozycji zarówno ekonomicznej, jak i politycznej. Lecz świadomość określonych koniecz-

ności w bieżącej polityce, jak i "pamięć historyczna" /bardziej budująca.../ głęboko tkwiły, jak się okazało, w umysłach polityków obu azjatyckich krajów, może nawet bardziej w Pekinie, aniżeli w Tokio. Przecież jeszcze ojciec rewolucji chińskiej Sun Zhongshan, pisał w 1917 r. /1/: "Japonia i Chiny są rzeczywiście związane ze sobą, a ich egzystencja - lub klęska, ich bezpieczeństwo i obawy - są wzajemnie uwarunkowane. Nie będzie Japonii, nie ostaną się Chiny; nie ostaną się Chiny, nie będzie Japonii". Broszura nosiła tytuł: "Kwestia istnienia lub zagłady Chin".

We wrześniu 1972 r. japoński premier Kakuei Tanaka i wielki mąż stanu Chin, Zhou Enlai, podpisali doniosły komunikat na zakończenie wizyty Tanaki w Pekinie:

"Strona japońska jest w pełni świadoma odpowiedzialności, jaka spoczywa na Japonii za wyrządzenie w przeszłości, w wyniku wojny, olbrzymich szkód narodowi chińskiemu i czyni sobie z tego powodu głębokie wyrzuty".

Treść punktu 7 Komunikatu wykracza poza wymiar stosunków chińsko-japońskich, gdyż brzmi:

"Normalizacja stosunków między Chinami i Japonią nie jest wymierzona przeciwko państwom trzecim. Żadne z dwóch państw nie będzie się starało uzyskać hegemonii w rejonie Azji i Pacyfiku i oba państwa są przeciwne wysiłkom każdego innego państwa czy grupy państw, zmierzających do stworzenia takiej hegemonii".

Na każdą najmniejszą nawet wzmiankę o "hegemonizmie" Moskwa reagowała, i reaguje zresztą nadal, w sposób alergiczny. Tak było i tym razem. Tak było również w chwili podpisania Traktatu Pokojowego między Chinami a Japonią /Rosjanie, jak wiadomo, nie mają dotychczas takiego traktatu/, kiedy Moskwa usiłowała bezskutecznie przeszkodzić jego zawarciu, a zwłaszcza ponownemu potwierdzeniu klauzuli "antyhegemonistycznej".

Chiny, które otrząsnęły się z amoku "rewolucji kulturalnej" przystąpiły do realizacji długofalowego programu "czterech modernizacji", którego rękojmnią jest rozwinięta współpraca z Zachodem, a przede wszystkim właśnie z Japonią. Długoterminowa umowa handlowa, liczne odcinkowe porozumienia i wysoka dynamika rozwojowa obrotów towarowych od lat kilkunastu cechują współpracę gospodarczą i naukowo-techniczną pomiędzy Japonią i Chinami.

W dziedzinie stosunków pozaekonomicznych należy odnotować powołanie Chińsko-Japońskiego Komitetu Przyjaźni na XXI wiek, wymianę licznych grup młodzieży obu krajów, liczących po kilkaset osób. Obecnie najwięcej Chińczyków /po 10 tys. / studiuje w USA i Japonii.

Wizyta premiera Yasuhiro Nakasone w Chinach w 1984 r. była swego rodzaju podsumowaniem pierwszej fazy pojednania. Oba kraje konsekwentnie opowiadają się przeciwko hegemonizmo-

wi w strefie Pacyfiku - tak hegemonizmowi USA, jak i Rosji Sowieckiej. Aktualnie kładą jednak większy akcent na potencjalne zagrożenie ze strony tej ostatniej. Sprzeciw Chin i Japonii wobec rakiet SS-20, rozlokowanych w azjatyckiej części Rosji Sowieckiej, poparcie dla Europy zintegrowanej ekonomicznie i politycznie, potępienie inwazji sowieckiej na Afganistan i interwencji wietnamskiej w Kampuczy, brak zainteresowania dla sowieckiego projektu utworzenia "systemu bezpieczeństwa w Azji" ze względu na oczywisty werbalizm tego pomysłu, powielaniego, jak wiadomo, w rozmaitych wariantach geopolitycznych z jednym celem podstawowym - utrzymania sowieckiej dominacji na wszystkich azymutach moskiewskiej ekspansji - wszystko to stanowi o dość daleko idącej identyfikacji bieżących i nawet perspektywicznych założeń polityki Chin i Japonii.

Pojednanie obu krajów nastąpiło jako logiczna konsekwencja całego zespołu czynników, tak historycznych, jak i współczesnych. Stało się zarazem istotnym ogniwem w procesie ich obopólnego rozwoju na tle rozległej, o niezbyt czytelnych konturach, panoramy Pacyfiku i świata. Pojednanie obu mocarstw azjatyckich jest zarazem repliką na konfrontacyjny układ obu wielkich mocarstw globalnych, USA i Rosji Sowieckiej, tak w Azji, jak i na całym świecie.

Chińczycy wyraźnie zrozumieli tendencje światowe i postawili na pogłębiające się umocnienie układu wielobiegunowego, a co za tym idzie - osłabienie zdolności zarówno Moskwy, jak i Waszyngtonu, do kontrolowania i sterowania dynamiką przemian na mapie politycznej świata.

W kwestii ewentualnego rozbrojenia pozycja Pekinu i Tokio jest prawie identyczna, zwłaszcza w odniesieniu do redukcji i likwidacji potencjału raketowo-atomowego USA i Rosji Sowieckiej. Przypomnijmy w tym kontekście, że Japonię chroni "parasol atomowy" USA, Chiny zaś pod koniec lat siedemdziesiątych wypowiedziały się za decyzją NATO odnośnie amerykańskich rakiet w Europie.

Pojednanie i wyraźne zbliżenie japońsko-chińskie ma oczywiście wymiar zarówno gospodarczy, jak i polityczny, ale przede wszystkim należy podkreślić, iż ów proces, zapoczątkowany we wczesnych latach siedemdziesiątych, ma wymiar cywilizacyjny... Wielkie narody jednej rasy, wywodzące się z jednego pnia, narody jednego pisma i jednej prastarej kultury, będą wywierać razem i osobno, a właściwie już wywierają, decydujący wpływ na układ sił w strefie Pacyfiku, której przepowiada się, że wiek XXI będzie należał właśnie do niej. Ani dziś, ani tym bardziej w przyszłości, nie można będzie niczego dokonać bez udziału Chin i Japonii, a co dopiero wbrew ich interesom! I gwoili prawdziwie historycznej do największych wizjonerów w tym układzie należeli jednak zawsze Chińczycy: rewolucjonista Sun Zhougshan i "reakcjonista" Czang Kai-Szek; komunista Mao i jego towarzyszy Zhou Enlai - pragmatyk, prawdziwy architekt polityki zbliżenia z USA i Japonią, człowiek, który jasno dostrzegł kontury XXI wieku i rolę tak Chin, jak i Japonii w wielobiegunowym świecie, na tle postępującej erozji pozycji supermocarstw a zwłaszcza imperium sowieckiego.

ROLA ROSJI SOWIECKIEJ I USA

Przemocna ekspansja Rosji w kierunku "wielkiej wody", czyli Oceanu Spokojnego rozpoczęła się właściwie za cara Iwana IV Groźnego wraz z podbojem Syberii, a nawet - w pewnym sensie - jeszcze wcześniej, gdyż już kupcy nowogrodzcy chodzili za Kamienny Pas, a więc za Ural. Ale, jak się rzekło, bezpośrednia konfrontacja rosyjsko-chińska, a jeszcze ściślej - cywilizacji chińskiej z cywilizacją stepowo-bizantyjską, nastąpiła w połowie XVII wieku, za drugiego Romanowa - cara Aleksieja. Po pierwszym równoprawnym Traktacie Nerzeńskim już następne - Traktat Ajuński /1858 r./ i Traktat Pekijski /1860 r./ - zostały Chinom narzucone. Zwyciężyła koncepcja strategiczna i hegemonistyczna hr. N. Murawjowa, który twierdził, że "nad Syberią panuje ten, kto posiada lewy brzeg Amuru".

Pod koniec XIX wieku wspomniany Li hun-czang, za olbrzymią kwotę 3 mln złotych rubli /choć Rosjanie wypłacili jedynie milion/ zawiera w Moskwie porozumienie dotyczące budowy kolei przez obszar Mandżurii z zachodu na wschód i na północ, do portu Dalnij i Port Arturu. Kolej Wschodnio-Chińska stanowiła jakby odgałęzienie Wielkiej Magistrali Transsyberyjskiej, która miała dla Rosji znaczenie zarówno strategiczne, jak i ekonomiczne, gdyż - w założeniu - powinna była odciągnąć strumień ładunków płynących na Daleki Wschód przez Kanał Sueski. Do Mandżurii Rosjanie wprowadzili też "ograniczony kontyngent wojskowy" dla ochrony kolei.

Zmienne przypadki losowe i nieprzewidziane wydarzenia sprawiły jednak, iż na terenie Mandżurii Rosję spotykały zazwyczaj, po pewnych przejściowych sukcesach, same niepowodzenia. Ale był to obszar "szczególnego zainteresowania", o który uparcie walczyła tak Rosja carska, jak i Rosja Sowiecka. Tu Rosjanie bestialsko rozprawiali się z rebeliantami chińskimi podczas powstania "bokserów" w 1901 roku i tu doznali druzgocącej klęski w kilka lat później za sprawą Japończyków. Powrócili po rewolucji w Rosji /osławione porozumienie Wang - Karahan/ po to, ażeby opuścić ten liczący przeszło milion kilometrów kwadratowych obszar, bogaty w złoża mineralne, zasobny w wydajne rolnictwo, dysponujący nawet określonym potencjałem przetwórczym, po okupacji Mandżurii przez Japończyków.

Raz jeszcze wracają po 1945 roku, gromiąc Japończyków w ostatniej, już przegranej przez nich fazie wojny... i znowu opuszczają Mandżurię, zmuszeni do tego przez upartego narodowego komunistę Mao. Czy po raz ostatni?

- Mandżuria i Korea stanowiły również obszary, w stronę których kierowały swój wzrok USA. Amerykanie nosili się m.in. z projektem budowy własnej kolei na mandżurskiej ziemi. Zgodnie z doktryną Johna Haya, tzw. "doktryną otwartych drzwi" /1899 r./, USA dążyły do zahamowania dezintegracji Chin i stworzenia równych szans dla wszystkich w handlu z tym krajem.

"...Stany Zjednoczone działają z myślą o tym, by zapobiec jakimkolwiek zagrożeniu interesów obywateli amerykańskich w wyniku odrębnych układów zawieranych z Chinami przez poszczególne mocarstwa kontrolujące tzw. strefy interesów..." - głosiła doktryna Haya.

To prawda, że Stany Zjednoczone n i g d y nie prowadziły wojny przeciwko Chinom /udział Amerykanów w korpusie ekspedycyjnym, który działał tu w czasie powstania "bokserów" w 1901 roku, był zgoła symboliczny/, lecz ich polityka wobec "chorego człowieka Azji" niewiele w istocie różniła się od polityki jawnych agresorów, takich jak Rosja czy Japonia.

Stany Zjednoczone natomiast pod groźbą działań "czarnych okrętów" komandora Perry w 1854 r. dokonały "otwarcia" portów japońskich dla handlu zagranicznego, co przyspieszyło nadejście "ery Meiji" i przemian modernizacyjnych na Wyspach Japońskich.

Amerykanie w późniejszym okresie zdawali sobie sprawę, że czeka ich konfrontacja z Rosją lub Japonią o wpływy w strefie Pacyfiku. Rosja jednak na pewien czas wypadła z gry, pozostawała więc Japonia. Ale Amerykanie - zgodnie z tradycyjną polityką nieingerencji zbrojnej - poprzestawali na werbalnym potępieniu akcji Japonii wobec Chin oraz na udzielaniu napadnętemu krajowi /w 1931 roku i w 1937 roku/ pomocy gospodarczej i wojskowej.

Taki stan rzeczy pozostawał do świtu 7 grudnia 1941 roku, kiedy atak japoński na Pearl Harbour wstrząsnął Ameryką. Był to wielki sukces militarny Japończyków, a zarazem początek ich klęski.

W Chinach zaś trwała "dziwna wojna". Japończycy, po pierwszych sukcesach w 1937 roku, ugrzęźli tu na dobre. Nie byli w stanie ani tej wojny wygrać, ani... przegrać. Z kolei zarówno narodowy rząd Kuomintangu, jak i komuniści chińscy, szykowali się do decydującego starcia o panowanie nad Chinami. Interesujące, że Rosjanie, mając oficjalne stosunki z rządem marszałka Czanga, mając w jego armii doradców i dostarczający jej sprzętu wojskowego, jednocześnie wspierali komunistów, którzy usadowili się w Jenanie.

Również w amerykańskich ośrodkach dyspozycji politycznej, m.in. w Departamencie Stanu, istniało silne projapońskie lobby. W latach 1944-1945 /praktycznie trwało to do zakończenia wojny na Pacyfiku/ następowało poważne zbliżenie pomiędzy Amerykanami a komunistami chińskimi. W Jenanie została zainstalowana nawet amerykańska misja wojskowa.

Podenerwowany tym wyraźnie marszałek Czang Kai-szek ostro zaatakował w przemówieniu z okazji rocznicy rewolucji 1911 roku sojuszników zachodnich, a osobnie Churchilla i Roosevelta /stary Czang wcześniej od Polaków w Londynie dostrzegł, że jest sprzedawany.../, co spotkało się ze sprzeciwem na łamach prasy komunistycznej, w artykule przewodniczącego Mao! Nieco wcześniej, ale również w 1944 roku, Mao stwierdził /zgodnie z rewelacjami amerykańskimi, pochodzącymi dopiero z 1971 r./:

"...Jesteśmy przede wszystkim Chińczykami /.../ Chiny muszą przeprowadzić forsowną industrializację, a mogą to uczynić jedynie popierając przedsiębiorczość, korzystając z obcych kapitałów /.../ Rosjanie ponieśli ogromne straty i będą musieli poświęcić się odbudowie własnego kraju /.../ Będziemy bardziej wiarygodnymi partnerami dla Stanów Zjednoczonych, aniżeli Kuomintang...".

Wszelako Amerykanom chodziło o utrzymanie pozycji Czang Kai-szeka, którego żona, piękna Sunh Mei-lin, miała rozbudowane koneksje w kołach amerykańskiego establishmentu. Liczni jego przedstawiciele dążyli do pośrednictwa w pojednaniu narodowym w Chinach, ale, jak wiadomo, bez sukcesu.

Później Amerykanie popierali koncepcję "dwóch Chin", utrzymując stosunki z Tajwanem, gdzie - tak na marginesie - dokonywał się prawdziwy "cud gospodarczy", i ignorując istnienie Chin kontynentalnych aż do pamiętnej misji Kissingera i wizyty Nixona w Pekinie, w ramach "polityki realizmu" i bolesnej rewizji dotychczasowych poglądów na sprawy Azji i Pacyfiku.

W odróżnieniu od Amerykanów, z ich elastycznością i zdolnością do porzucenia pewnych dogmatów, Rosjanie byli i pozostają niewolnikami tych ostatnich. Tak na przykład, w agresji japońskiej na Pacyfiku i projektach utworzenia tzw. Strefy Wzajemnego Dobrobytu Ludów Azji dostrzegali oni jedynie dążenie Japonii do dominacji na tym obszarze, do zastąpienia jednego kolonializmu - "białych", innym kolonializmem - "żółtych". Nadmiernie też eksponowali w analizach i prognozach pierwiastek ideologiczny, nie doceniając najwyraźniej takich czynników sprawczych, jak nacjonalizm, poczucie wspólnoty rasowej, rezerwa i awersja do świata "ludzi białych", do których odnoszono także Rosjan z całym bagażem ich eksportowej ideologii, stanowiącej właściwie nowe opakowanie starych zgłęka treści, prezentowanych na tym obszarze przez Rosję carską.

Nie rozumieli oni chociażby, co oznacza pozycja cesarza w Japonii, nawet pokonanej, a może właśnie w "pokonanej", domagając się głowy monarchy - tego żywego symbolu liczącej przeszło dwa i pół tysiąca lat historii kraju; nie boga, lecz człowieka, który kilka razy w czasach swego panowania rzucał swój głos na szale, na których ważyły się losy narodu, po raz ostatni w sierpniu 1945 roku, kładąc kres przegranej wojnie, wzrew stanowisku wojskowych.

Zupełnie nie uwzględnili, iż paradoksem historycznym jest to, że Japończycy, odnosząc w pierwszej fazie wojny na Pacyfiku błyskotliwe zwycięstwa, przyczynili się do obalenia mitu o potęgę mocarstw kolonialnych, przekreślając jakąkolwiek szansę na "powrót do tego, co było". Sami zaś, dzięki zdumiewającym sukcesom gospodarczym, zjednali sobie uznanie i przychylność narodów jeszcze tak niedawno przez siebie zniewolonych i wyzyskiwanych.

Rosjanie nie pojęli, że e p o k a b i a ł e g o

człowieka w strefie Pacyfiku, w jej dotychczasowym wydaniu, dobiegła końca; że utopią jest hasło Lenina - "Droga do rewolucji światowej prowadzi przez Chiny!". Jak pamiętamy zresztą, najpierw prowadziła przez Warszawę, Berlin, Paryż...

Nie pojęli Rosjanie tego wszystkiego, co zrozumieli /acz nie bez trudu/ Amerykanie w Wietnamie, a wcześniej, również tam, Francuzi, Holendrzy - w Indonezji, zaś Anglicy - w Indiach i na Malajach. Wszyscy oni przegrali konfrontację z rozbudzonymi aspiracjami ludów, których tożsamość została ukształtowana w kręgu cywilizacji bramińskiej lub chińskiej, nie zaś stepowo-bizantyjskiej.

Rosyjską myśl polityczną ukształtowała historia Rusi Moskiewskiej z jej obsesją Trzeciego Rzymu i zakodowanym ekspansjonizmem we wszystkich możliwych kierunkach. W ciągu 600 lat Rosjanie stawiali czoła zaledwie cztery razy obcym najazdom: Tatarów u zarania swych dziejów, Napoleona w wieku XIX, interwencji po przewrocie bolszewickim w listopadzie 1917 roku oraz inwazji Niemiec hitlerowskich w latach 1941-45. Natomiast, według danych rosyjskiego Sztabu Generalnego, tylko w okresie od 1700 do 1870 roku Rosja prowadziła 38 wojen /operacji wojskowych na wielką skalę/, z których jedynie dwie miały charakter defensywny.

Obszar imperium - 14 mln km kw. i 67 tys. km długości granic państwowych z "pierwiastkiem rosyjskim", pozostającym w mniejszości względem ludów "zjednoczonych" już to pod berłem carskim, już to pod czerwonym sztandarem - to obszar zróżnicowany pod względem klimatycznym, z gospodarką tradycyjnie zafałszowaną, a przeto nieefektywną, szczególnie w dobie rewolucji technicznej i technologicznej, która bezlitośnie obnażyła wszystkie mankamenty tego kolosa, który z nicości i niewoli tatarskiej wyłonił się przed oczyma zdumionej Europy za sprawą przebiegłych Daniłowiczów - książąt moskiewskich, od których wziął początek proces "scalania ziem ruskich". Tak pisze o tym profesor Jan Kucharzewski w swoim znakomitym dziele pt. "Od białego do czerwonego caratu":

"Głównym zadaniem kniaziów Moskwy było rozszerzenie państwa. Rozszerzeniu temu nadawano pozory prawa i słuszności, nazywano je jednoczeniem ziem ruskiej. W istocie, jednoczenie owe odbywało się drogą gwałtu i strasznych okrucieństw, wbrew woli ludności /.../ Moskwa rozpierała się na wszystkie strony i podbijając dziesiątkami obce plemiona i państewka, wciąż jednoczyła ziemie ruskie. Gdy przedsięwierała na jakiś kraj wyprawę, już z góry ogłaszała, iż on jej się z prawa należy..."

Przypomnijmy, że kiedy Rosjanie zjawili się nad Amurem, natychmiast zaczęli twierdzić, że "są to ziemie niczyje", a więc "nasze". Kiedy zniewolili Ukrainę /do czego, tak na marginesie, walnie przyczynili się polscy panowie kresowi/, natychmiast przemianowali ten kraj, kraj początków państwowości ruskiej, wywodzącej się z Rusi Kijowskiej, na "Małorosję". Dla Mandżurii zaś /"ziemi niczyjej"/ zarezerwowali nazwę - "Zółto-

"Rosja".

Z takim dziedzictwem zjawili się Rosjanie w Azji. Tylko taką wizję mieli do zaoferowania ludom Pacyfiku - państwom regionu w znacznym, jeżeli nie decydującym stopniu ukształtowanego przez cywilizację chińską. Tak było w wiekach XVII-XI, za Rosji carskiej. Niewiele też się zmieniło u schyłku drugiego tysiąclecia ery nowożytnej, w przededniu wieku XXI.

Ameryka, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, z natury rzeczy, ze względu na swe położenie geograficzne i zainteresowania polityczne, znalazły się u samych źródeł narodzin ery Pacyfiku.

Sięgnijmy do opinii Edwina O. Reischauera, Amerykanina, który urodził się w Japonii, ma żonę Japonkę i był wieloletnim ambasadorem USA w tym kraju. W czasie wojny pracował on w dowództwie operacji strategicznych, dzięki czemu, jak głosi fama, uratował Kioto przed zagładą atomową, jako że dla dowódców, przygotowujących zrzućenie bomby atomowej na Japonię, prastara stolica tego kraju, jedyny w swoim rodzaju skansen kultury narodowej, była najbardziej dogodnym celem ataku. Mówi się, że Reischauer ze łzami w oczach tłumaczył oficerom sztabowym cały koszmar tej decyzji i jej późniejsze fatalne skutki dla długofalowych planów amerykańskich wobec Japonii i Japończyków. Otóż Reischauer, autor niezwykle cennej pracy pt. "Trans-Pacific Relations", wydanej w Tokio w 1969 roku, pisze:

"Przez pierwsze cztery dekady bieżącego stulecia nasza polityka dalekowschodnia, którą określało się jako politykę "otwartych drzwi" dla handlu oraz "integralności terytorialnej" Chin, skoncentrowała się wokół narastających konfrontacji między Japonią a Ameryką, co zostało uwydatnione przeobrażeniem stosunków między Japonią a Chinami. Rezultatem była wojna na Pacyfiku, jeden z największych konfliktów w historii, przy czym w wojnie tej zmierzyły się przede wszystkim siły japońskie i amerykańskie, podczas gdy Chiny odegrały rolę marginesową".

Przechodząc do sytuacji, ukształtowanej w wyniku tej wojny, E.O.R. stwierdza z przekonaniem, że "podstawowym zagadnieniem w Azji Południowo-Wschodniej znów stały się stosunki chińsko-japońskie".

No a Rosja? Nad granicą z Chinami mają Rosjanie 50 dywizji czyli ok. milion żołnierzy pierwszego rzutu. Rakiety sowietkie, tak SS-20 - obejmujące swym zasięgiem Mandżurię i Japonię, jak i taktyczne - rozlokowane w Mongolii, kraju pozornie tylko suwerennym, wymierzone są w kierunku Pekinu i Południowej Mandżurii. Flota Pacyfiku, operująca pod czerwona banderą z bazy morskiej we Władywostoku, który już w chwili założenia w XIX w. Japończycy nazwali "pistoletem wymierzonym w serce Japonii", jest zdolna do operacji na całym m akwiecie, do Oceanu Indyjskiego włącznie, zważywszy, iż korzysta ona obecnie ze zbudowanej przez Amerykanów nowoczesnej bazy w Da Nang, w Wietnamie.

Nie powiodło się Rosjanom wyraźnie w Afganistanie, przez który zmierzali /od niepamiętnych czasów/ w stronę "ciepłych mórz", pół naftowych Środkowego i Bliskiego Wschodu, gdzie miało /m a / nastąpić spotkanie z inną koncepcją strategiczną, znaną pod kryptonimem "gołubaja mięczta" /"niebieskie marzenie"/, czyli usadowienie się nad Nilem...

Miękkim podbrzuszem sowieckiego imperium pozostaje jednak Azja Środkowa, szczególnie obecnie - w dobie renesansu fundamentalizmu islamskiego, któremu Rosjanie wypowiadzieli wojnę w XIX wieku, a ich ateistyczni spadkobiercy potwierdzili to u schyłku wieku XX.

Stratеды sowieccy, planiści ze Sztabu Generalnego, przygotowujący kolejne warianty s t a r y c h kierunków natarcia, pamiętają zapewne, że jedna z największych bitew /choć zapomniana raczej przez historyków/ w dziejach ludzkości stoczona została w 751 r. pod Atlachem, nad rzeką Talass, w północnej Kirgizji, kiedy to Arabowie zadali druzgocącą klęskę armii chińskiej. Ale skąd Chińczycy aż tam, daleko od granic Państwa Środka? Otóż w pewnym sensie zdarzenie powyższe z jednej strony było wynikiem rywalizacji Chin z Tybetem o wpływy w Azji Środkowej, z drugiej zaś - wynikało z polityki Bizancjum, które pod presją Arabów, słabnąc coraz wyraźniej, szukało pomocy w Chinach. Rosjanie natomiast pojawili się na tych obszarach 1000 lat później, ale byli skuteczni i bezwzględni, więc podbili ówczesny Turkestan i skierowali się przez Afganistan w kierunku "ciepłych mórz". I tu napotkali imperialistycznych rywali - Anglików, broniących dostępu do "Perły Korony" - Indii.

Znaleźliśmy się dość daleko od brzegów Oceanu Spokojnego, ale musimy pamiętać, że współczesna sowiecka ekspansja na wszystkich azymutach, ich obsesja t o t a l n e j o b e c n o ś c i, mają swoją bardzo długą historię; raczej mają boscie, którzy twierdzą, że procesy zapoczątkowane na Rusi Moskiewskiej, w tym zakodowany ekspansjonizm i hegemonizm, t r w a j ą n a d a l. I prawdopodobnie cechy te zostaną przeniesione również w wiek XXI, także w strefę Pacyfiku.

/Dokończenie w następnym numerze/

Michał Łożeński

ZANIM ZADZWONIŁ GORBACZOW...

Poniższy tekst jest fragmentem książki napisanej przez Elenę Bonner na przełomie 1985 i 1986 roku. W chwili wydania "Wojny z KGB" nikt nie przypuszczał, iż zakończenie może być jeszcze szczęśliwsze, niż to sobie wymarzyła Autorka. Władze sowieckie, od lat z upodobaniem represjonujące małżeństwo Sacharowów, ugięły się przed godną, odważną postawą dwójga starszych i schorowanych ludzi, ugięły się przed międzynarodową opinią publiczną; pamiętać jednak trzeba i to, że potrzebny jest im nowy, bardziej liberalny image "epoki Gorbaczowa" /z różnych względów/. Od pierwszych dni grudnia 1986 roku Elena Bonner i Andriej Sacharow mieszkają znów w Moskwie po powrocie z zesłania, zaś proces przeciwko pani Bonner został przerwany. Kto wie, może nawet to nie jest jeszcze szczęśliwym zakończeniem? Zakończeniem, na które, wraz z Andriejem i Eleną, czeka większość ludzi żyjących w sowieckim imperium. /red./

Elena Bonner

Moja wojna z KGB

Mam bardzo mało czasu i tak mało sił. Chciałabym zabić wspomnienia, zapomnieć o życiu w Gorki, tak zupełnie różnym od życia w Stanach, od normalnego życia w ogóle. To, co piszę, nie jest pamiętnikiem, gdyż to, o czym piszę, jest zbyt bliskie i zbyt bolesne. Dziennik byłby dobrym określeniem, ale w naszej sytuacji pisanie dziennika jest niemożliwe - z góry wiadomo, że znajdzie się w niepowołanych rękach. Najlepiej nazwać to kroniką wypadków.

Pod koniec 1982 r. moje serce dało znać o sobie. Wcześniej pojawiały się bóle, które mijały, a poza tym starałam się o tym nie myśleć. Byłam zbyt zajęta. W ciągu dwóch lat odbyłam 100 podróży z Moskwy do Gorki, 400 km w jedną stronę, odwiedzając męża, który przebywał na zesłaniu od 1980 r. Większość naszych przyjaciół miała kłopoty - aresztowania, przesłuchania, rewizje.

W listopadzie 1982 r., gdy byłam w Gorki, zaczęły się poważne kłopoty z sercem, poczułam, jakby stanęło w płomieniach. W szpitalu moskiewskiej Akademii Nauk zrobiono mi elektrokardiogram, który nic nie wykazał. Wróciłam więc do Gorki, wioząc ze sobą książkę Nikołaja Jakowlewa "CIA Target - the USSR". W książce tej Jakowlew atakował mnie i męża^{x/}.

25 kwietnia 1983 r. poczułam nagle ostre klucie. Nie mogłam się ruszyć ani wydobyć głosu. Oetatktem sił doczołżałam się do nocnej szafki stojącej przy łóżku męża - trzymał tam tabletki nitrogliceryny. Po chwili ból ustąpił, zawołałam Andrieja i położyłam się. Miałam wciąż ataki mdłości i czułam się niezwykle słabo. Jestem lekarzem - stałam się więc własnym pacjentem: Wiedziałam, że to atak serca, ale podświadomie temu zaprzeczałam.

Wkrótce otrzymałam telegram informujący o rozpoczęciu procesu Aleksieja Smirnowa. 12 maja pojechałam do Moskwy. Proces miał się odbyć następnego dnia. Wyobraziłam sobie schody nad torami kolejowymi na drodze do sądu. Tak wielu już tam zostało skazanych: Bukowski, Krasnow-Lewitin, Twardochlebow, Orłow^{xx/}, Tania Welikanowa, Tania Osipowa i inni. I wtedy poczułam się bardzo źle, nie psychicznie, ale naprawdę chora - zawroty głowy, skurcze serca, zsiniały mi paznokcie.

Powiedziałam przyjaciółom, że nie mogę iść do sądu. Poprosiłam, aby ktoś jak najszybciej poinformował mnie o przebiegu procesu, a ja przekażę te informacje prasie zachodniej. Wiedziałam, że nie będzie to proste. Już wtedy moje mieszkanie było pod nieustanną obserwacją, nie miałam telefonu w domu, najbliższy automat był stale uszkodzony.

Dyskusje z lekarzami przedłużały się, ale nie to było najgorsze. 3 czerwca 1983 r. w "Izwestiach" ukazał się list czterech akademików, będący odpowiedzią na artykuł Sacharowa, opublikowany w "Foreign Affairs", pt. "Niebezpieczeństwa wojny termojądrowej". Chociaż w swojej publikacji Sacharow wyraźnie podkreśla, że "wojna jądrowa jest absolutnie niedopuszczalna" i domaga się "całkowitego rozbrojenia jądrowego w oparciu o strategiczny parytet broni konwencjonalnej", akademicy oskarżyli go o "nawoływanie do nuklearnego szantażu, skierowanego przeciwko własnemu krajowi". Nadeszła cała lawina listów - jednego dnia otrzymaliśmy 132 - pełnych wymyślań i oszczerstw pod adresem męża. Po artykule Jakowlewa, opublikowanym w jednym z magazynów, ton listów zmienił się, stał się wyraźnie antysemitki^{xxx/}. Zaczęły pojawiać się groźby pod moim adresem. Grożono nam na targu w Gorki, na ulicy, nawet gdy staliśmy na balkonie naszego domu.

x/
Jakowlew jest radzieckim historykiem specjalizującym się w problematyce amerykańskiej /red./

xx/
Jurij Orłow wraz z żoną, Iriną Walitową, został uwolniony w związku ze sprawą Daniloffa /red./

xxx/
Matka Eleny Bonner była Żydówką - zatem ataki były skierowane bezpośrednio na żonę Sacharowa /red./

4 września wracałam z Gorki rannym pociągiem. W moim przedziale był mężczyzna i dwie kobiety w średnim wieku. Jedną z nich zapytała: "Czy pani jest żoną Sacharowa?" Gdy potwierdziłam, mężczyzna powiedział: "Już dawno powinni go byli wyrzucić z Akademii. A co do pani..." Wówczas wtrąciła się druga kobieta, mówiąc, że jest radziecką nauczycielką i nie będzie jechała ze mną w jednym przedziale. Jej towarzysze poparli ją. Zaczęli bardzo głośno mówić, krzyczeć. Ktoś zażądał, aby zatrzymać pociąg i wyrzucić mnie z przedziału. Krzyczeli coś o wojnie i Żydach. Konduktorka zabrała mnie do służbowego przedziału. Wszystko to było przerażające.

Sacharow uważał, że powinnam wystąpić z oskarżeniem przeciwko Jakowlewowi, za to, co wypisywał o mnie w swojej książce. Stwierdził tam między innymi, że jestem "rozwiązła", że manipuluję Sacharowem na rozkaz CIA i "międzynarodowego syjonizmu". Napisałam więc pozew do sądu, a jako część uzasadnienia przedstawiłam mój życiorys.

Urodziłam się w 1923 r. Mój ojciec, ofiarny członek partii bolszewickiej, został aresztowany w 1937 r. jako zdrajca ojczyzny /wkrótce został stracony/ i pośmiertnie zrehabilitowany w 1954 r. Moją matkę aresztowano również w 1937 r. Z młodszym bratem przenieśliśmy się wówczas z Moskwy do Leningradu. Ukończyłam szkołę średnią w 1940 r. w Leningradzie i po wybuchu wojny wstąpiłam do armii jako sanitariuszka.

26 października 1940 r. zostałam ciężko ranna, miałam wstrząs mózgu. Po dwumiesięcznym pobyciu w szpitalu wróciłam na front. Awansowałam do stopnia lejtnanta oddziałów medycznych. Zostałam zdemobilizowana w sierpniu 1945 r. jako inwalidka - niemal całkowita utrata wzroku w prawym oku i postępująca utrata wzroku w lewym oku w wyniku doznanego wstrząsu mózgu.

W 1947 r. wstąpiłam do Pierwszego Instytutu Medycznego w Leningradzie i ukończyłam sześcioletnie studia. Do czasu przejścia na emeryturę pracowałam jako lekarz rejonowy i jako pediatra w izbie porodowej.

Podczas wojny, a i w następnych latach, miałam silny psychiczny opór przed wstąpieniem do partii - w końcu moi rodzice zostali aresztowani jako zdrajcy ojczyzny. Po krytyce stalinizmu na XX Zjeździe, a zwłaszcza po XIII Zjeździe, zmieniłam zdanie i w 1965 r. zostałam członkiem partii. Jednak po inwazji na Czechosłowację uznałam to za błąd i w 1972 roku złożyłam legitymację.

Mam dwoje dzieci - córkę Tatianę /ur. 1950 r./ i syna Aleksieja /ur. 1956 r./. Ich ojciec, Iwan Siemionow, cały czas jest prawnikiem Pierwszego Instytutu Medycznego w Leningradzie. Od 1965 r. żyjemy w separacji.

W sądzie rejonowym w Moskwie spędziłam kilka godzin, zanim dostałam się do sędziego. Powiedział, że nie mogą złożyć pozwu, jeżeli nie uzyskam zgody prezesa sądu. Znowu długa

droga po schodach. Prezes miał dużą, zmęczoną twarz, szary garnitur, mnóstwo medali i odznaczeń na piersiach. Kiedy wstawał, usłyszałam trzeszczenie protezy - nie miał nogi, musiał być inwalidą wojennym. Czytanie moich papierów zajęło mu niemal pół godziny. Potem stwierdził: "Proszę zwrócić się ponownie do sędziego, Zapewniam, że przyjmie pani pozew". Sędzia z kolei poinformował mnie - że dadzą mi znać w ciągu miesiąca o terminie rozpatrzenia mojej sprawy.

Minał październik i ani słowa z sądu. Znow udałam się do prezesa. Teraz jednak okazało się, że nie może przyjąć mojej sprawy. Chciałam wiedzieć, dlaczego? Wzruszył ramionami: "Nie mogę". Powiedziałam: "Proszę mi powiedzieć, czy dostał pan jakiś nakaz z góry?" Spojrzał na mnie ostro, z żywym zainteresowaniem w oczach i powiedział: "Z wysokiej góry". "Rozumiem - zgodziłam się - ale przecie ja napisałam prawdę, a Jakowlew jest kłamcą". Na co on odpowiedział: "Sprawdziłem parę rzeczy". Zapadła cisza. Podniosłam się do wyjścia, chciałam uścisnąć mu rękę. Wyszłam zza swojego biurka trzeszcząc protezą, w rękach trzymałam moje akta. Wyciągnęłam do niego dłoń, on zaś wyciągnął w moją stronę teczkę z papierami. W tym momencie zrozumiał moją gest. Uścisnęliśmy sobie dłonie. "Czy chce pani, abym przechował te akta? Schowam je do sejfu. Może się doczekają. Może znow zaczną rehabilitować".

Wyszłam z mieszanymi uczuciami. Czukałam szacunek dla tego człowieka, który powiedział tak wiele, tak wiele zrozumiał. Jednocześnie współczułam mu, że mógł pracować w tym systemie.

Do 2 maja 1984 r. życie nasze upływało spokojnie, chociaż przez cały czas bałam się, że mąż rozpocznie głodówkę, domagając się od władz wypuszczenia mnie na Zachód na leczenie. Musiałam wracać do Moskwy. Właściwie bez żadnego powodu postanowiłam zabrać ze sobą listy i apele pisane przez Sacharowa, odpisy moich listów do dzieci, w których pisałam o planowanej głodówce, a także kopie moich listów do męża. Do dziś nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Na lotnisku w Gorki, kiedy wprowadzono nas do samolotu, zostałam otoczona przez pięciu mężczyzn. Wzięli mnie pod ręce i zaprowadzili do niedużej furgonetki. Zawieźli mnie do biura, w którym urzędował jakiś cywil. Przedstawił się jako Gennadij Kolesnikow. Oskarżył mnie o naruszenie artykułu 190-1 kodeksu karnego, który mówi, że "kto znieważa radzieckie państwo lub system społeczny podlega karze do trzech lat w obozie pracy". W następnym pokoju dwie kobiety w mundurach MSW obszukały mnie bardzo dokładnie. Przeszukały również moją torbę. Zabrały listy do dzieci, informujące o planowanej przez męża głodówce. Kolesnikow ledwo rzucił na nie okiem - widać musiał czytać je wczesniej.

Z pierwszego przesłuchania nie pamiętam żadnego pytania, za to pamiętam moją odpowiedź na wszystkie: "Odmawiam udziału w przesłuchaniu i nie odpowiem na pytanie, gdyż nigdy, nigdzie i w żadnych okolicznościach rozmyślnie nie rzucałam oszczerstw na państwo radzieckie czy system społeczny, ani też na żadne inne państwo i jego system społeczny, ani też na żadną prywat-

na osobę". Następnego dnia też wezwano mnie na przesłuchanie i w końcu zawlezione furgonetką do domu.

Gdy wysiadałam, podszedł do mnie mężczyzna i zapytał: "Czy pani Elena Bonner?" "Proszę odejść" - powiedziałam, myśląc, że ktoś próbuje skontaktować się ze mną na oczach KGB - jeżeli pan nie odejdzie, będzie pan miał kłopoty." "Pozwoli pani, że się przedstawię - odrzekł. - Jestem szefem KGB w okręgu Gorki". To była absurdalna sytuacja. Wszedł ze mną do naszego mieszkania. Mąż wybiegł mi na spotkanie. Powiedziałam, że to jest szef KGB w Gorki.

Musiłam natychmiast iść do łazienki. Kiedy wróciłam, Sacharow i ten drugi krzyczeli na siebie. Szef KGB wrzeszczał: "Bonner jest amerykańskim szpiegiem, agentką CIA, syjonistycznym szpiegiem. Oskarżymy ją z artykułu 64". Jest to artykuł o zdradzie państwa, zagrożony karą śmierci. Szef KGB wybiegł, grożąc mi jeszcze, za nim na korytarz wybiegł mąż, też coś krzycząc.

Po chwili mąż wrócił i powiedział, że rozpoczął głodówkę. Widział, jak mnie zabierają furgonetką i był przekonany, że zostałam aresztowana. Wysłał telegram do Prezydium Rady Najwyższej i do KGB, informując, że zaczyna głodować o mój paszport.

7 maja znów wezwano mnie na przesłuchanie, mąż pojechał ze mną taksówką. Kolesnikow wezwał później również męża i powiedział: "Przyjechali po pana lekarze, musi pan jechać do szpitala". Mąż próbował protestować, ale do pokoju weszło pięciu czy sześciu mężczyzn w białych fartuchach, co uczyniło wszelki opór beznadziejnym. Mąż poprosił jeszcze, żebym mogła z nim jechać.

Zawleczono nas do szpitala karetką. Czuję się bardzo źle, bolał mnie kręgosłup, więc położyłam się na łóżku obok męża. Zaraz potem wszedł dr Oleg Obuchow, ordynator i powiedział, że muszę opuścić szpital. Kilku ludzi weszło, aby wprowadzić mnie siłą. Mąż objął mnie w pasie. Próbowali wyszarpnąć mnie z jego ramion, ciągnąc z całej siły, a on z kolei przyciskał mnie do siebie. Kiedy wlekli mnie po korytarzu, słyszałam jego krzyki.

Następnego dnia obudził mnie dzwonek do drzwi. To był Kolesnikow w towarzystwie kilku funkcjonariuszy. Przedstawili mi nakaz rewizji. Zabrali mnóstwo papierów męża. Zrobili listę zabranych przedmiotów - 319 pozycji. Kilka z nich to teczki z notatkami, około 300 stron każda. Zabrali wiele książek, wszystkie angielskie i niemieckie, maszynę do pisania, magnetofon, kamerę, aparat fotograficzny, i, co najważniejsze, radio. Opukiwali ściany i meble, szukając ukrytych schowków. Jeden z mężczyzn pobrał próbki jedzenia i lekarstw - chyba szukali jakichś narkotyków. Rewizja trwała do dziesiątej wieczorem.

Nazajutrz postanowiłam jechać do szpitala. Poprosiłam kierowcę taksówki, żeby zatrzymał się po drodze, gdyż chcę kupić kwiaty. Spostrzegłam, że jestem śledzona. Podeszło dwóch agentów KGB pytając, co ja tu robie. Odpowiedziałam, że kupuje kwiaty i że to mi wolno. "Owszem, wolno, ale nie wolno pani iść do szpitala. Niech pani nawet nie próbuje. Nie wpuszczaj pani, spotka panią więcej nieprzyjemności". Odpowiedziałam, że trudno byłoby mi wyobrazić sobie więcej nieprzyjemności, niż to, co już nas spotkało.

Wróciłam do domu. Dopiero później dowiedziałam się, że 11 maja, dziewiątego dnia głodówki, mąż miał atak po dożylnym zastrzyku. Stan jego bardzo się pogorszył, obawiali się, że nie przeżyje sztucznego dokarmiania. Przez pewien czas ledwo chodził i mówił, nie mógł pisać.

20 lipca rozmawiałam z Kolesnikowem o moim adwokacie. Postanowiłam wziąć Helenę Reznikową z Moskwy. Kolesnikow upierał się przez kilka dni, że muszę mieć prawnika z Gorki, lecz później zrezygnował. 25 lipca, po przybyciu Reznikowej, przedstawiono mi akt oskarżenia - 6 tomów, zapisy przesłuchań, jakieś dokumenty, nawet listy od robotników, domagające się mojego ukarania.

Pierwszy poważny zarzut dotyczył konferencji prasowej, której udzieliłam 2 października we Florencji. Konferencja była na temat włoskiego wydania książki Sacharowa "Mój kraj i świat". Zapytano mnie o los kobiet w obozach pracy. Nie mówiłam o działaczach ruchu praw człowieka, ale o Marii Siemionowej, członkini Kościoła Ortodoksyjnego. Prawie całe życie spędziła w obozach. W swojej wypowiedzi nie mówiłam nic o sprawiedliwości czy niesprawiedliwości, w ogóle o wyrokach. Mówiłam tylko o tragicznym losie tej kobiety, użyłam słowa "tragiczny". To okazało się być oszczerstwem, gdyż Siemionowa została słusznie skazana.

Pozostałe zarzuty były podobne. Na innej konferencji prasowej we Florencji, po wypowiedzi oficjalnych przedstawicieli Kościoła Ortodoksyjnego, że w ZSRR panuje pełna wolność religii, zaproponowałam, "iż jest to - łagodnie mówiąc - nieprawda". W 1975 r. w Oslo, gdzie odbierałam Nagrodę Nobla dla Sacharowa, stwierdziłam, że w ZSRR panuje dyskryminacja. Jako przykład podałam Żydów, którzy usiłują dostać się na wyższe uczelnie. Powiedziłam również, że w ZSRR są w użyciu dwa rodzaje pieniędzy: normalne i bony, które wysocy rangą urzędnicy państwowi mogą realizować w specjalnych sklepach.

Mój proces rozpoczął się 8 sierpnia, w budynku sądu rejonowego, na głównej ulicy Gorki. Czy przyznałam się do winy? Moja odpowiedź brzmiała: "Stanowczo nie przyznaję się do winy, gdyż nigdy, nigdzie i w żadnych okolicznościach nie rozgłaszałam opinii, mogących zniesławić radzieckie państwo i system społeczny, ani też żadne inne państwo i system społeczny lub prywatną osobę". Jeżeli rzeczywiście popełniłam jakieś przestępstwo, to dlaczego oskarżono mnie dopiero teraz, skoro przedstawione mi zarzuty dotyczą zdarzeń sprzed wielu lat?

Nie wiem dlaczego, prokurator zwrócił szczególną uwagę na moje stwierdzenie, że w ZSRR są dwa rodzaje pieniędzy. Spodziewając się tego zarzutu, przyniosłam do sądu dwa ruble - jeden normalny, a drugi w bonie. Miałam również dokument, potwierdzający, że mąż otrzymywał bony za swoje publikacje naukowe za granicą. Prokurator wybuchnął. Zaczął krzyczeć, iż jestem płatnym agentem CIA i że opłacali mnie tymi właśnie bonami. Ja również krzyczałam, że nie jestem agentem, że CIA mi nie płaci i że bony te mąż otrzymał legalnie za naukowe publikacje na Zachodzie. Po czym zwróciłam się do sądu: "pan prokurator obraził mnie. Jeżeli mnie nie przeprosi, odmawiam udziału w procesie". Myślę, iż krzyczałam głośniejsz niż prokurator. Sąd zgodził się ze mną. "Prokurator ma przeprosić oskarżoną". Pan prokurator zamruczał: "Przepraszam".

W swoim ostatnim słowie powtórzyłam, iż nie uważam się za winną i że lepiej by zrobili pozwalając mi wyjechać za granicę, niż montując ten proces. Po godzinie sędzia ogłosił wyrok: "5 lat zesłania".

W jaki sposób udało nam się przeżyć lato 1984 r.? Z jednej strony było mi bardzo ciężko. Ale jednocześnie poświęcałam dużo czasu na pracę w ogrodzie - hodowałam kwiaty, robiłam konfitury. Myślałam, że jeśli nasza rozłąka z mężem będzie trwała nadal, to niech przynajmniej za konfitury na zimą.

W połowie sierpnia zostałam wezwana przez Obuchowa, który zakomunikował mi, że mąż jest ciężko chory - ma poważną arytmię serca i głębokie zaburzenia w pracy naczyń krwionośnych mózgu. Uparcie nie chcieli wypisać go ze szpitala, twierdząc jednocześnie, że każda moja wizyta pogorszyłaby stan jego zdrowia.

Na początku września sąd odrzucił moje odwołanie i utrzymał wyrok w mocy. Urzędnik MSW odebrał mi paszport /ten krajowy/ i wręczył zaświadczenie stwierdzające, że jestem na zesłaniu. Oświadczył, że nie wolno mi wyjeżdżać poza Gorki i że mam wszystkie inne prawa obywatela ZSRR.

Następnego dnia Obuchow wezwał mnie znowu i powiedział, iż Sacharow jest na krawędzi śmierci, że poważnie niedomaga na serce, ma daleko posuniętą miażdżycę naczyń mózgowych i że cierpi na chorobę Parkinsona lub przynajmniej wykazuje jej symptomy. I że przede wszystkim nie powinnam go martwić. Prawie krzyżąc odpowiedziałam, że jako lekarze powinni wiedzieć, iż człowieka w tym stanie zdrowia nie należy izolować od jedynej bliskiej mu osoby. Oskarżyłam ich również o to, że podając mężowi lekarstwa, mające bardzo silne działania uboczne, pogorszyli tylko stan jego zdrowia. Dodałam, że moim zdaniem była to jedyna rzecz, jakiej nie zrobili z premedytacją - po prostu stracili głowy ze strachu przed KGB. Natomiast wszystko inne było zbrodnią wobec Sacharowa.

Dr Obuchow tłumaczył, że błędy w leczeniu męża nie były jego winą, a niekorzystnym zbiegiem okoliczności.

Kiedy wyszłam ze szpitala zobaczyłam nagle pielęgniarkę, która prowadziła pod rękę Sacharowa. Mąż miał na sobie ten sam płaszcz, w którym zabrano go w maju. Nie wydawało mi się żeby schudł - wręcz przeciwnie, wyglądał dość otyło. Ze łzami padliśmy sobie w ramiona. Wsiadliśmy do samochodu, obejmując się płakaliśmy. Trwało to chyba ze 20 minut. W końcu mąż zaczął opowiadać, co się z nim działo. Prowadził dokładne zapiski tego, jak go dręczono opowieściami, że cierpi na chorobę Parkinsona i że jest ona wynikiem głodówki. Nie omieszkało dodać, iż "zostanie całkowitym inwalidą; niezdolnym nawet do samodzielnego rozpięcia spodni". Sądząc z tego, co mąż mi opowiadał i na podstawie utrzymujących się objawów /mimowolne ruchy szczęki/, doszłam do wniosku, że mąż miał atak lub poważny skurcz naczyń mózgowych, spowodowany przymusowym dokarmianiem lub zastrzykami.

W domu nastroje męża były raczej dziwne. Z jednej strony Andriej był bardzo szczęśliwy, że znów jesteście razem - nie rozstawaliśmy się dosłownie ani na chwilę. Jednocześnie zaś obwiniał siebie, że przerwał głodówkę, że się poddał. Zapowiedział następny strajk na 7 września, ale kiedy go zwolnili, nie był w stanie podjąć tej decyzji - po prostu nie potrafił się ze mną rozstać.

Nastrój męża był raczej ponury. Kiedy powiedziałam mu, że powinien nauczyć się przegrywać, odpowiedział: "Wolę nauczyć się umierać z godnością". Wciąż powtarzał: "Zrozum, nie rozpocząłem głodówki jedynie z powodu twojego wyjazdu, ale po to, żeby mieć okno na świat. Chcą, żebym za życia stał się martwy. Ty, dając mi łączność ze światem, utrzymujesz mnie przy życiu. Chcą mnie odciąć i od tego". Pod koniec września mąż postanowił, że rozpocznie następną głodówkę. "Próbowali mnie zastraszyć chorobą Parkinsona i innymi rzeczami, myślą, że mnie złamali. Nie, rozpoczynam głodówkę".

Życie pod nadzorem KGB jest raczej dziwne i dość nieprzyjemne. Gdziekolwiek się pójdzie, zawsze czuje się obecność KGB - obserwują, filmują, niekiedy wymyślają różne przykrości. Czasem, podczas naszej nieobecności, ktoś wchodził do domu, rzeczy były porzucane, czegoś brakowało. Na początku uważałam, że mąż po prostu zapomina, gdzie kładzie swoje rzeczy, że KGB nie ma z tym nic wspólnego. Ale kiedy moje rzeczy zaczęły również ginać, zaczęłam robić notatki. Na przykład takie pozorne głupstwa: "Moja szczoteczka do zębów zginęła. Sprawdzialiśmy w łazience". A po kilku dniach: "Szczoteczka jest na swoim miejscu" i data.

Kiedy przez 10 miesięcy mieszkałam sama, często czułam wewnętrzne napięcie spowodowane świadomością, że policja pod moją nieobecność przeszukuje mieszkanie. Co tym razem zabrają? Czego nie znajdą? Od dwóch lat, gdy wychodzimy z domu, zostawiamy w zamku klucz. Zmęczyło nas ciągłe wyważanie drzwi.

Kiedyś mąż otrzymał pocztą paczkę z naukowymi publikacjami - ze środka wypełzło kilkanaście karaluchów. Były obrzydliwe,

przerażające. Później mąż tak o tym pisał w swoim dzienniku: "Wczoraj, kiedy otworzyłem paczkę z Instytutu Lebedewa Akademii Nauk, wybiegły z niej na wszystkie strony karaluchy. Udało mi się zabić pięć. Wątpię, czy dostały się do paczki w Instytucie. Najprawdopodobniej była to demonstracja pogardy ze strony KGB. Tak, jakby chcieli powiedzieć: Jesteście złyhającymi karaluchami. To jest oczywiście interpretacja, może tylko moja fantazja?"

16 kwietnia 1985 roku Sacharow rozpoczął kolejną głodówkę o uzyskanie dla mnie paszportu. Chciał ją rozpocząć już w marcu, ale prosiłam, by poczekał ze względu na Wielkanoc - chciałam przygotować tradycyjne ciasteczka. Zdecydowaliśmy więc, iż na Wielkanoc będziemy jedli ciasteczka i paschę, a potem mąż rozpocznie strajk głodowy.

Przyznaję, że nie miałam dość sił, aby zrobić to, co zrobił mąż. Chyba trochę się bałam i wtedy zdałam sobie sprawę, jak choroba może zmienić człowieka.

21 kwietnia, około godziny 13, zadzwonił dzwonek do drzwi. To był dr Obuchow w towarzystwie sześciu mężczyzn i dwóch kobiet. Powiedział, że przyszedł zabrać męża do szpitala, lecz Sacharow odmówił. Wtedy kobiety wepchnęły mnie do małego pokoju, usiadły z dwóch stron, zamykając wcześniej drzwi. Z dużego pokoju usłyszałam krzyk: "Lusia, daję mi zastrzyk". I potem jeszcze: "Łajdaki, mordercy". Zawołałam coś, ale nie wiem, czy mnie słyszał. Potem usłyszałam odgłosy szamotaniny i zapadła cisza. Później jeszcze trzask drzwi i kroki. Kobiety wyszły z pokoju. W korytarzu stał mężczyzna, który zapewne kierował całą akcją. Zwróciłam się do niego: "Gdzie mam pytać o męża?" Odpowiedział: "Poinformujemy panią". I dodał: "Wszystkiego najlepszego". Potem wyszedł.

Wysłałam do przyjaciół telegram, prosząc, aby skontaktowali się z Reznikową. Do niej wysłałam drugi telegram. Ale okazało się, że otrzymali zupełnie inne depeche, że niby wszystko jest w porządku.

21 maja, w dzień urodzin męża, udało mi się złapać Radio Swoboda, bez żadnych zakłóceń. Usłyszałam, że nasza przyjaciółka, Ira Kristi, która uzyskała pozwolenie na wyjazd z ZSRR /obecnie mieszka pod Bostonem, USA/, mówi, że z całą pewnością może stwierdzić, iż Sacharow, nawet jeżeli prowadził głodówkę jakiś czas temu, to na pewno nie teraz. Odbiór był tak wyraźny, jakbym słyszała głos KGB: "Słuchaj i rób co chcesz. Możecie walić głową w mur - i tak nikt się o tym nie dowie".

Przez dwa lub trzy dni byłam wściekła na Irę. Potem dowiedziałam się z radia, że moje dzieci domyśliły się, iż otrzymane przez nich telegramy były fałszywe. Przestałam się gniewać na Irę, nawet zaczęłam się martwić, że niektórzy mogą wziąć ją za rzecznika KGB. Wiedziałam, że Ira raczej by umarła, niż świadomie zrobiła coś dla KGB. Później, w USA,

miałam okazję przeczytać sfałszowane karty pocztowe i telegamy - nie zawierały ani jednego słowa pisanego przeze mnie. Wszystkie były podpisane niby przez nas oboje, jakbyśmy się nie rozstawali. Płazę jako oskarżenie - wiarygodny jest jedynie bezpośredni kontakt.

Pod koniec maja 1985 r. otrzymałam wezwanie do KGB - już myślałam, że wzywają mnie, bo mąż umarł. Byłam jak sparaliżowana. Wspinając się na trzecie piętro budynku KGB nie mogłam złapać tchu, musiałam brać nitroglicerynę. Przywitał mnie znajomo wysładający mężczyzna, w moim wieku, w eleganckim szarym garniturze, ulizany, solidny. Powiedział, że widział mnie już wcześniej, gdy prowadził śledztwo. Nazywał się Sokołow. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałam, że mąż żyje i zaczęłam płakać. Nie rozumiał, co się stało. Wyjaśniłam, że myślałam, iż mąż nie żyje. "O nie - odpowiedział - z Andriejem Dymitriewiczem jest wszystko w porządku".

Jak to w porządku? Przecież prowadzi głodówkę?" - zapytałam przez kzy. "Jaką głodówkę? Przecież nie ma żadnej głodówki". Płakałam dalej. Zrozumiałam, że dla nich nie ma żadnej głodówki, jeżeli stosują karmienie siłą. To był taki wygodny sposób przedstawiania światu całej sprawy. Nie ma żadnej głodówki, to tylko wymysł zachodniej propagandy.

Musiałam żyć dalej. Słuchałam radia i wiedziałam, że świat niepokoi się o Sacharowa. Niestety, dalej nie miałam o nim żadnej wiadomości. Nie miałam pojęcia, co mogą mu zrobić. W deszczowe dni próbowałam znaleźć sobie jakieś zajęcie w domu. Prawie dwa tygodnie zajęło mi robienie półek do spiżarni. Któregoś dnia, gdy piłowałam deski na balkonie, jakieś dwie kobiety przechodziły obok. Jedna z nich powiedziała na tyle głośno, żebym mogła usłyszeć: "To żona Sacharowa. Robi sobie trumnę".

Latem 1985 r. miałam poważne ataki serca; kilka tak poważnych, że zaleciłam sobie kilkudniowe leżenie w łóżku. Odkąd męża zabrano do szpitala, miałam awersję do jedzenia, schudłam około 15 kilogramów. Sterczały mi wszystkie kości. Dostałam jakichś wrzodów pod pachą. Musiałam kupić wódkę, żeby je zdezynfekować - spirytus był nieosiągalny. Kiedy wyszłam ze sklepu trzymając w rękach dwie butelki wódki, eskortujący mnie funkcjonariusz KGB powiedział: "Chyba nie zaczęła pani pić?" Odrzekłam: "Wy każdego wpędzilibyście w nałóg".

11 lipca zadzwonił dzwonek do drzwi. To był dr Tokczenow, zastępca Obuchowa, ten sam, który zabrał męża z domu trzy miesiące wcześniej. Powiedział mi, że mąż wróci za dwie godziny. Nie jest jeszcze zupełnie zdrowy - pojawiają się anormalne uderzenia serca - jednak lekarze zdecydowali, że lepiej mu będzie w domu. Wcześniej zaś byli zdania, że w domu nie będzie mu dobrze. Ostрым tonem, jakim zawsze mówiłam do lekarzy, powiedziałam: "Czemu pan tu jeszcze siedzi. Mąż zaraz będzie w domu i wszystko mi opowie".

"Chcieliśmy panią uprzedzić, żeby mogła pani go przywitać". Wtedy nie rozumiałam, że powinnam zrobić coś wręcz przeciwnego. Wyszłam jednak przed dom, czekałam prawie godzinę. Przyjechał czarny samochód. Mąż wysiadł. Pocałowaliśmy się i weszliśmy do domu. Dopiero później, gdy byłam na Zachodzie, zrozumiałam, że taka sytuacja była na rękę KGB. Z ukrycia filmowali całą scenę. Wyglądało to tak, jakby Sacharow został przywieziony ze szpitala jak zwykły chory człowiek, a żona czule przywitała go przed domem.

Kiedy już byliśmy w domu, mąż opowiedział mi o wielu rzeczach, jakie go spotkały. Wyjaśnił, dlaczego go zwolnili - przerwał głodówkę. Postąpił tak, bo napisał list do Gorbaczowa i uważał, że list ten zostanie przyjęty bardziej pozytywnie, jeżeli zawiesi strajk. Ale zwolnili go tak szybko i chętnie, że doszedł do przekonania, iż popełnił błąd. Kilka godzin po ogłoszeniu swojej decyzji, mąż powiadomił Obusowa, że jeśli w ciągu dwóch tygodni nie otrzyma od Gorbaczowa odpowiedzi, znów podejmie głodówkę.

Sacharow był bardzo szczupły. Był bardzo spokojny, miał więcej wewnętrznej siły niż we wrześniu 1984 r. Sądził, że w szpitalu podawano mu środki psychotropowe i że pod ich wpływem wydał oświadczenie o przerwaniu głodówki. Lecz główną przyczyną była troska o mnie i brak jakichkolwiek wiadomości ode mnie.

Pierwszego wieczoru poszliśmy spać około północy, lecz nie dokończyliśmy rozmowy. Mąż starał się przekonać mnie, że będzie musiał za dwa tygodnie podjąć głodówkę. Miał nadzieję, że może jednak od tego nie dojdzie. Myślał, że naprawdę bał się znowu przeżywać to samo. W końcu przestaliśmy rozmawiać i mąż wkrótce usnął. Pod moją ręką czułam bicie jego serca. Kilka normalnych uderzeń, potem kilka nierównych, potem znów dwa lub trzy i taka długa przerwa, że myślałam... Boże, wszystko przychodziło mi do głowy. Te nienormalne uderzenia nie martwiły mnie wcześniej, zanim mąż nie doświadczył tych okropnych rzeczy w Gorki. Gdy je zauważyłam po raz pierwszy, pomyślałam, że to nic poważnego - podobnie bije serce nastolatka. Ale teraz pojawił się jakiś nowy rytm, którego nie rozumiałam. To już nie było serce nastolatka.

Mąż spał bardzo źle. Krzyczał coś, budziłam go dwa razy. Śniło mu się, że jest w szpitalu.

Te dwa tygodnie oczekiwania były bardzo pogodne. Nasze śniadania trwały dosłownie godzinami - wtedy właśnie rozmawialiśmy najwięcej, głównie o tym, jak żyliśmy bez siebie. Dość dużo przebywaliśmy poza domem. Jeździliśmy do lasu zbierać grzyby. Obstawa KGB stale nam towarzyszyła /dwa samochody/, przemykali się między drzewami, filmując nas z ukrycia.

Właściwie nawet przez moment nie byliśmy sami. Pewnego dnia poszliśmy na targ kupić owoce. Potem pojechaliśmy nad

brzeg Wołgi i zjedliśmy posiłek na świeżym powietrzu - owoce i pieczywo. Sfilмовano to i pokazano jako zwykły dzień życia Sacharowa. Filmy, które widziałam w USA, przedstawiające życie Sacharowa, miały wywołać wrażenie normalności, dobrego stanu zdrowia. A była to mistyfikacja, jedno wielkie kłamstwo. Innym razem pokazą światu film o tym, jak nam dobrze. Wtedy nie będzie nas już wśród żywych.

25 lipca, dwa tygodnie po wypuszczeniu ze szpitala, mąż rozpoczął kolejną głodówkę. Po dwóch dniach, gdy właśnie mieliśmy wychodzić, zadzwonił do drzwi Obuchow w licznym towarzystwie - chyba osiem osób. Było coś niemal zabawnego w jego głosie, gdy powiedział: "No, Andriej Dymitriewicz, wróćmy do pana". Kiedy wyobraziłam sobie, jak rzucają męza na łóżko i znów dają mu jakiś zastrzyk, nie wytrzymałam i powiedziałam: "Andriuszeńka, idi".

Wzięli go za ręce i wywlekli z domu, ale bardzo się nie opierał. Znów byłam sama i znów nie wiedziałam, na jak długo. I znów towarzyszyło mi poczucie, że mąż jest całkowicie w ich rękach, że mogą zrobić, co zechcą: bić, dawać mu zastrzyki, wszystko.

Kolejny ciąg pustych dni. Spędzałam je na czytaniu, reperowaniu kilku niepotrzebnych rzeczy, malowaniu ścian, zajmowaniu się kwiatami. Wieczorami czytałam na głos poezje, żeby nie zapomnieć, jak się mówi.

5 września miałam wyjść z domu, gdy nagle pojawił się mąż. Rzuciłam się do niego, ale on powiedział z troską: "Nie ciesz się zbyt, mam tylko trzy godziny". Musiałam wyglądać na bardzo zaskoczoną, bo zaraz dodał: "Sokołow znów był u mnie. Chce, żebym podpisał pewne papiery". Nie słuchając dalej, bardzo zdenerwowana krzyknęłam: "Niech się odpięprzą!" Andriej powiedział cicho i spokojnie: "Posłuchaj. Chcą, żebyś podpisała, że jeśli dostaniesz zezwolenie na wyjazd, nie będziesz rozmawiać z dziennikarzami, ani robić tego rodzaju rzeczy". Kiedy zrozumiałam, że chcą jedynie, abym milczała przed prasą, zgodziłam się. "A czego chcą od ciebie?" - spytałam. "Tego samego".

Mąż powiedział, że Sokołow przyszedł do niego rano z poleceniem Gorbaczowa, by załatwić sprawę Sacharowa. Usiadłam więc przy maszynie i napisałam: "Oświadczam, że w przypadku udzielenia mi pozwolenia na wyjazd za granicę w celu odwiedzenia rodziny i leczenia, zobowiązuję się nie udzielać wywiadów, ani też występować na konferencjach prasowych. Elena Bonner. 5 września 1985 r."

Mąż oświadczył: "Jeżeli moja żona uzyska pozwolenie na wyjazd za granicę w celu odwiedzenia rodziny i leczenia, zobowiązuję się poświęcić pracy naukowej i sprawom prywatnym. Jednakże w ekstremalnych sytuacjach zastrzegam sobie prawo wydawania oświadczeń na tematy społeczne".

Po napisaniu oświadczeń wyszliśmy na balkon. Staliśmy tam, obejmując się ramionami. We wrześniu jest w Gorki jesień. Czuję ją, stojąc wtedy z mężem na balkonie, czuję jego żebra nawet przez marynarkę. Mój drogi, kochany, chudy skarb.

Chciałam go zapytać, co zmusiło go do napisania tego oświadczenia - cztery miesiące izolacji, rozłąki, przymusowe karmienie? Powiedział, że nie widzi nic złego w takim oświadczeniu. Naprawdę nie chciał już zajmować się kwestiami społecznymi. Czuję się chory, zmęczony, pragnął jedynie pracować naukowo i być ze mną.

Kiedy mąż powrócił do szpitala, byłam pewna, że znów wkrótce będzie w domu, że wszystko się ułoży. Lecz dni mijały. Nadszedł październik, spadł pierwszy śnieg, w domu było bardzo zimno. Przestałam piłować i reperować. Siedziałam zawinięta w wszystko, co mogłam znaleźć i czekałam. Na co?

21 października dzwonek do drzwi. Stał w nich jeden z najbardziej nieprzyjemnych funkcjonariuszy. "Ma pani być w oddziale MSW o godzinie 11". "Nie zdążę. Jest już 10". "Nie obchodzi mnie to. Ma pani być na 11".

Dojechałam do MSW około południa. Byłam zła, że bolą mnie nogi i serce, że pada mokry śnieg, że jest przejmujące zimno. Kiedy znalazłam właściwe biuro, okazało się, że to dział wizowy. Byłam zdziwiona. Zauważyłam wywieszkę, że dział jest zamknięty. Zapytałam pani w portierni, co mam robić. "Ślepa pani jest, czy nie umie czytać! - warknęła. Dziś zamknięte".

"Zostałam wezwana - powiedziałam, podnosząc głos tak, aby wszyscy słyszeli - jestem żoną akademika Sacharowa". Wybiegł jakiś mężczyzna i uśmiechając się w wymuszony sposób powiedział: "Proszę tędy, Eleno Grigoriewna". Zaprowadził mnie do jakiejś kobiety w mundurze majora. Wyjaśniła, że jestem potrzebna, żeby wypełnić formularze wizowe.

"To znaczy teraz, ręcznie? - spytałam. - Przecież wymagacie, aby były pisane na maszynie w dwóch kopiach". "Wszystko w porządku. Może pani wypełnić ręcznie i w jednym egzemplarzu". Kiedy to zrobiłam, powiedziała, bym zrobiła zdjęcia i przyniosła je następnego dnia. Zdałam sobie sprawę, że chcąc, abym wyjechała jak najprędzej, nie widząc się z mężem.

Gdy następnego dnia przyszłam do biura, powiedziałam pani major, że chcę dokonać pewnych poprawek na formularzu. Nie zamierzam wyjechać zaraz po otrzymaniu wizy, przedtem muszę zobaczyć się z mężem. Początkowo nie chciała się na to zgodzić, potem poszła do telefonu. Nie było jej godzinę. Po powrocie wręczyła mi formularze, żebym dokonała na nich zmian.

Późnym popołudniem następnego dnia w drzwiach pojawił się mąż. Miał na sobie futrzaną czapkę i marynarkę, która była o wiele za duża. Jego szczupła, drobna twarz poszarzała. Nawet mnie nie pocałował tylko zapytał, co się stało. "Nie wiesz?"

Wezwali mnie do biura paszportowego!" I nagle jego twarz zmieniła się, właściwie znikła, zostały tylko oczy, żywe i błyszczące. Zakreślił biodrami, jakby tańczył. Nigdy go takiego nie widziałam. "A więc wygraliśmy?" "Wygraliśmy!" X/

• • •

Kiedys w Nowym Jorku jechałam taksówką. Kierowca okazał się być z Mińska. Zaczęłam zadawać mu tyle pytań, że spytał, czy nie jestem z KGB. Starłam się go przekonać, że nie. Pod koniec rozmowy zapytał: "Czy jest pani żoną Sacharowa?"

Przyjechał do USA przed pięciu laty. Nie znał angielskiego. Dostał z banku pożyczkę na zakup licencji taksówkarza. Teraz kończy ją spłacać. Ma 50 lat i całe życie spędził za kierownicą. Mówił: "Rosjanie to porządni ludzie, bardzo porządni ludzie. Lecz Ameryka to najlepszy kraj na świecie. To nieprawda, że nie ma pracy. Trzeba tylko chcieć ją znaleźć. Pomogą ci i znajdziesz pracę. Tu jest taki dostatek wszystkiego, tu jest wolność. Czy ja, stary Żyd z Mińska, mógłbym kiedyś pomyśleć, że zobaczę Kanadę, Florydę, Hiszpanię i Izrael?"

Tam jest wolność. Wspomnienie o tym taksówkarzu zapadło mi głęboko w pamięć. Wolność - móc pojechać tam, gdzie się chce. Ja mam tyle wolności, że mogę myśleć, co zechcę, ale pojechać? Wiem, co mnie czeka w Gorki. Nie mam tu na myśli takich rzeczy, jak godzina policyjna i konieczność wracania do domu o godzinie 20, ani nawet tego, że jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać, jest mój mąż, wreszcie tego, że w tym obcym mieście czuję się chora. Może gdybym tam mieszkała z własnej woli, bez żadnych upokorzeń, bez karaluchów wychodzących z przesyłek pocztowych, polubiłabym to miasto. Ale nie można nakazać miłości.

X/

Elena Bonner odleciała przez Włochy do USA 7 grudnia 1985 r. Po krótkiej wizycie u matki, dzieci i wnuków w Newton, poddała się operacji w szpitalu w Bostonie. Podczas pięćmiesięcznego pobytu w USA była w Chicago, Los Angeles, Miami, odwiedzając starych przyjaciół i biorąc udział w różnych uroczystościach na cześć Sacharowa. Złożyła także wizytę w Białym Domu, gdzie przyjął ją doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa państwa, John Poindexter. W krótkich chwilach wolnego czasu napisała książkę, z której pochodzą te fragmenty. Podobała się jej Ameryka i Amerykanie, lecz nigdy nie miała wątpliwości, że wróci do ZSRR. Sacharow poprosił ją o kupno dzinsów i obszernej marynarki. Nie chciał niczego więcej. /red./

Teraz dana mi jest wolność - mogę wrócić lub nie - wolność wyboru. Jako dysydent miałam jedyne w swoim rodzaju doświadczenie - wolność wyboru. Byłam na Zachodzie kilka razy i nigdy nie zdecydowałam się zostać. Za każdym razem powrót był bardzo trudny. Stamtąd nie można wołać, nie można krzyczeć na tyle głośno, żeby świat usłyszał.

Za każdym powrotem, z chwilą przekroczenia granicy, czułam, jak ciężka mgła i ciemność zalega moją duszę. Kiedyś wracałam do dużej rodziny: męża, matki, dzieci. Wracałam do własnego domu i nawet wtedy było mi ciężko, bardzo ciężko.

Potrzeba niezwyklej siły woli, żeby znowu nauczyć się, jak oddychać bez powietrza, pływać bez wody, chodzić bez ziemi pod stopami. Trzeba zmusić się do życia, do zwykłych, codziennych zajęć. Stopniowo obowiązki jakoś leczą chorobę, ale jest to trudny proces, ciężko przez niego przejść.

Za każdym razem było mi trudniej. Gdy moja rodzina tutaj /tzn. w USA/ powiększała się, życie tam stawało się coraz bardziej puste. Teraz nawet nie mam własnego domu, a tylko obce miasto, obce mieszkanie wyposażone w meble w rządowym wydaniu, strażników jak psy na jednej smyczy. I jeszcze stale wycelowane w nas kamery.

Lecz przede wszystkim jest tam Andriej - sam, smutny beze mnie, szczęśliwy i spokojny ze mną. W porządku. Jakos damy sobie radę z kolejną depresją.

Zdarzyło się w końcu dużo dobrego. Byłam chora, niemal umierająca i wszystko minęło. Przyjechałam do USA, przeszłam operację, było bardzo źle, ale to minęło. Do tej pory zawsze musiałam mieć przy sobie nitroglicerynę, brałam około dwudziestu pięciu tabletek dziennie. Teraz są dni, że w ogóle zapominam o lekarstwach. Widziałam matkę, mogłam ją uściskać. Moje wnuczka są ozarujące.

Mam wszystko to, co składa się na "wigilijną opowieść", świąteczną bajkę. Teraz potrzebuję tylko szczęśliwego zakończenia. Gdzie je znajdę? Może w tym, że Andriusza i ja będziemy razem. I w tym, że tam, poza granicami, które oddzielają nas od świata, rodziny i przyjaciół, jesteśmy na tyle wolni, żeby pozostać sobą. Tak, to jest właśnie szczęśliwe zakończenie.

Elena Bonner

FAKTY – SYGNAŁY – OPINIE

EUROKOMUNIZM W 10 LAT PÓŹNIEJ

Zaledwie 10 lat temu eurokomunizm obiecywał otworzyć drzwi do władzy komunistom zachodnioeuropejskim. Dziś, ledwie żywy, szuka po omacku dróg do odnowienia swych szans.

Eurokomunizm wyrósł z niezadowolenia ze starego porządku - komunistycznego i kapitalistycznego - z wściekłości na rolę odgrywaną w Wietnamie przez Stany Zjednoczone, wielkiego projektora Zachodniej Europy. Eurokomunizm, któremu przewodzili włoscy, hiszpańscy i francuscy komuniści, dawał wysoki stopień niezależności od ortodoksów z Moskwy. Komunizm miał zwyciężyć, stosując się do normalnie dlań odrażających reguł demokracji.

Przez prawie całe lata siedemdziesiąte rządzący Stanami Zjednoczonymi byli głęboko zmartwieni. Komuniści w Portugalii i we Włoszech, w krajach należących do NATO, rozważali możliwość pokojowego przejęcia władzy. Hordy młodzieży, protestujące przeciwko wojnie w Wietnamie i sztywności USA wobec Moskwy, zwłaszcza jeśli idzie o kontrolę zbrojeń - widziano jako generację, która dostarczy nowej krwi skrajnej lewicy.

Jednakże, na razie, ów ekonomiczny i polityczny zapas mianą. Liderzy narodowych partii komunistycznych stwierdzili, że powinni skoordynować swoją politykę, ale okazali się niezdecydowani, by to uczynić. Demonstranci jeszcze wprowadzili się do władzy, ale ich liczba malała. Większość zainteresowała się słabnięciem kursów funta, franka i marki. Jako urna wyborcza i jako siła intelektualna, marksizm znika z mapy kultury politycznej Europy Zachodniej. Dlaczego jednak chylił się ku upadkowi?

W Hiszpanii Santiago Carillo, tutejszy lider komunizmu od hiszpańskiej wojny domowej, utracił w czerwcu ub. roku swoje miejsce w parlamencie, chociaż wybory wygrał z zjednoczonym frontem lewicy. W maju holenderscy komuniści, którzy zasiadali w parlamencie od 1922 roku, utracili swoje trzy miejsca. Komuniści belgijscy doznali takiej samej porażki w październiku 1985 roku. Z kolei komuniści francuscy, którzy niegdyś dysponowali 25 proc. głosów, w marcu ub. r. uzyskali ich poniżej 10 procent.

Chociaż w każdym z tych przypadków warunki lokalne przyczyniły się do erozji poparcia dla komunistów, trend ten tłumaczą także trzy podstawowe przyczyny:

1. Rosnący negatywny obraz Związku Sowieckiego. Choć dużo mówią o swej niezależności, większość eurokomunistów patrzy na

Moskwę jako na źródło ideologii. Tymczasem dla zachodnich robotników sowiecki model socjoekonomiczny jest coraz bardziej nieatrakcyjny. Polityka moskiewska, jak np. okupacja Afganistanu czy zdławienie "Solidarności", dodatkowo przyczyniła się do tego rozczarowania.

2. Schyłek bazy przemysłu ciężkiego na Kontynencie. Giorgio Napolitano, czołowy komunistyczny parlamentarzysta włoski, przyznaje: "Niektóre partie komunistyczne opóźniły się ze zrozumieniem nieuniknionych zmian w strukturze społecznej, jako konsekwencji innowacji technologicznych". Przesunięcie w kierunku nowych, skomplikowanych technik i powstanie przemysłu usług, w połączeniu z sukcesami europejskiego państwa dobrobytu i napływem niegłoszących emigrantów, podkopały bazę komunistycznej klasy robotniczej.

3. Sztywność struktur partyjnych w starym stylu, pomimo obiecanego komunizmu z ludzką twarzą. Brak giętkości zdusił wewnętrzną reformę partii i pozbawił komunizm dynamicznych liderów. Zostali oni wyprzedzeni w swych hasłach przez pragmatycznych liderów-socjalistów, takich jak np. Hiszpan Felipe Gonzalez, który jest przedstawicielem nowej, konsumpcyjnej Europy.

Schyłek Francuskiej Partii Komunistycznej symbolizuje problemy całego kontynentu. W kleszczach zwolennika rządów silnej ręki, Georges Marchais, partia tylko flirtowała z ideami eurokomunizmu, nie nawiązując ścisłych powiązań ani z Moskwą, ani z organizacją leninowską. W ostatnich wyborach, w marcu ub. roku, jej kandydaci zdobyli tylko 9,8 proc. głosów, co było najgorszym wynikiem od 50 lat. Lider reformy, Pierre Juquin, twierdzi: "Partia była niezdolna, aby przedanalizować i zrozumieć wstrząsy w społeczeństwie francuskim, takie jak rewolta młodzieży, ruch ekologiczny i ruch kobiet!"

Była przywódczyni Francuskiej Partii Komunistycznej, Annie Kriegel, która ma w tej chwili swoją rubrykę w konserwatywnym "Le Figaro", mówi, iż "partia jest zagrożona przez erozję warstwy społecznej, która ją popierała - przesunięciem w ekonomice, gdzie robotnicy stają się klasą średnią. Od 1975 roku - stwierdza Annie Kriegel - Francja utraciła 1,2 miliona przemysłowych miejsc pracy, a zyskała 1,5 miliona miejsc pracy w usługach".

Sytuacja partii francuskiej spowodowała ubytek jej członków i ruch protestu w jej szeregach. Opozycjoniści, których liczba rośnie, mają nadzieję, że Marchais bierze serio aluzje o ustąpieniu w 1988 roku, co ma umożliwić partii przystosowanie się do francuskiej rzeczywistości.

Brak jedności wśród komunistów jest tak głęboki, że w Hiszpanii, w której zrodził się eurokomunizm, o poparcie marksistów współzawodniczą trzy odrębne partie. Lider-weteran, Santiago Carillo, został już usunięty z głównej partii, która wraz z prosowiecką grupą, zwaną "Afganczykami", dołączyła się do ekologistów i innych niezależnych ruchów w ostatniej kampanii wyborczej.

W Portugalii, kraju o najbardziej zacofanej ekonomice w Europie, komuniści pod przewodnictwem charyzmatycznego Alvaro Cunhala otrzymali około 15 proc. głosów. Mniejsze partie - w Grecji, Belgii i Finlandii - przez długi czas były zjawiskiem marginesowym, podobnie jak mała partia brytyjska ze swymi 12 tysiącami aktywnych członków. W Grecji eurokomuniści zmienili nawet swoją nazwę, by zyskać większy rozgłos.

Jedyną europejską partią, która jeszcze się trzyma, jest partia włoska. Komunistyczna Partia Włoch jest liczebnie największa w świecie kapitalistycznym i przyciąga 30 proc. głosów w kraju. Inaczej, niż inne partie, ma ona tradycje autentycznej niezależności od Moskwy i jest bardziej partią włoską, niż komunistyczną. Komentator "La Stampa", Arrigo Levi, twierdzi: "Komunistyczna Partia Włoch to dziwna rzecz. Nie wykazuje ona utraty sił, chociaż nie stanowi już zagrożenia".

Jednak nawet Komunistyczna Partia Włoch cierpi na niewielki spadek popularności, osiągając już mniej niż 34,5 proc. głosów i trudno jest jej przywołać młodzież. By przeciwstawić się stagnacji, Włosi powzięli nawet nowy pomysł: do nazwy eurokomunizm dodali nazwę eurolewica. To - jak mówi uczony Lucio Colletti - jest jeszcze jedną próbą, by przełamać izolację poprzez identyfikowanie się z europejską lewicą, taką jak np. brytyjska Partia Pracy czy zachodniemiecka Partia Socjaldemokratyczna. Twierdzi on, że to daje partii jakby prawną legitymację, iż jest ona demokratyczna.

Kevin Devlin, analityk pracujący dla Radia Wolna Europa, widzi ideę eurolewicy jako próbę oddzielenia Włoskiej Partii Komunistycznej od innych grup komunistycznych. "Generalną tendencją - wyjaśnia Devlin - jest zwrócenie pilnej uwagi na socjalistów, by nie ubiegali się o względy USA".

Koncepcja eurolewicy nie powstrzymała jednak schyłku ruchu. Analitycy twierdzą, że wydaje się, iż obywatele Europy widzą małą różnicę pomiędzy tymi komunistami, którzy zachowują dawne proowieckie nastawienie, a tymi, którzy przyjęli bardziej liberalny punkt widzenia.

Oficjalne czynniki mogą nie być zadowolone z socjalistów i innych ugrupowań, które znajdują się w opozycji wobec polityki amerykańskiej, ale o niebo wclą ich od komunistów, jakkolwiek by się oni nazywali.

Dziś, chociaż raz zaprzędali ideę niezależności od Moskwy, europejscy komuniści wszystkich frakcji pokładają nadzieję w sowieckim liderze, Michaiile Gorbaczowie. Oto ich rozumowanie: jeśli Gorbaczowi uda się zmodernizować gospodarkę sowiecką, jeśli dojdzie on do porozumienia z USA na temat zbrojeń, jeśli poczyni choćby małe gesty na rzecz swobód obywatelskich - to niektórzy z tych osiągnąć mogłyby przeniknąć do partii europejskich.

Jednakże obserwacje dają mało dowodów na to, by eurolewicy udały się jej wybiegi lub by Gorbaczow mógł powstrzymać rozkład sowieckiego imperium. Francuski aktor Yves Montand, przez 20 lat blisko związany z francuską partią komunistyczną, zanim

zrezygnował z uczestnictwa w niej, mówił ze sceptycyzmem: "Eurokomunizm jest nadal jeszcze komunizmem, a komunizm w końcu, to to samo, co Gułag".

/Wg U.S. News and World Report/

Oprac.: Magda

STALINOWSKIE KLĘSKI GŁODU

Robert Conquest jest jednym z tych rzadko spotykanych historyków, którzy potrafią łączyć wyniki badań naukowych z wielką umiejętnością popularyzatorską. Taka też jest jego ostatnia książka, równie interesująca, jak wcześniejszy "Wielki terror"^{x/}

Historia Stalina i sowieckiego rolnictwa jest historią głęboko przygnębiającą i Conquest to oczywiście potwierdza. Książkę swą zaczyna od wyzwolenia chłopów pańszczyźnianych w 1861 roku. Okres rzeczywistych swobód chłopskich trwał od 1906 do 1928 roku - rolnik mógł dysponować wtedy własną ziemią i sprzedawać zboże na rynku. Z tym, że nawet w tym czasie nastąpiła brutalna przerwa w tych swobodach, straszliwy czas "komunizmu wojennego" /1918-1921/, gdy chłopom pozostawiono, co prawda, ziemię, ale nie mogli oni sprzedawać swego zboża, które tylko rząd, prawie za darmo, "nabywał". W 1928 roku przyszedła kolektywizacja, sztucznie wywołany głód i zwycięstwo nowego systemu.

Zgodnie z tym, co wiadomo na ten temat, książka Conquesta nie wnosi jakichś wielkich nowych odkryć - jednakże tylko do momentu, gdy mówi on o głodach; opowiada bowiem bardziej szczegółowo ich historię i przytacza wiele interesujących danych i cytatów. Nie pomija także skandalicznego zachowania się zachodniej prasy, której korespondenci siedzieli, za zgodą swych zwierzchników, w Moskwie, cytując oficjalne zaprzeczenia rządu sowieckiego o głodzie, podczas gdy ludność Ukrainy marła z niedożywienia. G.B. Shaw również udowodnił wtedy na bankietach, że pogłoski o głodzie są fałszywe.

Czym była kolektywizacja? Teoretycznie bazowała ona na teoriach Engelsa. Uważał on, że rewolucję proletariacką można przeprowadzić tylko w miastach, z tym, że spowoduje ona to, iż miliony chłopów będą w stosunku do socjalizmu obojętne lub wrogie /i, jak dodawał Stalin, będą to chłopi religijni i przywiązani do swych narodowości/. Trzeba zatem "przekonać" chłopów, by oddali swą ziemię, bydlę i narzędzia wielkim skolektywizowanym farmom /kołchozom/, gdzie prowadzona na wielką skalę gospodarka szybko wykaże, że kolektywizacja jest czymś bardzo korzystnym. Kołchozy nie będą farmami państwowymi i będą miały różne dochody, w zależności od wkładu

^{x/} Robert Conquest - "Żniwo smutku: sowiecka kolektywizacja. Głód i terror". Oxford University Press, 1987.

materialnego, jaki poczynili chłopci. Nie będą też wypłacały zarobków /ponieważ nie są gospodarstwami państwowymi i nie zatrudniają pracowników/, ale rodzaj dywidend, zależnie od wkładu pracy ich członków. Ci będą wybierali własnego przewodniczącego i w ten sposób będą kontynuować zarządzanie "swoją" własnością.

Prawie wszyscy chłopci jednak nie mogli dostrzec owej subtelnej różnicy między farmami państwowymi i kolektywnymi oraz między konfiskatą a kolektywizacją. Lenin zastosował, co prawda, w stosunku do nich ulgi podatkowe jako środek "perswazji" - jednakże bez użycia siły perswazja ta zupełnie nie skutkowała. Poza tym istniał jeszcze problem ideologiczny: żadne szanujące się państwo socjalistyczne nie mogło sobie pozwolić na istnienie prywatnego rolnictwa. Chłopci bowiem stworzyli kapitalizm i takimi byli np. kułacy.

Dla Stalina problem ten związany był z "organizowaniem" zaopatrzenia dla wojennego komunizmu. Nie wierzył w bezpieczny, dogodny system zaopatrzenia rynku - uważał, że kułacy nie będą współpracować z rządem. Niepowodzenie, oparte o dobrowolne działania chłopów na rynku - lub to, co Stalin uważał za niepowodzenie - doprowadziło w 1927 roku do zacieśnienia kontroli cen, zwiększenia dostaw obowiązkowych i wprowadzenia większego terroru. Nie istniał już wtedy zresztą problem wydajności, realizacji marksistowskich ideałów, własności - pozostał bowiem tylko jeden problem: kto mianowicie będzie jadł?

W literaturze dotyczącej omawianego okresu stawia się cztery niewyjaśnione dotąd pytania: czy kolektywizacja przeprowadzona między 1928 i 1930 rokiem bezpośrednio wywołała głód na Ukrainie w latach 1932-33? Czy te same przyczyny spowodowały klęskę głodu w Kazachstanie? Czy Stalin celowo wywołał ten głód? I wreszcie - jeśli tak, to czy zbrodnie te były powszechne?

Conquest nie zadaje bezpośrednio pierwszego z tych pytań - jednakże jego książka wykazuje, że daje nań odpowiedź negatywną. Nie było głodu w tzw. właściwej Rosji czy na środkowym Kaukazie, tj. w większości kraju. W całym państwie zbiory były wystarczające i nawet na Ukrainie nie były katastrofalne. Zbiory zbóż na Ukrainie, jak i zresztą wszędzie, były od 1929 roku oczywiście zmniejszone przez kolektywizację, ale znów nie w katastrofalny sposób. Jest to fakt zadziwiający, który Conquest powinien był dokładniej zbadać. Faktem jednak jest, że sama kolektywizacja nie była katastrofą, choć była oczywiście złem. Tak więc nie ona wywołała głód na Ukrainie. Ostatecznie od samego początku wydajność w rolnictwie nie była duża i prawie wszędzie na wsi panowało przeludnienie. Deportowanie zatem tych, których określano jako kułaków /być może 10 proc. populacji rolników/ nie spowodowało znacznego zmniejszenia zbiorów zbóż, w przeciwnieństwie do hodowli bydła.

Kolektywizacja jednakże z całą pewnością wywołała głód w Kazachstanie. W latach 1930-33 /zagadnieniom tym poświęca Conquest cały rozdział/ Kazachowie-nomadzi gwałtownie opierali się akcji osiedleńczej i kolektywizacji. Sposób ich życia miał bowiem zostać całkowicie zmieniony, i to w o wiele radykalniej-

szszy sposób, niż na Ukrainie. Co więcej, podobnie jak i wszyscy pozostali chłopię, Kazachowie wyróżnili swoje bydło, by uprzedzić jego konfiskatę. Ponieważ zaś zbierali tylko trawę /siano/, nie mieli żadnych środków żywności i marli z głodu.

Jak wielu z nich umarło? Dane statystyczne nie są tu najdokładniejsze - statystyka zgonów, wynikłych z takich czy innych powodów, zawsze nastrocza trudności. Można jednak przyjąć za Conquestem, że zginęło wtedy około 1.257.000 osób, co stanowiło 29 proc. populacji Kazachów.

W Kazachstanie, jak i gdzie indziej w Centralnej Azji, kolektywizacja była kompletnym niepowodzeniem i spowodowała bezpośrednio nie tylko głód, ale i wojnę domową. Było to zresztą zupełnie naturalne: fanatyczny rosyjski komunista, taki jak np. E. Goloszczekin - sekretarz partii w republice kazachskiej, narzucił nagle obcy i całkowicie nieskuteczny system ludom koozowniczym.

Na Ukrainie, gdzie opór wobec kolektywizacji był mniejszy /trochę rozruchów, morderstwa kilku funkcjonariuszy partyjnych/, walka Stalina z mieszkańcami tej republiki zaczęła się w 1932 roku. Dlaczego tak się stało? Conquest odrzuca popularne wyjaśnienie tego faktu, że Stalin tworzył rezerwar zboża dla swej Dalekowschodniej Armii, bojąc się inwazji Japonii i dlatego zgromadził zbyt wiele zboża. Teorię tę Conquest wyśmiewa ponieważ, jak twierdzi, sugeruje ona, że sprawnie działał ówczesny system gromadzenia plonów.

Wyjaśnienia Conquesta wydają się rzeczywiście lepsze. Opisuje on z detalami, jak doszło do tego, że Stalin nabrał przekonania, iż największym jego wrogiem jest ukraiński nacjonalizm. Istotnie nacjonalizm ten był bardzo silny - charakterystyczny był i dla inteligencji, i dla chłopów, i dla księży; sięgał nawet samej partii /powojenny boss republiki ukraińskiej, Petro Szelest, był nawet stalinowskim nacjonalistą/. Tylko proletariąt uznawał Stalin za element zdrowy i rzeczywiście, podczas klęski głodu ludzie ci nie umierali z braku żywności.

W lipcu 1932 roku Stalin narzucił więc chłopom ogromne obowiązkowe dostawy zboża /oczywiście, chłopom pracującym już w kołchozach/. Na Ukrainie jednak dostawy te miały być wyższe, a tymczasem zbiory były gorsze, niż gdzie indziej. Czy Stalin już wtedy planował głód? Tego nie wiemy - w każdym razie chłopię zboża nie dostarczyli. Stalin narzucił więc dalsze obciążenia, które pozbawiły Ukrainę zboża i w konsekwencji doprowadziły do śmierci 5 milionów osób. Prawie wszystko to, o czym mówimy, opiera się na dowodach i poglądach nie nowych, ale popularnych ostatnio wśród społeczności ukraińskiej w Ameryce Północnej. Chodzi mianowicie o to, że Stalin stworzył dla granicy rosyjsko-ukraińskiej specjalne bariery administracyjne i policyjne, zapobiegające przeciekom żywności z zewnątrz. Głód dotknął bowiem przede wszystkim chłopów - w miastach sytuacja była lepsza. Stalin więc nie tylko nie dostarczył głodującym pomocy ze strony państwa i likwidował wszystkie wzmianki o głodzie w prasie, ale usilnie troszczył się o to, by uciąć prywatną pomoc dla głodującej wsi. W świe-

tle tych faktów trzeba więc przyznać, że było to planowane ludobójstwo.

Conquest również opiera się na tych poglądach, cytując wiele źródeł emigracyjnych, m.in. tzw. "Czarną księgę czynów Kremla", wydaną w Kanadzie w 1983 roku. Wykorzystywał też oficjalne dane sowieckie. W każdym razie sprawdziło się to, co powiedział Stalin: «Chłopi ukraińscy usiłowali "nas" zagłodzić, ale jeśli ktoś zostanie w tej walce zamorzony głodem, to na pewno nie "my"».

Można dyskutować nad jeszcze jedną sprawą, której Conquest nie podkreśla - o tym mianowicie, że północny Kaukaz, obszar przylegający do Ukrainy, był trzecim obszarem, na którym w latach 1932-33 zapanował wielki głód; tam bowiem uciekła prawie połowa Ukraińców i Kozaków. Tak więc Stalin polował na tę nienawidzoną przez siebie grupę etniczną gdzie tylko mógł ją znaleźć.

Conquest ocenia, że zginęło 5,5 miliona Ukraińców z populacji liczącej 34 miliony, tj. 16 proc. ludności. Nie mogło jednak być inaczej. Gdy w 1932 roku zapanował głód, powinno się było wstrzymać eksport zboża, tak jak postąpiono w 1891 roku. Jednakże tego eksportu nie wstrzymano, podobnie jak i wysyłania z Ukrainy innej żywności. Oferty pomocy ze strony obcych krajów powinny być przyjęte, tymczasem nie były. W rzeczywistości nie pozwolono przedostać się na zewnątrz żadnej informacji - nie wiedziano więc nawet, jak duża ta pomoc jest potrzebna. Żywność powinno się wtedy importować w zamian za inne towary lub za złoto. Ale tak się nie stało. W ten sposób Stalin przeprowadził holocaust.

Na podstawie "New York
Review of Books" oprac.:

Magda

Korespondencja własna z Paryża

DZIEKI GENERAŁOM...

Rozmowa z Teresą Torzańską

MOST: Kiedy zaproponowano Pani pierwsze tłumaczenie "Onych"?

TERESA TORAŃSKA: Było to dokładnie tak: po wydaniu podziemnym "Onych" w prasie zachodniej ukazały się recenzje. Najpierw londyński "Time" zamieścił korespondencję z Warszawy /pióra Rogera Boyesa a/ na pół kolumny, potem Michel Kauffmann napisał wielki artykuł w "New York Times", przedrukowany przez "Harald Tribune", o wydawnictwach podziemnych w Polsce z "Onymi" w tytule, jako tym ostatnim bestsellerem, i wreszcie Jan Krauze

wypełnić całą kolumnę "Le Monde", co było pewnym ewenementem, bo rzadko gazeta codzienna poświęca tyle miejsca na omówienie książki zagranicznego autora. Książka więc stała się jakimś wydarzeniem /jakims/, bo nie przesadzajmy, że ważnym/ na Zachodzie, dzięki korespondentom z Warszawy.

Wraz z Laurence Deyvre, jedną z najlepszych tłumaczek, która po przeczytaniu zdecydowała się tłumaczyć książkę na francuski, rozpoczęliśmy wędrowkę po wydawnictwach. Takie wchodzenie z ulicy nie jest formą, podobno, przyjętą na Zachodzie, bo trzeba rzekomo najpierw zdobyć protektorów o znanych nazwiskach. Laurence jednak, podobnie jak ja, nie jest osobą ulegającą konwencji i od początku, bez wyjaśniania własnych postaw, wiedziałyśmy, że działać będziemy wbrew przyjętym regułom. Laurence, bo ja nie znam francuskiego, dzwoniła do wydawnictw, przedstawiała sprawę i umawiała się na spotkanie. We Flammarionie pan Jacques Bonnet podpisał z nami umowę natychmiast, w październiku 1985 roku.

M.: W ilu językach ukazał się już przekład "Onych", a w jakich, i kiedy, ma się jeszcze ukazać?

T.T.: Książka ukazała się po francusku i szwedzku. Flammarion podpisał już umowy z największymi wydawnictwami w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Norwegii, Brazylii, RFN, we Włoszech, Finlandii, a ostatnio w Holandii.

M.: Kto poradził Pani, aby opublikować "Onych" z ograniczonym wyborem wywiadów /o ile wiem, bez dwóch/? Czy takie było życzenie wydawnictwa, czy była to Pani własna inicjatywa?

T.T.: Poradziła mi Laurence Deyvre. Ja się z jej sugestiami zgodziłam. W końcu Laurence wie lepiej, które fragmenty byłyby dla czytelnika francuskiego niezrozumiałe.

M.: Czy w innych przekładach także będzie taki wybór?

T.T.: Prawdopodobnie tak. Dokładnych informacji nie mam, gdyż nie jestem w kontakcie z żadnym z wydawnictw i tak naprawdę tych kontaktów nie szukam. Rok temu uznałam, że dla mnie sprawa książki powinna być zamknięta, musi stać się przeszłością i nie chcę już dłużej żyć w kręgu "Onych".

M.: W jakim nakładzie wyszła książka i czy jest to duży nakład?

T.T.: Nie wiem i nie pytam. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Kiedy nagle okazało się, że robiłam coś nadzwyczajnego, dziennikarze chcieli ze mną rozmawiać, kręcić jakieś reportaże, zabiegali o zrobienie mego zdjęcia i wtedy sobie uświadomiłam, że psychicznie jestem nieprzygotowana do odnośzenia sukcesów i lepiej się czuję, jak mam jakiś cel do zrealizowania i pracę, która mnie pasjonuje. Gdy ona się skończyła, zobaczyłam przed sobą pustkę.

M.: Czy ma już Pani wiadomości, jak książka została odebrana we Francji?

T.T.: Recenzje były w najważniejszych pismach. Pozytywne, naturalnie. Tutaj, jak się omawia pracę zagranicznego auto-

ra, to nie po to, by krytykować, ale chwalić. Wypowiedzieli się bardzo znani dziennikarze. Pierre Daix napisał na przykład, że książka powinna być studiowana przez studentów nauk politycznych; Jean Francois Revel, że studenci dziennikarstwa muszą się uczyć ode mnie metody przeprowadzania wywiadów, a ostatnio Jacques Amalrik z "Le Monde" napisał, czym sprawi mi ogromną radość, że jestem skromna, ale excellence. Podaję po francusku, bo trochę mi głupio.

M.: A jak książka jest sprzedawana?

T.T.: Nie wiem, nie pytam.

M.: Skąd, według Pani, wzięło się zainteresowanie Pani książką?

T.T.: Jak wiadomo, z wielu nazwisk i szczegółów polskich książka została oczyszczona. Został w niej problem władzy /nie tylko komunistycznej/, który jest tematem uniwersalnym.

M.: Czy Pani sądzi, że Zachód interesuje się mechanizmami władzy w komunizmie i tamtym okresem?

T.T.: Naturalnie, zwłaszcza w kraju, w którym do niedawna na partię komunistyczną głosowało 25 proc. wyborców, a obecnie 10 proc. Ideologia komunistyczna wcale nie jest ideologią martwą. Książkę zaś traktuje się tutaj nie jako książkę historyczną, ale całkiem współczesną.

M.: Czy ostatnio spotkała Pani książkę podobną do "Onych"?

T.T.: Nie. Nie ma wywiadów z przywódcami komunistycznymi. Za to jest sporo bardzo dobrych książek o komunizmie i jest wielu znawców tematu, przy których ja ze swoją wiedzą, i tym swoim sukcesem, czuję się onieśmielona.

M.: Czy Pani, pisząc "Onych", przypuszczała, że książka ta zainteresuje Zachód?

T.T.: Ani przez moment. Mnie ten Zachód zresztą zupełnie nie interesował. Pisałam ją dla siebie. Nagle, po 13 grudnia, zostałam wolnym człowiekiem. Wolnym od wszystkiego, od obowiązku układania sobie życia, urządzania mieszkania, wolnym od możliwości kupowania rzeczy, podtrzymywania kontaktów towarzyskich i wolnym od pracy. Ze świadomością, że jeżeli tylko 10 osób zrezygnuje z zawodu, wśród nich będę i ja. Tak się złożyło, że zrezygnowali /lub z nich zrezygnowano/ wszyscy moi przyjaciele. Trzeba było coś zrobić z tą wolnością. Próbowałam przekwalifikować się na maszynistkę, nie szło mi. Wróciłam do pisania. Powiedziałam w którymś momencie jednemu z moich komunistów: jakie to śmieszne, proszę pana, zniszczyliście mi życie, a teraz rozmawiając ze mną, ratujecie mnie przed rozpaczą. Brzmi to ogromnie melodramatycznie, zwłaszcza w obecnym kontekście. Dlatego teraz na wszelkie pytania: jak i dlaczego, odpowiadam: dzięki generałom. Więc pisałam, rozmawiałam, douczałam się, a że, jak mówi mój przyjaciel: zdolna to ty nie jesteś, za to pracowita - starałam się swoją pracę wykonać jak najlepiej. Kiedy inni ocenili, że niezła, postawiłam kropkę. Trochę wbrew sobie, bo mnie się to podobało umiarkowanie, braowało mi jeszcze jednego wywiadu, wiedziałam na dodatek ja-

kiego, ale czułam się już zbyt zmęczona, by się im opierać.

M.: Jakie są Pani plany? Nad jaką książką Pani teraz pracuje?

T.T.: Podpisałam zobowiązanie, że każdą napisaną książkę prześlę Flammariowi. Ale na razie brak mi jeszcze konkre-
tów.

M.: Kiedy i czy zamierza Pani wrócić do kraju?

T.T.: Zbieram się od pół roku. Miałam już na Boże Narodzenie. Ciągłe coś staje na przeszkodzie. Głównie praca w bibliotekach.

M.: Czy ma Pani zamiar kontynuować "Onych"? Jakie pisma dotyczące Polski, ukazujące się poza Francją, uważa Pani za najciekawsze?

T.T.: Na pierwsze: nie, na drugie: nie wiem.

M.: Jak Pani widzi zainteresowanie Polską we Francji?

T.T.: Wszyscy mówią, że się zmniejsza, bo w swoich ocenach odwołują się do czasów "Solidarności". Z tej perspektywy na pewno tak, ale z mojej, dwuletniej - nie. Nie ma gazety, w której by co najmniej raz na tydzień nie pisano o Polsce. Najdrobniejsze zdarzenie jest odnotowywane, zwłaszcza przez "Le Monde", gdzie informacji o nas jest najwięcej. Zasluga to dziennikarzy, którzy albo zaprzyjaźnili się z Polską, albo jej się "naumiali" w okresie "Solidarności". Dla nich Polska wciąż znajduje się w przeciągu Europy i jest papierkiem lakmusowym zmian w obozie.

M.: Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiała: Abe

Refleksje nad książką

JAK HEROSI SCHODZILI ZE SCENY

"Rubikon '81" słusznie zaliczany jest do najciekawszych i najbardziej wartościowych książek drugiego obiegu, jakie się ostatnio ukazały^{x/}. Choć traktuje o sprawach wewnętrznych środowiska dziennikarzy, ma w istocie uniwersalne przesłanie. Mówi bowiem o wyborze postaw moralnych w sytuacjach ekstremalnych, gdy człowiekowi... nie pozostawia się wyboru, gdy żąda się od niego, aby wyrzekł się wartości, które wyznaje i zaparł się samego siebie. Pod groźbą utraty pracy, co

^{x/} "Rubikon '81". Wydawnictwo "Most" przy współpracy poligraficznej wydawnictwa "Prawy Margines", Warszawa 1986 s. 272, cena 11000 zł. Wyd. II "NOWA", Warszawa 1987, s. 272, cena 1000 zł.

w warunkach real socjalizmu oznacza w tym wypadku faktyczną utratę prawa do wykonywania zawodu. /Komunistyczny Berufsverbot dotyczy zresztą nie tylko dziennikarzy. W razie potrzeby policja polityczna stosuje go wobec np. kierowców czy stoczniowców/.

Jak wiadomo, w wyniku tzw. weryfikacji ok. 750 dziennikarzy znalazło się na bruku, co oznacza, że środowisko dziennikarskie zostało dosłownie zdziesiątkowane. Proporcjonalnie największej strat poniósł najliczniejszy ośrodek warszawski. Liczne ofiary były w silnym równieź ośrodku krakowskim. Z tych właśnie dwóch środowisk pochodzą wypowiedzi składające się na zbiór zatytułowany "Rubikon '81", przy czym Warszawa dostarczyła 27, a Kraków 5 tekstów. Wśród tych tekstów tylko jeden jest anonimowy, reszta opatrzona autentycznymi nazwiskami. W ogromnej większości są to nazwiska głośne w świecie dziennikarskim i poza nim. Te nazwiska, znane z łamów dawnej "Polityki", "Kultury", "Tygodnika Solidarność" i innych renomowanych firm, gwarantują wysoki poziom tekstów - interesujący opis faktów, ciekawe refleksje. Czytelnik z uwagą śledzi, jak przebiegał ferment posierpniowy w redakcjach, jak krystalizowały się postawy i dokonywała polaryzacja stanowisk i wreszcie, co nastąpiło po grudniowym zamachu stanu generałów.

Wszystko to bardzo interesujące, ma smak autentyku, dla wielu czytelników mało znane lub zgoła nowe. Lecz czy można się zgodzić z opinią wydawcy, zawartą w słowie Do Czytelnika, że jest to "dość wierny obraz dziennikarskiego losu"? To jest trochę tak, jakby Holoubek, Zapasiewicz, Mikołajska i Komorowska, Olbrychski i Pszoniak i jeszcze paru innych z jednego teatru krakowskiego i 2-3 teatrów warszawskich mieli przesądzać o "obrazie losu aktorskiego". Choć oczywiście publiczność chętniej przeczyta wywiad z Zapasiewiczem, niż z wykonawcą drugorzędnych ról.

Atrakcyjność "Rubikonu" i karierę tej księżki zapewniają nazwiska herosów. W dodatku herosów, którzy s a m i zeszedli ze sceny. Część z nich zresztą wcale nie musiała tego robić /np. dziennikarze "Polityki", których do końca usiłował skokietować Rakowski/, część zaś stojąc na z góry przegranej pozycji, albo w ogóle nie została objęta weryfikacją /zespół "Tygodnika Solidarność"/, albo weryfikacji się de facto nie poddała /"Kultura"/, albo też indywidualnie potraktowała ją jako okazję do zmanifestowania nieugiętej postawy i wierności ideałom "S".

Chwała im wszystkim za to! Stworzyli przykłady godne naśladowania, przykłady, które weszły do historii dziennikarstwa polskiego, zapisując się w niej złotymi zgłoskami. Ale - powtórzę - czy oni tę historię określają? Czy określają choćby los zbiorowy tej jego części, która nie została zweryfikowana i rozpierzchła się po różnych rejonach życia społecznego, lądując często na życia tego dalekich peryferiach?

Wśród kilkuset dziennikarzy, których zamach grudniowy wyrzucił za burtę, jest kilkadziesiąt znanych nazwisk i na ogół wiadomo, co się z nimi dzieje, gdzie są i co robią. Przeważająca większość była jednak i pozostaje anonimowa. To są ci, którzy w swoich mało znanych i mało znaczących redakcjach sta-

rali się robić posierpniową odnowę. Ich głos był mało słyszalny, bo mało widoczna była trybuna, z której mogli się wypowiadać. Władza ich jednak zauważyła i gdy nadszedł 13 grudnia sięgnęła po ich głowy. Padli w jednym szeregu obok swych sławnych kolegów.

W wielu wypowiedziach zawartych w "Rubikonie" przewija się wątek dojrzwania świadomości, dochodzenia - czasem całymi latami - do ostatecznej decyzji. Otóż ten wątek pobrzmiewa jakimś fałszem. Decyzje heroiczne nie wymagają bowiem dojrzwania. One zapadają nagle, w porywie emocji. To jest tak, jak na polu bitwy. Żołnierz nie postanawia sobie wcześniej, że zostanie bohaterem na miarę Krzyża Walecznych czy Virtuti Militari. To sytuacja bitewna, w jakiej się znalazł, czasem zupełnie przypadkowo, czyni zeń bohatera dlatego, że zachował się odważnie. Tzn. w chwili próby umiał pokonać zwykły ludzki strach.

W przywołanym na końcu książki aforyzmie Słonimskiego jest mowa o przyzwoitości zachowań w sytuacjach trudnych. O to właśnie wówczas chodziło - o przyzwoitość i godność. Niech nikt nie mówi, że dochodzi się do tego drogą długotrwałej spekulacji myślowej. To jest odruch moralny, właśnie odruch! Dlatego szczerze brzmia zdania napisane przez Śurdykowskiego: "Po 13 grudnia decyzje podejmowano bardziej sercem niż rozumem: sprzeciw był oczywistą potrzebą i probierzem uczciwości /.../ Dopiero teraz /.../ widać, jak daleki, samotny i utrudzający jest ten lot pod wiatr, do którego zewaliśmy się mierząc, jak zwykle, siły na zamiary i z którego już tyłu z nas odpadło z pożamanymi skrzącymi albo pogubiło się na zachmurzonych szlakach. Dokąd zaprowadzi - nie wiem. Ale nie mogło być inaczej. Nie mogło być łatwiej".

Decyzje podejmowane sercem, sprzeciw jako oczywista potrzeba, daleki, samotny lot w nieznane - tak, sądzę, większość z nas zapamiętała atmosferę otaczającą weryfikację. I wrażenie, że coś pęka, coś kończy się bezpowrotnie. I drugie - towarzyszące pierwszemu - wrażenie, że zmarnowało się kawałek życia, czasem nawet pół, czy trzy czwarte życia. I to lat najlepszych, kiedy człowiek czuje, że żyje, że samorealizuje się.

Niestety, te najlepsze lata poświęciliśmy na służbę złej sprawie. I bez oporów czerpaliśmy z tej służby profity, przyjmowaliśmy nagrody, odznaczenia, korzystaliśmy z różnych przywilejów. Jako pupile władzy obrastaliśmy w piórka dobrobytu na miarę real socjalizmu, niektórzy nawet grubo ponad tę miarę. Czy nie wiedzieliśmy, że robimy źle, pisząc na zadane tematy w sposób narzucony z góry, a w każdym razie przez "górną" oczekiwany, pisząc wbrew sobie, wbrew faktom, wbrew prawdzie? Oczywiście, nigdy nie brakowało i nie zabraknie w tym zawodzie głuźców z kłapkami na oczach, nie brakowało i nie zabraknie cyników i gangsterów, ani farbowanych liberałów, idących na każdy kompromis z własnym sumieniem. Ale większość to przecież ludzie o rozbudzonej elementarnej wrażliwości moralnej, rozumni i rozróżniający zło i dobro, ludzie, którym wnioski płynące z tego rozróżnienia nie są obo-

jetne. Takich ten zawód musi frustrować. Dlaczego więc trwałszy w tym zawodzie całymi latami aż po sierpniową katharsis?

Na to pytanie "Rubikon '81" nie udziela wiarygodnej odpowiedzi. Herosi piszą o narastającym zmęczeniu wymuszoną zgodą na uczestnictwo w kłamstwie, o trwającym latami samooszukiwaniu się, że przecież oni kłamią mniej niż inni /a może to było tylko kłamstwo doskonałe, mniej bezcelne?/. Nie chcą przyznać wprost, że ten przeklęty zawód dla ludzi o pewnych predyspozycjach psychicznych ma szczególnie narkotyczny urok, który przyciąga i obezwładnia. Można go nienawidzić i kochać jednocześnie. Można w nim trwać, mimo iż człowiek się spala jednocześnie i podli. Czy trwalibyśmy w nim nadal, gdyby nie 13 grudnia, który nastąpił po 16 miesiącach "Solidarności"? Czy trwalibyśmy, gdyby w ogóle nie doszło do Sierpnia i gdyby nadal Gierek miłościwie panował w nadwiślańskiej krainie absurdu? A ilu z nas by pozostało, gdyby zostali zweryfikowani?

Trudno odpowiedzieć na te abstrakcyjne pytania. W dodatku na pytania, które są jakoś niewygodne. Moralnie niewygodne. W każdym razie ja osobiście nie zgadzam się z lansowaną w "Rubikonie" tezą, że my, którzy znaleźliśmy się poza zawodem, nie jesteśmy sfrustrowani. I przepraszam, ale między bajki wkładam twierdzenie Falkowskiej, że gruntownie wyleczyła się z dziennikarstwa. Z tego nie można się wyleczyć, tak jak nie można się wyleczyć z latania czy wspinania po górach.

Uważam, że dziś sfrustrowani są zarówno jedni, jak i drudzy, zarówno ci, którzy nie chcą lub nie mogą, albo i nie chcą i nie mogą wykonywać zawodu, jak i ci, którzy go nadal wykonują. Wyłączając z tej drugiej grupy ewidentnych głupców oraz ludzi pokroju Passenta czy Barańskiego i Lobmana. A zresztą wystarczającym powodem do frustracji jest już choćby to, że człowiek się urodził i musi żyć w tym kraju bez teraźniejszości i przyszłości.

Myślę, że dla wielu z nas, nie będących herosami, dodatkowy powód do frustracji stanowi fakt, że w podejmowaniu decyzji pożegnania z zawodem pomagali nam, uczestniczyli lub podejmowali ją za nas ludzie tacy, jak opisani w "Rubikonie", a więc cyniczni i obłudni gracze polityczni w rodzaju Fajęckiego z "Epoki", chamscy bezmózgowcy w typie Machejka z "Życia Literackiego", pozbawieni kwalifikacji zawodowych i moralnych, zamulowani policjanci w stylu Snarskiego z Radiokomitetu.

A ponadto każdy, kto miał choćby odrobinę poczucia odpowiedzialności za swoją pracę, nie mógł nie doznać wstrząsu, gdy sam na własnej skórze doświadczył, co jest wart dziennikarz w real socjalizmie. I co jest wart sam zawód, jeśli doświadczonogo fachowca można w jednej chwili zastąpić pierwszym lepszym żórtodzielcem wziętym z ulicy. Pogarda okazana przez władzę dziennikarzom i uprawianemu przez nich zawodowi, gdy o ich losach arbitralnie decydowali funkcjonariusze WRON-y, SB i aparatu partyjnego, nie pozostawia złudzeń co do rzeczywistej roli i miejsca dziennikarstwa w ustroju komunistycznym. Jedynym, czego się od dziennikarza oczekuje i wymaga, jest bezwzględne posłuszeństwo w wykonywaniu poleceń, czyli tzw. dyspozycyj-

ność. Kwalifikacje zawodowe nie liczą się.

Już samo przesłuchanie przez komisję weryfikacyjną było upokorzeniem z gatunku tych, których się nie wybaczają i nie zapominają. Myślę, że identycznie kwalifikują je także ci nasi byli koledzy, którym udało się "ocalić". To jest powód także do ich frustracji.

A fakt, że zostaliśmy podzieleni, trwale podzieleni, że porwały się towarzyskie układy, a nawet przyjaźnie, że nawet w jednej grupie, w jednym mikrośrodku, zręcznym - wydawałoby się - wspólnym losem i wspólnym interesem, występują różne podziały, czy to nie frustruje? Czy nie frustruje zaskakująca degradacja prestiżu społecznego całego dziennikarstwa polskiego podczas stanu wojennego, gdy dziennikarstwo uznane zostało za czołowy zawód kolaborancki? Komu się dziś chce różnicować odcienie? Jeśli nie funkcjonujesz w drugim obiegu, albo nie piszesz w prasie katolickiej, twoja sylwetka jest moralnie dwuznaczna. Każdy uważa, że ma prawo zażądać, abyś się wytłumaczył z tego, co robisz i właściwie dla kogo. Ten zawód upadł dziś tak nisko, tak się dał pohańbić, najpierw przywołaniem do porządku przez władzę stanu wojennego i okazaniem im skwapliwym posłuszeństwem, a później wmanipulowaniem w różne układy "normalizacyjne", w budowanie papierowej fasady "porozumienia narodowego", w propagowanie nieistniejącej reformy gospodarczej, tak bardzo został zdezwauowany i sam się zdezwauował, że nie istnieje już dlań żadne społeczne alibi. W naszym chorym, rozkładającym się społeczeństwie, dziennikarze stanowią grupę jakby trędowatych. I tak się też czasem zachowują. Obdarzeni przydomkiem "reżimowi", żyją i bawią się we własnym gronie, co widać było na przykładzie jubileuszu 30-lecia "Polityki". Niektórzy udają, że im z tym dobrze. Passent oświadczył nawet, że chciałby umrzeć w "Polityce"...

Herosi, którzy zeszli ze sceny, nie deklarują, gdzie chcieliby umrzeć. Oni zresztą na ogół nie mówią, o co robią, jak żyją /o tym można się dowiedzieć z innych źródeł/. W tym zresztą upatruję duży brak tej książki. Czytelnik chciałby wiedzieć, jakie ponieśli rzeczywiste koszty życiowe swej decyzji, ile czasu i wysiłku kosztowało ich urządzenie się od nowa, w nowych miejscach i nowych rolach.

Z pewnością nikomu nie było łatwo, ta władza nie jest tolerancyjna dla tych, którzy jej wypowiadają służbę. Jest to traktowane w kategoriach obrazy majestatu. A czerwony "majestat" jest mściwy i ma drugie ręce, i nie stać go na wielkoduszność, bo czuje się niepewnie. Zapewne też ci z wyższych pięter dziennikarskiej kariery, bardziej zasłużeni dla władzy, podlegali surowszym dyskryminacjom. Wszelako znane nazwisko, znaczny dorobek i związana z tym popularność mogą stanowić ułatwienie w przecieraniu nowych ścieżek, nie mówiąc już o osobistych koneksjach. Na ogłoszenie "Szukam uczciwej pracy" mógł sobie pozwolić Jacek Maziarski, bo jego nazwisko wielu ludziom wiele mówiło. Ktoś inny po takim ogłoszeniu daremnie czekałby na oferty pomocy. U niego telefon dzwonił bez przerwy.

Bez obawy popełnienia błędu można powiedzieć, że ci, którzy nie mieli znanych nazwisk i wielkich zasług, znaleźli się w trudniejszej sytuacji. Ich "lot w nieznane" jawił się jako bardziej ryzykowny. A wówczas jeszcze przecież nie było "zrzutów" /przyszły co prawda rychło, ale dopiero w jakiś czas później/, nie było tak silnej więzi środowiskowej i koleżeńskej samopomocy /to też rozwinęło się szybko, ale nie od razu/ i nie każdy miał gotowy pomysł na życie od nowa, nie każdy miał kogoś za granicą, samochód, który można zamienić na taksówkę, nie każdy miał znajomego rzemieślnika, który mógł dać pracę, zapewnić przetrwanie, nie każdy też kwalifikował się na rentę czy na emeryturę. Nie każdy był wystarczająco przedsiębiorczy i dość mocny psychicznie, aby się pozbierać do kupy. Było wielu ludzi rozbitych, obolałych, bezradnych. I w sumie minęło sporo czasu, zanim się wszyscy jako tako pourządzali. Nigdy nie zapomnimy tego czasu. I zawsze będziemy pamiętali o tych, którzy nam pomogli.

"Rubikon '81" nie jest "obrazem dziennikarskiego losu". Jest zaledwie szkicem do obrazu, przyozynkiem do historii, która jeszcze nie została napisana. Niemniej jest to przyczynek bardzo interesujący i bardzo cenny. Wszystkim, którzy przyczynili się do jego powstania należą się słowa uznania i szczerzej podziękuję. Z pewnością warto byłoby kontynuować tę inicjatywę.

Stały czytelnik

- Anonim Niezweryfikowany

POLEMIKI

POLEMIKI

POLEMIKI

Warszawa, 15 września 1986

Redakcja "Mostu"

Pánowie,

sposób, w jaki "Most" odpowiedział na moją polemiczną notkę, skłania do niewesołych refleksji. To, co za pierwszym razem mogło uchodzić za nieprzyjemny lapsus, obecnie uznać trzeba za wyraz bardziej zasadniczych przekonań redaktorów skądinąd sympatycznego i dobrze robionego pisma. Zastosowane przy tym metody polemiczne oraz fakt nieustosunkowania się do podniesionych przeze mnie kwestii merytorycznych, zwalniają mnie właściwie z obowiązku odpowiedzi: sprawa jest jednak zbyt ważna, by przejść nad nią do porządku dziennego.

A więc, po pierwsze, Omłot w inkryminowanym artykule nie referuje poglądów Zinowiewa w celu sprawozdawczym /w którym to wypadku zarzut o przypisywaniu Omłotowi też cytowanych byłby zasadny/, lecz posługuje się nimi, podobnie jak poglądami innych autorów, celem przeprowadzenia własnej tezy. Brzmi ona: "rusyfikacja była zabiegiem nie tylko odpolonizowania, ale i odczłowieczenia" zaś "Zinowiew s ł u s z n i e /podkreślenie moje - dw/ zauważa, że masowy terror stalinowski nie byłby możliwy, gdyby nie krwawe upodobania ludu rosyjskiego, który wyzywał się w akcjach eksterminacyjnych i z upodobaniem pełnił funkcje strażników więziennych i łagrowych". Wygląda na to, że redakcja "Mostu" nie czyta tego, co sama publikuje; tyle, jeśli chodzi o zarzut "wyrwania dwóch zdań z kontekstu".

Zaakceptowałbym może jednak to wycofanie się rakiem z Omłotowych tez, gdyby nie fakt, że "Most" w swej odpowiedzi wprost je popiera, mówiąc o "milionach wielbicieli i wyznawców Stalina", którym przeciwstawia "polski opór przeciwko sowietyzacji". Tymczasem komuniści znaleźli także i u nas setki tysięcy wykonawców i zwolenników, zaś to, że stalinizm trwa w Polsce trzy razy krócej niż w ZSRR należy przypisać raczej jednak prawom biologii /nawet dyktatorzy są śmiertelni/, niż różnicom charakterów narodowych. Wreszcie, "Most" ironizuje na temat mojej analogii Stalin-Hitler. Jest oczywiście prawdą, że program dominacji przez eksterminację realizowali w Polsce obcy najeźdźcy, a w ZSRR zbrodniarze rodzimi, lecz czy przydaje im to choć cień legitymizmu? Zwłaszcza zaś, czy uprawnia do wysuwania tezy, że lud rosyjski program ten akceptował? Sądzę jednak, że to, k t o robi, mniej jest ważne od tego, c o robi. W przeciwnym bowiem wypadku - na przykład fakt, że w Polsce w 1981 ruch wolnościowy strzumiła polska armia, podczas gdy w Czechosłowacji w 1968 uczyniły to armie obce, świadczyłby o większym poparciu społecznym dla Jaruzelskiego, niż dla Husaka, którego to przypuszczenia fakty zdają się nie potwierdzać.

Tyle odpowiedzi na konkretne tezy polemiczne. Historycznej bezzasadności i politycznej szkodliwości tezy o "moralnej wyższości" Polaków nad Rosjanami uzasadniać nie będę, gdyż wydaje się ona dość oczywista. Stwierdzę raz jeszcze: imputowanie Rosjanom, że ludobójczy, totalitarny program stalinizmu "wyraża ich aspiracje" jest nie tylko moralnie haniebne, lecz i politycznie nieodpowiedzialne. I nie chodzi mi tu nawet w pierwszym rzędzie o urażenie naszych potencjalnych sojuszników z rosyjskiego ruchu demokratycznego, lecz o wpajanie Polakom fałszywego autostereotypu, uniemożliwiającego racjonalną analizę ich sytuacji. Pisałem o tym szerzej w polemice z gdańską "Kartą 84".

Insynuacji "Mostu" ad personam komentować nie będę. "Obowiązuję nas w wypadku różnicy poglądów prowadzenie polemiki w sposób rzetelny itp.". Raz jeszcze okazuje się, że redaktorzy "Mostu" sami nie czytają już nie tylko tego, co publikują, ale wręcz tego, co piszą. Co zaś się tyczy niestosowności publikowania Omłota obok Wałęsy i Hellera to - dopraw-

dy - nie chodziło mi o nazwiska tych panów, lecz o ich poglądy. Nie przyszło mi do głowy, że można to interpretować inaczej. Jeżeli jednak tym sformułowaniem uraziłem publicystę "Mostu", to niniejszym serdecznie go przepraszam. Zarzutów jednak nie wycofuję.

Tekstu "U braci Moskali", na który powołuje się "Most" w swym post scriptum nie odnotowałem dlatego, że sądziłem, iż polemizuję z odizolowanym wybrykiem jednego publicysty, nie zaś - jak się okazało - ze stanowiskiem redakcji. Gdybym jednak chciał go zauważyć, miałbym pewne trudności, bowiem tekstu takiego w cytowanym numerze "Mostu" nie ma. Jest natomiast tekst "U braci Moskali", którego z kolei nie wymienia się w spisie treści, będący omówieniem publikacji emigracyjnej rosyjskiej grupy "Posiew": "Solidarność - O ruchu robotniczym w Polsce i ruchu robotniczym w Rosji". Redakcja "Mostu" relacjonuje w nim treść tego wydawnictwa, ani słowem nie zaznaczając swego doń stosunku. Jest to więc tekst sprawozdawczy, a nie publicystyczny i gdybym - jak chce "Most" - uznał go za "wyraz prawdziwych intencji i nadziei redakcji wobec narodu rosyjskiego" /które to zapewnienie przyjmują skądinąd z wielką radością/, to dopuściłbym się nadużycia, o które "Most" bezzasadnie mnie oskarża w związku z polemiką z Omłotem.

W sumie cała ta sprawa jest przykra i żenująca. Chciałbym wierzyć, że tekst "KOSowi pod rozwagę" jest jedynie efektem polemicznego zaciętrzewienia "Mostu", nie zaś wyrazem autentycznych przekonań jego redaktorów, tak w kwestii stosunku do Rosjan, jak i w kwestii dopuszczalnych metod polemiki. Nadzieja ta wynika z uważnej lektury "Wolnego pisma", które drukuje teksty nie dające się pogodzić z tym, co prezentują w swej odpowiedzi "chłopaki z Mostu". Gdyby jednak miało być inaczej, to - wbrew temu, co pisze "Most" - nie uznałbym poruszonego problemu za "nie istniejący" i "nierzeczywisty" i sądzę, że redakcja "KOS-a" podziela moje stanowisko.

Dawid Warszawski

X X X

Mimo nurtujących nas wątpliwości, opublikowaliśmy kolejną napastliwą enuncjację pod naszym adresem Dawida Warszawskiego, choć merytorycznie nic nowego do sprawy jakby już nie wnosi. Świadczy raczej o przesadnym polemicznym zapędzie /by użyć tu eleganckiego określenia/ D.W., który za wszelką cenę usiłuje zdrowemu wmówić chorobę i przypisać "Mostowi" poglądy, które jako żywo są nam obce. Wydaje się, że jeśli nawet zdarzyło nam się przepuścić na naszych łamach niezbyt zręczne sformułowanie jednego z autorów, to czy istotnie upoważnia to do strzelania zarzutami typu "haniebnie", "przykre", "żenujące" itp. Czyba, że uprawia się polemikę jako sztukę dla sztuki i że podstaw do niej wyszukuje się za wszelką cenę. A czy naprawdę nie szkoda na to drogiego papieru? Trzeba mieć istotnie niezwykle

czuły nos, by na naszych łamach wyniuchać swądek nacjonalizmu /bo w końcu to, a nie co innego usiłuje nam insynuować nasz szanowny polemista/.

A wracając jeszcze na krótko do meritum sprawy, można odnieść wrażenie, że kolejna polemika Dawida Warszawskiego wydobywa na jaw pogląd tego autora o nieistnieniu czegoś takiego, jak charakter narodowy. Przypomnijmy, że terminem tym określa się w psychologii społecznej pewien zespół zachowań, postaw oraz systemów wartości, występujący w danym narodzie statystycznie znacznie częściej, niż by to wynikało ze średniej losowej. Czynniki warunkującymi określony typ charakteru narodowego są doświadczenia historyczne oraz kulturowe, nie zaś, jak zdaje się sądzić Dawid Warszawski, jakaś przedustawna "wyższość" lub "niższość" danej nacji. Na charakter narodowy składają się zresztą najrozmaitsze cechy, które mogą być obiektywnie uznawane za pozytywne lub negatywne, wymienimy tu na przykład pieniactwo, które zalicza się, niestety, również do typowo polskich negatywnych cech narodowych.

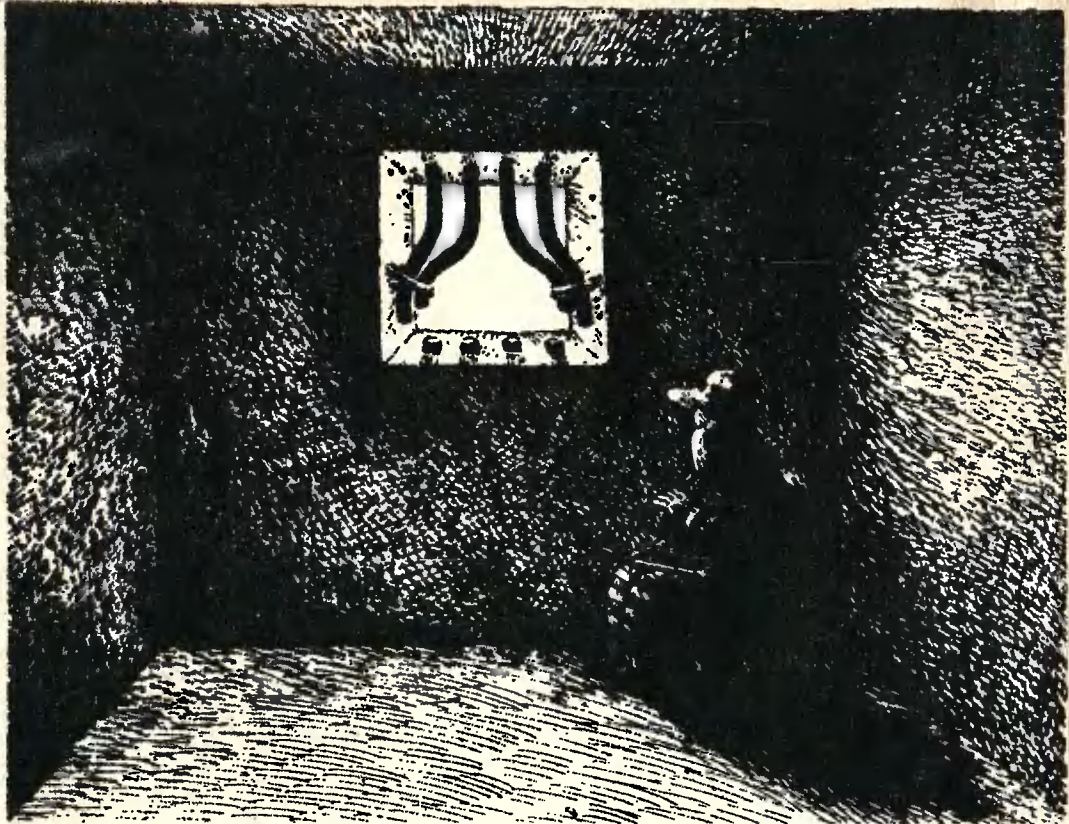
Doświadczenia historyczne oraz uwarunkowania kulturowe przekazywane są z pokolenia na pokolenie dzięki wychowaniu w tradycji oraz dziełom sztuki, a zwłaszcza literatury narodowej. Są to stwierdzenia elementarne, kwestionowane jedynie przez marksistowską teorię materializmu historycznego, która odmawia doświadczeniom ogólnonarodowym mocy konstytuowania psychiki społecznej, a moc ową przypisuje uwarunkowaniom klasowym. Ostatni tekst Dawida Warszawskiego zdaje się świadczyć, że jego autor wywodzi się, być może, właśnie z owej szkoły myślowej, co uniemożliwia konstruktywny dialog między nami. Warto też może przypomnieć, że już raz w naszej najnowszej historii nieśmiała próba zauważenia odmienności doświadczeń historycznych oraz kulturowych Polaków i Rosjan, została jednoznacznie potępiona jako "odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne". Przyjmujemy zatem do wiadomości poglądy Dawida Warszawskiego, rezygnując z dalszej, bezsensownej, jak sądzimy, polemiki.

"Most"

=====
"Most" dziękuje za GOP-video

X X X

Numer zamknięto 30 kwietnia 1987 r.



RYS: KLAUS WUNDERWERTH NRD
Z KATALOGU KONKURSU RYSUNKU
SATYRYCZNEGO W KNOCKE

WYDAWNICTWO



WARSZAWA 1987

650 zł